

Andrzej Mandalian

Czerwona Orkiestra

PROSIMY DBAĆ o WYPOŻYCZONĄ KSIĄŻKĘ

Copyright © by Andrzej Mandalian & Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2009

Projekt okładki i stron tytułowych Jacek Staszewski

Redakcja i korekta Renata Lis

PRZYMIARKA DO GRY W TRZY KARTY

Wydawnictwo Sic! 00-724 Warszawa ul. Chełmska 27 lok. 23 tel./faks:

022 840 07 53 e-mail: [biuro@wydawnictwo-sic.com.pl](mailto:biuro@wydawnictwo-sic.com.pl)

<http://www.wydawnictwo-sic.com.pl>

Wydanie pierwsze w tej edycji Warszawa 2009 Printed in the EU

Skład i łamanie: Studio Artix, Jacek Malik

Druk i oprawa: Drukarnia Naukowo-Techniczna SA 03-828 Warszawa, ul. Mińska 65, tel. 022 331 38 40

Uprzejmie informujemy, że tekstów niezamówionych nie odsyłamy i nie przechowujemy.

W trzy karty grywano na dworcach i w bramach przechodnich, a najzajadlej na bazarze Tiszyńskim. Był to najtłoczniejszy pchli targ, jaki zdarzyło mi się widzieć w życiu. Potocznie nazywano go „tołkuczka”, a więc „przepychanką”, jeśli traktować dosłownie wyraz tołknuć, który tutaj

dopiero znaczył tyle co „opchnąć”. Jakoś istotnie można tu było w sekundę pozbyć się dorobku Całego życia, za otrzymane pieniądze zakosztować do syta owoców ówczesnej małej gastronomii, resztę zaś przepuścić w trzy karty.

Zawsze fascynowała mnie ta gra, bo bez nabierania, z góry zakładała przegraną. I świadomość nieuchronności przegranej była tylko bodźcem do dalszej gry. Zgrywano się tu do nitki, bo chciano zrozumieć, na czym polega oszustwo. I fascynujący był mechanizm nie samej gry, lecz hazardu, w którym współuczestnictwo dyktowała przemożna potrzeba patrzenia na ręce.

Ale przekonać się o tym miałem dopiero później.

Ano nie da się ukryć, w nadzwyczaj pechowym czasie zebrało mi się na wspominki. Odkrycie, że właśnie skończyła się kolejna epidemia ludożerstwa, okropnie uderzyło ludziom do głowy. Wszyscy naraz jęli się mierzyć z Historią, demaskując bez żadnej litości własną i cudzą niechlubną przeszłość. Wszyscy, począwszy od ministrantów telewizyjnych, których dopiero co podziwialiśmy w twarzowych mundurach

stanu wojennego, albo i w cywilu, z ukrytą kamerą w celach internowanych, aż po uczonych w piśmie, chwytających się niczym tonący brzytwy przypowieści o ukąszeniu heglowskim dla zdefiniowania poczętej z nienawiści i lęku, wylęgłej w ciemnościach zarazy.

Doczekaliśmy się nawet przystępnej wizji przeszłości: świata rządzonego przez Azjatę, psychopatę i paranoika z pomocą paru kumpli tego samego gatunku. Temat skądinąd atrakcyjny, zwłaszcza gdy się pomija tę okoliczność, że paranoja i psychopatia były naszym udziałem, powiedziałbym: naszym udziałem własnym; były ową słynną ideą, która tak skutecznie opanowała masy.

Otóż, dla uniknięcia wszelkich nieporozumień: nie obchodzi mnie cały ten dżugaszwilizm ani postwissariono- wiczizm, ani żadne z nim

obrachunki. Nie obchodzą mnie również żadne lokajskie czy też gladiatorские bunty; mam je za sobą, i to od trzydziestu z górą lat. I co do tej francy heglowskiej, choć zapewne pocieszająca byłaby świadomość faktu, że to właśnie pani Historia, fałszywa nauczycielka, przyparła nas w którymś kącie do muru, zmuszając do czynów nierządnych, brak mi w tym względzie pewności, podobnie jak brak mi pewności, że to Ona właśnie stworzyła świat z niczego.

No i jeszcze jedno. Żywię niekłamaną niechęć do konwencji wspomnień z lat dziecińczych. Irytują mnie relacje, w których pełne niezmaconej ufności niewiniątka stają wobec bezwzględnych realiów twardej rzeczywistości, przyprowadzają mnie o mdłości sprawy inicjacji. A i hart samozachowawczy, cwany sznyt, podejrzana gotowość, z jaką bystre małolaty przyswajają sobie reguły zastanego świata, nie przemawiają mi do wyobraźni. Pocę się przy takich lekturach ze wstydu, bo sam zabieg formalny jako bezczelny chwyt artystyczny już zawczasu wywołuje we mnie przedsmak nieczystej gry.

A mimo to, wracam dziś do tych - sprzed niemal półwieku - błazeńskich spłowiących kart. I to nie po to, by ku udręczeniu nas wszystkich układać tasiemcowy pasjans wspomnień. Myślę po prostu, że każde pokolenie dostaje w rozgrywkach losowych swoje własne trzy karty. Takie czy inne, ale zawsze te same. I czy stoi w nich: Bóg, Honor, Ojczyzna, czy przy kolejnym rozdaniu: Wolność, Równość, Braterstwo, na sam szeleszczący mi w uszach pogłos tych wzniosłych słów sięgam w spóźnionym odruchu po te moje znaczone asy, blotki, walety...

Pożegnanie z Rosją, czyli walety kier

To było upalne lato. Tak przynajmniej zapisało się w mojej pamięci: upałem zaprawionym słodkim zapachem usychających traw, brzęczeniem os, migotliwymi ważkami w rozedrganym powietrzu, ciągnącą od lasu żywiczną wonią. Bo też rzecz się działa pośród przekwitających łąk i lasów sosnowych, w obozie pionierskim, paręset kilometrów na zachód od Moskwy. Właśnie — nie w harcerskim, lecz w pionierskim i właśnie - od Moskwy; tak to już wypadło, zdarzyło się, przytrafiło, a dlaczego, o tym

również wspomnę za chwilę, chociaż to już całkiem inna historia, dajmy na to: przewrotne zrządzenie losu.

Tak czy inaczej, jak by nie brzmiało to nieprawdopodobnie (a tak właśnie dla mnie dziś brzmi), znajdowałem się za zasiekami z kolczastego drutu, w obozie pionierskim dla tysiąca z górą uczniów moskiewskich szkół podstawowych, oczywiście wzorcowym i oczywiście pod wezwaniem słynnego młodzianka, który w słusznej sprawie zadenuncjował był własnego ojca i z tego powodu został przyduszony przez zwyrodniałego stryja-kułaka.

Nawiasem mówiąc, wydarzenie było zbyt niejasne i odległe w czasie, by mimo serdecznego współczucia dla osieroconego Pawlika Morozowa mógł on stanowić dla nas bezpośredni wzór i zachętę. Patronował nam raczej z daleka, otoczony nimbem męczeństwa niczym Żelazny Feliks - legenda porastająca

w posagi we wszystkich niemal zakątkach tego olbrzymiego Imperium, którego wszak byliśmy dziećmi.

A tak, wszyscyśmy byli dziećmi tego Państwa Słońca czy też Krainy Utopii, prawymi czy przybranymi, dziedzicami czy bękartami - grunt, że z reguły niepomnymi rodowodu, a nawet całkowicie nieświadomymi faktu, iż to Abraham zrodził Izaaka, a Izaak Jakuba. Może po prostu uważano, że wystarczy nam wiedza o tym, że Iwan zabił Wasyla, a Wasyl Dymitra, a może etos janczarski zakładał tę nieświadomość, tę niepamięć, wprowadzając w miejsce więzi pionowych - poziome, w miejsce domnianego synostwa - powszechne braterstwo. Od braterstwa broni po braterstwo dusz i braterstwo ludów - również braterska dłoń wyciągnięta po siostrzaną Ukrainę, Białoruś czy Litwę zdawała się potwierdzać żywotność nowego związku krwi.

Wracając jednak do rzeczy, obóz składał się z położonych w zagajniku nad brzegiem zaśniedziałego stawu kilku wcale przyzwoitych, bo przejętych od wojska i na nowo zagospodarowanych baraków, a także obszernej jadalni - centrum życia towarzyskiego - zaimprovizowanego boiska i olbrzymiego placu apelowego w kształcie podkowy spiętej zbitym

z desek podestem, przeznaczonym do odbierania defilad i organizowania imprez kulturalnych. Tuż obok podestu wznosiła się drewniana wieżyczka z masztem, z którego ciężką czerwienią spływała flaga.

Była też rzeka o zapomnianej nazwie, tuż w pobliżu — pół godziny drogi przez las. Mam jeszcze w oczach tę drogę, suto usypaną igliwem i wciąż udeptywaną na nowo przez maszerujące tam i z powrotem kolumny. Wyruszyliśmy gromadnie, piątkami, ze śpiewem. Od czoła pochodu dobiegała intonowana przez dziewczęta, modna od zeszłej jesieni piosenka Żdiom was wo Lwowie. Przebojem naszej kolumny byli Tri tankista, tri wiesiołych druga.

Większość z nas przeszła już mutację, a także przysposobienie wojskowe, śpiew był zgodny i krok dudnił miarowo. Pierzchały przed nami spłoszone cienie, gubiły się w sosnowym gąszczu. Słoneczne plamy tańczyły na pniach. A potem las rzedniał, stopy zaczynały grzęznąć w sypkim piachu i nie dbając już o porządek, rozsypując się w bezładny szpaler, sadziliśmy przez rzadkie zarośla, usiłując dopaść uciekające dziewczynki jeszcze przed rzeką.

Na obiad wracaliśmy również ze śpiewem, ale po obiedzie już nie śpiewaliśmy, po obiedzie był miotwyj czas, czyli godzina ciszy, trwająca wbrew swej niezbyt precyzyjnej nazwie dwie bite godziny.

Chyba tylko spiskowi szkodników, sabotażystów, wrogów ludu zawdzięczaliśmy to oczywiste przeoczenie, to pozostawianie nas sam na sam z natłokiem własnych myśli, ich kąśliwym rojem, od którego nie sposób się było opędzić.

I owszem, próbowaliśmy dawać sobie z tym radę, przynajmniej na początku naszej „martwej godziny” poobiedniej czy wieczorem przed położeniem się do snu. Bo też w sypialni tkwiło ze dwudziestu wyrostków, rozsadzała ją nieokiełznana energia, febra, gorączka, ostra woń dojrzewającej męskości, diabli wiedzą co! Gdzieś po kwadransie dopiero ustawały podniecone szepty, tłumione chichoty, zalegała prawdziwa cisza, skądinąd naprawdę podejrzana, jakby kto chciał wiedzieć, gdyż nauki płynące z przykładu niepokalanego Pawlika ani słowem nie wspominały o

samogwałcie.

Stanowiliśmy jedną wielką rodzinę i słodkawy trupi odór Gułagu zdawał się rozpuszczać w oparach naszych przyspieszonych oddechów.

Byłem najmłodszy w tym towarzystwie (najstarszy był Wil, a najbliższy mi wiekiem - Władek, długonogi chłopiec o niezwykle jasnych, prawie dziewczęcych oczach) i ratowała mnie przemycona do obozu talia kart pasjansowych, jedna z niewielu pamiątek, jakie zostały po ojcu. Nic mi nie przeszkadzało, że była zdziesiątkowana, grałem w grę, w której było to bez znaczenia. Nie, nie w trzy karty; grałem sam ze sobą i grałem „w wojnę”. Zgiełk bitewny zagłuszał wszystkie lęki i niepokoje, wszystką marność nad marnościami. Jasne kolory walczyły z ciemnymi. Ziały ogniem królewskie armaty, buńczuczne asy padały pod ciosami podstępnych dwójek, jazda waletów siała spustoszenie wśród spieszonych blotek. Jasne kolory wygrywały. Kochałem jasne kolory.

Debiutowałem jako nowicjusz w życiu zbiorowym. Jako nowicjusz, nie neofita. Nigdy dotąd nie byłem pionierem; urzekały mnie i śmieszyły zarazem rytualne gesty, krawaty, „saluty”, magiczne obrzędy apelowe z podnoszeniem i opuszczaniem flagi. No i były też ogniska, i mecze piłkarskie, i nocne biwaki, i wędrówki połączone z odczytywaniem mapy, i próby sprawnościowe. Atmosfera ogólnego koleżeństwa i zdrowej rywalizacji — tak pewnie nazywano to w sprawozdaniach.

Jeden tylko był błąd w sztuce, mylny trop w edukacji: stała, niemal intymna bliskość dziewcząt, tych raz wyzywających, raz ukradkowych spojrzeń, tych przypadkowych dotknięć, tych ciemnych plam potu rozpełzających się od pach na podkoszulce - cały świat nieznanych zapachów i kształtów.

Wobec jego odkrycia nawet janczarski dryl wydawał się jedynie umownym znakiem czyhającej w pobliżu wielkiej przygody.

O żałosne libido dziecięce, kumulujące się wstrząsy podziemne, wewnątrzkomórkowe eksplozje, miotające nami żywioły! Mieliśmy po trzynaście, czternaście, niekiedy piętnaście lat i wyobraźni naszej nie

zajmowała wojna europejska, tocząca się od roku gdzieś za górami-lasami. I gdy dygotaliśmy z przejęcia śpiewając pieśń o trzech wesołych czołgistach i ich pancernym baonie, to nic innego tylko kolorowa mgła zasnuwała nam oczy> krew huczała w skroniach na myśl o wyprzedzającej nas o kilkaset metrów dziewczęcej kolumnie. Zwietrzyliśmy trop i w zniecierpliwieniu gnaliśmy przez zarośla jak spuszczone ze smyczy, rozswawolone myśliwskie psy.

Mój Boże, jakże ciążyła nam młodość! Wyładowywaliśmy się w przepychankach wieczornych, porannych biegach na przelaj, skokach w dal na dwa siedemdziesiąt pięć i namaszczonych deklamacjach mozolnie wbijanych nam do łbów kilometrowych wierszydeł. Nawet nad rzeką o zapomnianej nazwie duch dziewiczego patrona, ofiarnego sierotki, pruderyjnie unosił się nad wodami.

A przecież i nas nie ominęła ta choroba sieroca, przecież od ilu już lat wzrastała wokół (wraz z nami) ogólna koniunktura na wczesne sieroctwo. Nasze domy pustoszały w zastraszającym tempie> a niewzruszona miłość do Ojca Narodów była zbyt abstrakcyjna, zaś poszczególne kultury kolejnych męczenników zbyt trąciły nekrofilia, by zaspokoić nasz głód emocjonalny.

Nie zaspokajał go również ten rodzaj przywiązania, jakim darzyliśmy naszego drużynowego - dwudziestolatka o szerokim matczynym sercu. Zresztą zaskarbił sobie naszą dozgonną wdzięczność chociażby przez to, że nie wypytywał zbyt natarczywie o sprawy domowe. Teraz myślę, że była to zwykła przezorność.

To jednak zadziwiające, jak sama obecność dziewcząt sprzyjała tym dziwnym przyjaźniom chłopięcym, nie opartym na niczym poza pociąganiem fizycznym, niewinnym, a zarazem jakże dwuznacznym w swej niewinności. Muszę tu chyba dodać, że większość z nas miała przed sobą najwyżej trzy-cztery lata życia. Tyle że nic jeszcze o tym nie wiedzieliśmy.

Powiedziałem już, że wyładowywaliśmy się w przepychankach wieczornych. Jednego tylko wieczora (bo z pewnością nie była to cisza poobiednia, pamiętam, jak za oknem zapadał

zmierzch) zaniechaliśmy rozrób w sypialni na rzecz poważniejszych roztrząsań, skądinąd nie na długo. Stało się to z powodu znalezionej na wydmach medalika z urwanym łańcuszkiem.

Był to najzwyklejszy w świecie medalik: Matka Boska z Dzieciątkiem, a niezwykle było w nim tylko to, że trafił do naszych rąk. Przekazywaliśmy sobie po kolei połyskliwą blaszkę, oglądając, macając, kręcąc głowami. Jako członkowie Stowarzyszenia Wojujących Bezbożników wiedzieliśmy, rzecz jasna, co myśleć o tym medaliku. Któryś napomknął o dawnym klasztorze za lasem, mieściła się tam kolonia karna dla młodocianych przestępców, ktoś inny wspomniał o krążącej od dawna pogłosce, że nim wojsko przejęło nasze baraki, również tutaj znajdował się obóz pracy o zaostrowym rygorze. Dla jeńców wojennych. Jeszcze ktoś sprostował, że to właśnie wojsko pilnowało tu więźniów, a kolejny dyskutant zanucił półgłosem modną, choć zakazaną Piosenkę Osiemnastego Baraku: „Złodziejka praczką nigdy nie zostanie... Ni złodziej taczka swych nie skala rąk...”

I na tym się chyba skończyła ogólna wymiana zdań.

Medalik spoczywał pod moją poduszką, należał do mnie. Już niemal zasypiając, rozważałem jeszcze sprawę jego kryminalnej przeszłości w obozie pracy o zaostrowym rygorze. Rozważałem ją ze względu na ojca, aresztowanego przed rokiem, w dniu podpisania paktu o przyjaźni z Niemcami. Ale zaraz potem jałem rozpamiętywać, jak to jedno z tych niepokojących, rozchichotanych stworzeń, które nad rzeką opryskiwaliśmy wodą albo targali za warkocze (Katia? Ola? Mania?), kucnęło tuż przy mnie na piachu, próbując obejrzeć stopę zranioną ni to przez cierń, ni to przez resztki igliwia, i nagle z okrzykiem triumfu wyciągnęło za zardzewiały łańcuszek swoje znalezisko. Co do mnie, nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, nie mogłem oderwać osłupiałego wzroku od szczupłych ud w trochę za luźnych spodenkach kąpielowych.

Zawsze zdradzałem się wobec dziewcząt ze swym nieoby- ciem. To dziś dopiero jestem suchym jak szczapa, mocno zużyтым sarmatą o sumiastym wąsie i spłowiąłym błękitnym wejrzeniu spod gęsto nastroszonych brwi,



ale wtedy byłem nieśmiałym, otyłym kaukaskim chłopcem o rysach nieletnich kleryków z obrazów - nie przymierzając - włoskiego seicenta.

Otóż, spostrzegłszy moje niewczesne zaciekawienie, ta Nadia, Tania, Ola, której spłonioną buzię mam dotąd w pamięci, zerwała się gwałtownie na nogi i cisnęła mi w twarz swoje trofeum, a potem z impetem pchnęła mnie w pierś. I podczas gdy rozpaczliwie usiłowałem zachować równowagę na śliskim podłożu, w tej sięgającej do kostek wodzie, przemknęła triumfalnie obok, rozpryskując wodę na wszystkie strony, aby po paru metrach dać nura w rozfalowaną głębinę, młóconą pracowicie uderzeniami dziesiątek kończyn niczym ramionami wiatraków.

Wciąż miałem pod powiekami ten obraz mijającej mnie w bryzgach piany dziewczynki, gdy zapadła ciemność. Jeszcze chwilę przebywaliśmy w świetle nieskrystalizowanych marzeń, śniąc raz z zamkniętymi, raz z otwartymi oczami. A potem ciemność ogarnęła nas jak woda, leniwa, lekko kołysząca, gęsta nie do odepchnięcia.

Jej wartkie prądy podwodne, prawie niewyczuwalne wiry znosiły ku brzegom, których nie znaliśmy, których istnienia nawet nie domyślaliśmy się; ciemność wciągała w głąb, w milczenie, lepiła się do ciał i spychała z drogi. Wystarczyło jednak trafić na szeroki łagodny nurt, a można było wynurzyć głowę, złapać oddech i przewrócić się na plecy, pozwalając nieść się prądowi. I tak aż do chwili, w której nagle zdawaliśmy sobie sprawę z tkwiącej pod nami głębi. Wtedy strach podjeżdżał pod gardło, łapał nas kurcz, zaczynaliśmy w panice walić pięściami w ten kleisty, zawieszony u szyi

ciężar; otwartymi ustami chwytałyśmy uciekające powietrze, wzywając ratunku i zapominając o tym, że w tej ciemności zawsze jesteśmy sami, zdani jedynie na własny lęk, własny oddech, własne kołatanie serca.

Samotność - to było prawdziwe imię ciemności, samotność, za którą nie tęskniliśmy, której nie chcieliśmy, osaczeni przez niepojętość i złowrogość wszystkiego, co się za nią kryło, bo przecież to jedno, cośmy dotąd wiedzieli o świetle, było wspólnym zagłuszającym każdy strach wrzaskiem, wspólnym - krok w krok, ramię w ramię - gromadnym marszem, wspólnym tupotem nóg i zespolonym wysiłkiem.

Znaliśmy się nawzajem, mikroelementy gigantycznej układanki, akurat na tyle, żeby znaleźć swoje w niej miejsce, nie znaleźliśmy tylko samych siebie; dopiero w ciemnościach zdawaliśmy sobie sprawę z niepewnego kształtu, wątpliwej wagi własnego istnienia i napawało to nas przerażeniem, a wszystko, co się działo z nami i poza nami, nabierało nowych, niezbadanych znaczeń, potężniało i siało grozę. I tak tkwiliśmy obok siebie, zanurzeni w ciemność jak w sen.

Czyjś szept wyrwał mnie z najgłębszych jej lejów. Ktoś wołał mnie po imieniu.

To Władek przysiadł na łóżku. Miał rozpaloną, napiętą, dobrze widoczną w świetle księżyca twarz i jakieś dziwne skupienie biło z jego błyszczących oczu. - Nie śpisz?

Pewnie się bał, że będę mu miał za złe. A ja kochałem go jak brata. I nie tylko dlatego, że uwolnił mnie od sennego koszmaru. Miałem zawsze niewytłumaczalną słabość do tego gatunku cherubinków o zniewalającej urodzie kierowych waletów, jasnej karnacji i oczach jak spodki z miśnieńskiej porcelany.

18

Co tu ukrywać, Ignąłem do tych jasnowłosych i jasnookich chłopców, choć okropnie się tego wstydzilem. Wydawało mi się to rzeczą nienaturalną i nie mogłem pojąć, dlaczego mnie tak do nich ciągnie. Teraz dopiero, patrząc na mojego młodszego syna, domyślam się, że był to tajemny znak powinowactwa w czasie, rodzaj jasnowidzenia.

Otrząsnąłem się ze snu przywołując obraz niedawnego zdarzenia z Anią,

Ola, Tanią znad rzeki. Zawsze dobrze jest mieć w rezerwie jakąś własną tajemnicę, kiedy się wysłuchuje czyjegoś zwierzenia. No i przypomniałem sobie, że podczas zawodów przedpołudniowych Władek był pierwszy w biegach na krótkie dystansy. I pewnie nadal przeżywał swój sukces.

- Nikomu? Jak coś ci powiem? - zapytał samymi wargami.

- Nie - wyszeptałem najciszej jak mogłem, połykając z wysiłkiem ślinę. Zrozumiałem już, że nie chodzi o ten wynik poniżej dwunastu sekund w sześćdziesięciometrowce.

Ociągał się przez chwilę, tak jakby się wahał, aż podjął na nowo:

- Wiesz... Jestem...

Urwał w połowie i nie dosłyszałem. Albo nie rozumiałem.

- Kim? - usiłowałem się upewnić.

- Polakiem! - powtórzył i zobaczyłem, jak coś łysnęło na tych jego przydługich, wygiętych do góry rzęsach; zamrugał nimi pospiesznie, nadal wpatrując się we mnie.

Milczałem. Zamurowało mnie. Zwyczajnie przywalił mnie ciężar tej skargi, przytłoczył czający się za nią ogrom żalu. I, co dziwniejsze, ani na chwilę nie skojarzyło mi się to wyznanie z Żelaznym Feliksem, który przecież, jak pamiętałem z lektur, też był kiedyś Polakiem i pewnie w podobnej sytuacji czynił podobne wyznania wobec swoich współbojowników.

Powiem więcej, nie skojarzyło mi się również z na poły tylko rozumiałym gwarem, którym do niedawna rozbrzmiewał wieczorami mój własny dom, ani ze zdartą płytą gramofonową, która zawsze zacinała się na cudacznym refrenie:

„Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno”. Nie skojarzyło mi się nawet z tym, co się stało z moją matką przed paroma zaledwie tygodniami, ani z przeciągłym (w tej samej, na poły zrozumiałej mowie) lamentem ciotki, na której kruche barki spadł naraz obowiązek troski o moją dalszą

egzystencję. Nie skojarzyło mi się w ogóle z niczym.

Żaden głos krwi nie odezwał się na zrozpaczony szept chłopca, który wykrzyczał mi tym szeptem haniebną swą tajemnicę, zwierzył się ze straszliwej swej krzywdy, więcej: wstydlivej choroby, jeszcze gorzej: kalectwa. A ja, przywołany na świadka tej tak oczywistej niesprawiedliwości, nie mogąc już dłużej znieść tego pełnego żalu spojrzenia, położyłem się z powrotem na wznak, sięgając odruchowo pod poduszkę, po mój album rodzinny, talię kart pasjansowych, i wyciągnąłem je wraz z medalikiem. A potem zasnąłem, zaciskając je w pięści.

To wtedy właśnie, w czasie naszego zgodnego milczenia pełnego obopólnego zażenowania, odkryłem, niejako w cieniu ojczyzny światowego proletariatu, rozśpiewanych lwo- wianek i trzech pancernych wesołków, krainę trędowatych, tych nieuleczalnie skalanych obcością pechowców, garbatą ziemię przegranych.

Kimże byłem wtedy, u licha? Przybranym pociotkiem Trzeciego Rzymu? Zruszczonym Żydem Wiecznym Tułaczem? Zmoskalonym Ter-Armeńczykiem?... Rossija, Rossija, kak tiebia zwat'! - jak powiada z litewska pewien mój znajomy z Nowej Wilejki.

Indyferentyzm narodowy? Tak. To miałem zadane z całą pewnością. Moi roztargnieni, nieszczęśni, dziecinni rodzice, zaopatrując mnie en passant we własne kody genetyczne, nigdy nie wydorosleli na tyle, by rozszyfrować je na mój użytek. Było to na swój sposób uwarunkowane zawodowo: po aż nadto zniechęcających doświadczeniach we własnych krajach nie zajmowali się już niczym innym, jak tylko wzniecaniem rewolucji, czy to w Chinach, czy to dla odmiany w Hiszpanii.

Ale wracając do Władka, z którym odtąd, w myśl milczącej umowy, unikając się nawzajem jak ognia, nie wymieniliśmy nawet spojrzenia, to przynajmniej dotrzymałem słowa, nie wygadałem się przed nikim. Aż po dziś dzień nie zdradziłem jego tajemnicy. Swoją drogą, dla niego, spoczywającego od lat w zbiorowej „bratniej” mogile żołnierskiej pod Kurskiem czy Woroneżem, jest to już bez znaczenia.

Lecz gdyby ktokolwiek powiedział mi wtedy, że to mnie zamiast niego przypadnie w udziale to dziedziczne kalectwo, że to mnie właśnie przez następne pół wieku przyjdzie z żalem i pychą, nadzieją i wstydem dźwigać ten garb, zwany potocznie polskością - nie zrozumiałbym w ogóle, o czym mowa. „

Nie byłem gotów. Choć już mnie przysposabiano. Bez mojej wiedzy.

Z nas obu tylko on - Władek - idąc tym tropem od zerwanego łańcuszka do migotliwej blaszki, mógł dojrzeć w chybotliwej księżycowej poświacie dalekie, blade odbicia wyprowadzanych z naszych baraków zeszłorocznych brań- ców, niedobitków z góry skazanych na zagładę armii, amatorów straconych pozycji, zagwożdżonych w odwrocie dział, desperackich szarż — żywy kontyngent wojennego łupu.

Tylko on mógł dostrzec, jak prowadzono ich (tak samo jak nas) piątkami wśród roztopów, po wiosennym śniegu, pod wietrznym, pełnym wrzasku gawronów niebem, walecznych waletów kierowych, których spłoszone konie wyniosły na wschodni brzeg Styru czy Prypeci, żeby stanąć dęba przed zagonami wesołych czołgistów. Jak prowadzono ich w stronę torów kolejowych, żeby - zgodnie z zapowiedzią - zawieźć do prac fortyfikacyjnych nad nową linią umocnień, tym rzędem głębokich rowów, zapewne przeciwczołgowych.

Co więcej, jestem pewien, że to właśnie zobaczył.

Ale nie powiedział mi o tym. A ja, ściskając w pięści ten nędzny medalik wraz z moją talią kart, byłem myślami zupełnie gdzie indziej. Myślałem o moim ojcu.

I teraz również myślę.

Myślę, jak byłby zdumiony swym symbolicznym nagrobkiem na warszawskim cmentarzu komunalnym, kilkadziesiąt zaledwie metrów od równie symbolicznego grobu jeńców z Kozielska. Może nie mniej niż faktem, że jego syn jest Polakiem. Pewnie nawet, acz niechętnie, skwitowałyby to stwierdzeniem (on, który dopiero po śmierci z powrotem został Ormianinem!), że wzięłem dziedzictwo po matce i że człowiek sam

wybiera sobie ojczyznę... W końcu całe życie ubiegło mu na dowodzeniu, że ojczyzna to kwestia doraźnego wyboru. Ja nie mam w tej sprawie zdania, bo nie wybrałem sobie polskości. Kto, jak nie on, może wiedzieć, że dokonano tego za mnie w piwnicy więzienia lefortowskiego rutynowym strzałem z nagana.

Flaga ponad trony i feralne blotki

To było nazajutrz po tym, jak Kurka Wodna powiadomił nas

O wylądowaniu w okolicy grupy dywersyjnej. Kurka Wodna był komendantem hufca i siłą rzeczy żywo obchodziło go bezpieczeństwo obozu. Wysłuchaliśmy tej wiadomości ustawieni w czworobok na placu apelowym, przed wieżyczką, w której mieścił się lokal sztabu i nad którą z wysokiego sosnowego masztu, nieznacznie tylko trącana leniwym podmuchem wiatru, zwisała flaga.

Chyba nigdy dotąd nie oglądaliśmy jej po ciemku, tak odmienionej i wypranej z koloru, zmalełej i pozbawionej jakiejkolwiek godności. Opuszczano ją z reguły o wiele wcześniej, ale tym razem apel się przeciągał, od stawu nadpełzały kłaczki mgły, od ziemi ciągnęło wilgocią i już zacierały się kształty wielkiego klombu na skraju placu z ni to sierpem

1 młotem, ni to zamazaną liczbą 52 pośrodku.

Właśnie ta liczba i coraz mniej rozpoznawalne twarze chłopców z naprzeciwka natrętnie przypominały mi o tym, że ktoś się dobrał dziś przed południem do zamelinowanej przeze mnie talii kart pasjansowych, wybierając z niej wszystkie figury i zostawiając przez nieuwagę dzwonkowego asa. Byłem przesądny i zanim Kurka Wodna w zwykłej asyście wysunął się wreszcie spod wieżyczki i lekko utykając wystąpił do przodu, wiedziałem już, że nie czeka nas nic dobrego.

- Ogłaszam stan ostrego pogotowia - powiedział Kurka Wodna. — Odebraliśmy meldunek o zrzucie obcej grupy dywersyjnej, która zamierza przedostać się na teren obozu.

Odczekał chwilę, rozglądając się po obudzonych z nieruchomej

obojętności szeregach, po czym zerknął na zegarek:

- Drużynowi wyznaczają wartowników do nocnej służby patrolowej. Pobudka o szóstej. O reszcie poinformowani zostaniecie przed wyruszeniem na akcję.

Machnął ręką i z góry, ze szczytu prowadzących do wieżyczki schodków, zapiała trąbka. Flaga na maszcie drgnęła, szarpnęła się i powoli, jakby się opierając, zaczęła się zsuwać w dół.

Patrząc wstecz, muszę przyznać: ogarnęło nas pewne podniecenie. Oczywiście, w żaden desant nikt z nas nie wierzył. Może tylko zbyt zapalczywie usiłowaliśmy się przekonać nawzajem, że żadnych prawdziwych dywersantów w okolicy nie ma i być nie może. Chyba jednak gdzieś w głębi duszy żywiliśmy coś w rodzaju niesprecyzowanej nadziei. Zbyt wiele słów, których nas nauczono, miało moc zaklęcia, przekonaliśmy się już, że wystarczyło je wymówić, aby stały się ciałem.

Wątpliwości nasze dotyczyły głównie kwestii prawdopodobieństwa. No bo czego niby miały tu szukać obce grupy dywersyjne? Czemu miałyby im zależeć na naszym boisku czy nawet placu apelowym? Co innego, gdyby chodziło im o kolonię karną w dawnym klasztorze za lasem. Chyba że miały przedawnione dane i z danych tych wynikało, że tu się nadal znajduje zamknięty obiekt wojskowy.

Wątpliwości usiłował rozwiać nasz drużynowy, wspominając o fladze - naszym skarbie najwyższym. Jego zdaniem dywersantom głównie musiało zależeć na pochwyceniu flagi.

- Lipa! Pic na wodę! Bujanie gości! - rozstrzygnął sprawę Gruby.

Z Grubym chodziliśmy do jednej klasy, był najlepszy w pływaniu i pewnie dlatego darowywano mu zarówno tuszę, jak nieustanne mędrkowanie. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i bawił się scyzorykiem, raz po raz próbując palcem jego ostrza. Posiadanie scyzoryków w obozie było tak samo tępione jak posiadanie kart, tyle że Gruby był przytomniejszy ode mnie i nie trzymał swojego scyzoryka pod poduszką.

- I jak niby mamy ich łapać? Na żywca?

Mówił do wszystkich, ale patrzył tylko na Wiła, który zrobił już świecę i mostek, i w milczeniu ćwiczył przysiady. Tak jakby można było odczytać cokolwiek z twarzy naszego reprezentacyjnego ciężarowca, raz nurkującej za czyjeś plecy, ukrytej, zagadkowej, nieznanej, raz wynurzającej się w górze - obojętnej i bez śladu wysiłku, o tym intensywnym i zarazem nic nie wyrażającym spojrzeniu utkwionym teraz gdzieś ponad naszymi głowami, pewnie w drzwiach. Wil naprawdę się nazywał Wilorik, co odcyfrowywało się zwyczajnie: „Włodzimierz Iljicz Lenin wyzwolił robotników i chłopów”, ale denerwował go nieprzewidziany deminutyw w imieniu, a że nikomu z nas nie opłacało się go denerwować, wołaliśmy nań: Wil.

Ćwiczył metodycznie, a z tyłu, pomiędzy oknem a ścianą, rozrastał się i kurczył jego załamujący się po kątach, wyolbrzymiony cień. Poruszał się jak sprężyna i nawet wtedy, gdy skoczył, czy też, jak mi się zdawało, upadł na Grubego, wyglądało na to, że nie przerwał ćwiczenia, tylko w tym swoim automatycznym i monotonnym ruchu, w tej swojej pionowej skali kurczenia się i prostowania zmylił po prostu kierunek i strzelił w bok zamiast w górę. Trwało to najwyżej sekundę, bo gdy się zerwałem na nogi, Gruby już leżał na łóżku, zasapany, obezwładniony, a Wil machnął jego scyzorykiem w powietrzu, raz i drugi, zanim zsunął się na podłogę. Przez chwilę się nawet zdawało, że wróci do przysiadów, ale tylko złożył scyzoryk i cisnął Grubemu, a ten gramoląc się z roz- bebeszonego posłania, nie patrząc, nieznacznym ruchem zmiotł go z łóżka i słychać było uderzenie trzonka o ziemię.

Wil wzruszył ramionami i podniósł głowę. Spojrzenie znów miał utkwione w drzwiach, ale tym razem w jego kocich, niemal całkiem pozbawionych koloru oczach było coś, co zmusiło nas wszystkich do obejrzenia się. W drzwiach stali Kurka Wodna i nasz drużynowy, a wyprzedzał ich o jakiś krok krępy facet w cywilu, pewnie z dowództwa chorągwi, bo wyglądał na czterdzieści lat albo i więcej, jak również na to, że prawie wszystkie te lata upłynęły mu na zdobywaniu przeróżnych sprawności, wśród których pierwsza musiała polegać na bezszmerowym



podchodzeniu chłopców hasających w swych niedomkniętych sypialniach.

- Co jest? - warknął Kurka Wodna, uważnie lustrując nas wzrokiem, mimo że wcale nie zanosilo się na to, by miał otrzymać jakąkolwiek odpowiedź. - Kłąć się, kurka wodna! - dodał bez uśmiechu, choć było oczywiste, że zarazem tak jakoś półgębkiem, porozumiewawczo uśmiecha się przez cały czas do tego faceta z chorągwi.

Nie czekając, aż się ruszymy, przekręcił wyłącznik przy drzwiach, a potem już tylko słyszeliśmy ciężkie kroki i odgłos zamykanych drzwi.

Oto dlaczego następnego ranka znalazłem się na ściernisku, w pół drogi między obozem a lasem, ukryty za nazbyt rzucającą się w oczy samotną kopą siana, i główny mój problem polegał na tym, jak mam się dostać do upatrzonej kępy wrzosów tuż przy niewysokiej skarpie okalającej staw. Nie musiałem podnosić głowy, aby sprawdzić kierunek czy odległość, znałem je na pamięć i pamiętałem też, że była tam rozpadlina, idealna do krycia się, a zaraz obok zaczynały się wysokie trzciny, prawdziwe szuwary.

Prawdę mówiąc, kręciło mi się trochę w głowie, bo przed godziną wypaliłem swego pierwszego w życiu skręta. Składał się z wysuszonych liści brzozowych wyfasowanych z kieszeni Grubego oraz skrawka gazety „Prawda” i dostarczył mi nadzwyczaj mocnych wrażeń. Na szczęście należało go co chwila zapalać na nowo, co pozwalało na doraźne zaczerpnięcie oddechu. Zużyliśmy przy tym zajęciu całe pudełko zapalek.

Te ówczesne zapalki radzieckie zapalały się mniej więcej tak, jak dziś nasze z Sianowa, i wiadomo było powszechnie, że dzieje się to za sprawą przemysłnych knowań ukrytych wrogów ludu. Spośród wszystkich znanych mi ludzi jedynie moi rodzice wydawali się nie podzielać tej ogólnej opinii. Nic dziwnego, świeżo przybyli z Hiszpanii i całkowicie się zagubili w nowej, prawdziwie wrogiej rzeczywistości.

- Specjalnie wyrabiają takie zapalki - tłumaczyłem kiedyś ojcu. - W niektórych nawet, nim się zapalą, widać wyraźnie profil Trockiego!

Ojciec spoglądał na mnie nieufnie, czuć było w tym jego zażenowanym

milczeniu jakieś zmieszanie. Co więcej, czuć było dezaprobatę; sięgałem więc pospiesznie po podręcznik historii dla czwartej klasy szkoły podstawowej i demonstrowałem jedno z niewielu ocalałych, bo jeszcze nie zaklejonych białym papierem zdjęć:

- Patrz! Sam się przekonaj! Tu, w brodzie Lenina wyrysowali swastykę, hakenkreutz\ A ten żołnierz z boku ma zamiast czapki ropuchę na głowie. Patrz!

Ojciec nie patrzył jednak na zdjęcie, patrzył na mnie, nadal bez słowa, nawet jakby z obawą, a matka wychodziła z pokoju. Do rozpaczki doprowadzała mnie ta głupota dorosłych.

A teraz leżałem z twarzą wtuloną między źdźbła ostro pachnącej słomy i snułem ambitne plany dotyczące do- pełnienia do pagórka nad wrzosami i stoczenia się w dół piaszczystym urwiskiem do skarpy. Zapalek już się pozbyłem, ale paczuszka z suchym prowiantem i wyposażeniem specjalnym nadal pętała mi ręce. Wepchnąłem więc ją na siłę do tylnej kieszeni spodnek i zacząłem się czołgać, wykorzystując ukształtowanie terenu, bo tak to się nazywało: owo jak najszczelniejsze przywieranie do ziemi połączone z wciskaniem się w każdą nierówność gruntu, posuwaniem się, podciąganiem. Ruch równie nikły jak wysuwanie nibynóżek, powrót do rozpląszczonej egzystencji rozgwiazdy, ameby, pantofelka Paramecium caudatum.

Słońce zaczynało przypiekać i choć miałem zegarek Grubego na rękę i wiedziałem, jak niewiele upłynęło czasu od rozstania się z nim i Mikrusem, przyspieszałem raz po raz, nie szczędząc łokci ni kolan. Pot zalewał mi oczy i myślałem

O Grubym, leżącym pewnie w samych slipkach nad brzegiem stawu, którego przebycie pod wodą mogło mu zająć najwyżej dwie-trzy minuty, podczas gdy ja opływałem ten staw dookoła, szorując brzuchem po suchej kłującej trawie. A przecież mieliśmy zdążać w tym samym kierunku, trzymając się blisko brzegu, przedzieleni jedynie pasmem trzciny, między którymi przemykał się najważniejszy z nas - Mikrus, ubezpieczony w ten sposób zarówno od strony lądu, jak wody.

Pozostali z naszej piątki - dwaj chłopcy, których nie znałem nawet z imienia - z pewnością tkwili teraz gdzieś po prawej, między krzakami. Tak sobie to wymyślili, że pościnają te krzaki i będą razem z nimi posuwać się od lasu, a Gruby nawet użyczył im scyzoryka. I gdy spoglądałem w tę stronę, wydawało mi się, że widzę wśród innych te dwa aż nazbyt ruchome krzaki. Zapewne było to złudzenie, gdyż jednocześnie widziałem w myśli całą naszą okolicę, od skrzyżowania dróg przed łąkami aż po las i druty, obsadzoną przez posterunki, przeczesywaną przez czujnie rozglądające się patrole,

I myślałem, że najlepsze zastępy ściągnięte zostały do obrony sztabu i flagi, i że Wil powinien być gdzieś w pobliżu wieżyczki, i że czułbym się o wiele pewniejszy, gdybym miał go tutaj zamiast Grubego i Mikrusa razem wziętych.

Wieżyczki nie było stąd widać, zasłaniały ją sosny i za nieruchomymi ich wierzchołkami mogłem się tylko domyślać jej wiązań. Pośliniłem palec, wiatr był słaby, akurat taki, by flaga lekko powiewała na wietrze. Flaga! Uczciwie mówiąc, nigdy nie przyszło mi do głowy, że może stanowić temat do jakichkolwiek rozmyślań. Jak dotąd była dla mnie po prostu atrybutem codzienności, tak jak zegarek Grubego. Wstawaliśmy, gdy ją podnoszono, i kładliśmy się po jej opuszczeniu. No i, rzecz jasna, pod nią się stało, a czasem za nią się szło - to był cały zasób mojej wiedzy praktycznej na temat flagi.

Pełzanie jednak najwyraźniej sprzyjało zastanawianiu się nad tym, co powiedział wczoraj o niej nasz drużynowy. Na dobrą sprawę niewiele miała wspólnego z oznaczeniem własnego miejsca na ziemi. Wręcz przeciwnie, wiała ponad trony, niosąc ze sobą zemsty grom, a także ludu gniew, samą swą barwą jednoznacznie potwierdzając hasło powszechnej równości.

Bo tę równość mieliśmy w sobie zakodowaną od jaja. Mniejsza nawet przez kogo. Albo wobec kogo. Byliśmy równi wobec siebie i to stanowiło główny nasz powód do dumy, a może i tytuł do chwały. To prawda, że nie wszystko z tą równością było jasne. A właściwie wszystko było niejasne.

Na przykład nie sposób było obdzielić nią wszystkich po równi. Ale i w kartach blotki brały w skórę od figur, dziesiątka przebijała szóstkę, a as waleta, tyle że w końcu każdy as trafiał na swoją feralną dwójkę. I to przywracało wiarę w równowagę świata, niezawodną jego sprawiedliwość. - tyle mniej więcej zdołałem ustalić podczas tego mozolnego czołgania się.

Coś plusnęło od stawu. Wiedziałem, że to nie ryba, bo ryb w stawie nie było, ale i nie Gruby, bo na niego byłoby za wcześnie; zwyczajnie Mikrus musiał pośliznąć się w trzcinach, a mimo to zaczęły mi się plątać ręce i nogi, to znaczy kolana i łokcie, zdecydowanie odmawiając posłuszeństwa. Dopiero gdy zmówiłem w myśli trzykrotne „Wspomnij na króla Dawida i wszystką dobroć jego”, zobaczyłem, że jestem już na wzniesieniu i zamiast spauzować, zwinąłem się i potoczyłem, poturlałem na ukos po łagodnym zboczu aż do skarpy i wylądowałem nie w tym miejscu, gdzie zamierzałem. I choć nogi nadal wydawały mi się z ołowiu i nie mogłem opanować ich drżenia, ruszyłem na czworakach do kępy wrzosów.

Upadłem przy niej, kiedy po prostu zabrakło mi tchu. Nie próbowałem nawet rozejrzeć się wokół, chciałem tylko jednego: pozbyć się tych natrętnych, ciemnych płatków przed oczami i żeby serce przestało się wreszcie tłuc w każdym włóknie nagle obcego mi ciała. Przewróciłem się na wznak i znów spróbowałem sztuczki z królem Dawidem, bo skoro poskutkowała za pierwszym razem, miałem wszelkie podstawy, by sądzić, że sprawdzi się i za drugim. A chodziło mi tylko o jedno: żeby czas się cofnął do poprzedniego dnia, żebym po prostu zacisnął powieki i znów się znalazł w sypialni, w której dopiero co zgaszono światło i pozostawiono nas w łózkach, sam na sam ze wszystkimi naszymi rozterkami, rozdygotanych, podnieconych i nieszczęśliwych.

Nie wiedziałem, kim był król Dawid, ale jak już wspomniałem, byłem przesądny. Wyjątkowo zabobonny nawet jak na członka Stowarzyszenia Wojujących Bezbożników (a wręczono już nam wszystkim legitymacje z tą pięknie wytłoczoną na okładce nazwą). Gdyż wszyscyśmy przy każdej okazji używali najprzeróżniejszych znaków i zaklęć - z Dawidem czy bez Dawida. Po prostu musiało nam czegoś brakować w tym naszym

wojującym bezbożnictwie, skądinąd podszytym nie tyle agresywnością, co niekłamany niepokojem. Dziś myślę, że brakowało nam niewiary.

Pamiętam, że w dniu, kiedy wręczono nam legitymacje, udaliśmy się pod przewodem Wiła na pobliski cmentarz, żądni jakiegoś czynu, który by ją - tę niewiarę - potwierdził. Bo i cóż innego, na dobrą sprawę, mogło ją potwierdzić, jak nie bluźniercza pogarda dla śmierci i tych głupich frajerów, jej poszczególnych ofiar. Pamiętam, że wałęsaliśmy się bezmyślnie między krzyżami aż do chwili, w której napotkaliśmy parocha w sutannie. A może był to diakon - równie pocieszna i obskurancka figura. A że czynne uczestnictwo miało odtąd zastąpić nam jałową refleksję, wybuchaliśmy zgodnym śmiechem na jego widok. I tak śmiejąc się ruszyliśmy za nim, i do ubogiej drewnianej cerkiewki wkroczyliśmy nieskłopotani, butni, nawet odważni.

Ale na tym skończyła się nasza odwaga, bo diabeł, jak wiadomo, nie znosi święconej wody, a cóż dopiero kadzideł i pień uroczystych, i pefgających płomyków świec wokół ustawionej na podwyższeniu otwartej trumny. Większość z nas po raz pierwszy w życiu ujrzała nieboszczyka. Odechciało nam się śmiechu, zasłanialiśmy dłońmi nasze czerwone krawaty równie płochliwym gestem, jakim w kąpieli zasłanialiśmy przyrodzenie. I po tej pierwszej, sromotnie przegranej potyczce z zaświatami zabobon pozostał jedyną naszą bronią przed każdym kolejnym z nimi spotkaniem.

Powtarzałem więc swoje zaklęcie, ogarnięty przemożną chęcią powrotu do wczorajszego dnia, a właściwie nocy, kiedy się obudziłem, czując jak ktoś mną potrząsa. Bardzo delikatnie, bo przewróciłem się tylko na drugi bok, mając w oczach resztki niespokojnego snu i mętłą świadomość tego, że za wcześnie jest na pobudkę. A potem usiadłem i zobaczyłem pochylonego nade mną Kurkę Wodną, a obok niego cywila, i domyśliłem się, że czas na nocną służbę patrolową.

- Ubierać się i na dwór! Szybko! - syknął Kurka Wodna. - Tylko bez hałasu, kurka...

Obrócił się i pokuśtykał ku wyjściu, zaś nieznajomy cywil już od drzwi

mrugnął do mnie znacząco i przyłożył palec do ust.

Przed barakiem czekało już paru chłopców. Nadal nie mogłem opanować tego ni to ziewania, ni to szcękania zębami i omal się nie roześmiałem widząc, jak ich również trzęsie z niewyspania czy zimna, bo z pewnością nie był to dreszcz podniecenia. Mgła kłębiła się nad łąkami; poznałem Grubego i Mikrusa z własnej drużyny.

- A więc tak - powiedział Kurka Wodna i odchrząknął, obrzucając nas uważnym, a zarazem jakimś dziwnie niechętnym spojrzeniem. - Wytypowani zostaliście do specjalnego zadania... Z pewnością należy to uznać za wyróżnienie...

Ruszył nie kończąc w stronę lasu, w ślad za krępyim cywilem i wszyscyśmy pociągnęli za nim, cała dziesiątka, bo zdążyłem już nas policzyć.

- Zadanie jest ściśle poufne - podjął Kurka Wodna i ponownie urwał patrząc, jak cywil schyla się po stojącą na ziemi wypchaną teczkę i wytrząsa z niej niewielkie pakunki - a potem obrócił się do nieznanego z jakimś gestem bezradności.

Tamten uśmiechnął się łagodnie i wystąpił do przodu.

- Zdjąć krawaty! - potwierdził, a Kurka Wodna, podsuwając się bliżej, przytaknął mu nieznacznym skinieniem. — Jesteście grupą dywersyjną. Za chwilę opuścicie teren. Ciężarówka przed bramą podrzuci was do pierwszej krzyżówki. Waszym zadaniem jest przedostać się z powrotem do obozu i omijając wystawione posterunki wysadzić w powietrze lokal sztabu oraz zniszczyć flagę.

Słysząc było, jak igliwie skrzypi pod butami Kurki Wodnej, niecierpliwie przestępującego z nogi na nogę z naręczem krawatów w dłoni. Któryś z nas głośno wciągnął ustami powietrze i zabrzmiało to jak westchnienie czy chlipnięcie. Nie musiałem się odwracać, żeby poznać, że to Gruby.

- Jasna rzecz - podjął po namyśle cywil. - Możecie niszczyć również

inne zabudowania.

Obrócił w palcach któryś z wysypanych z teczki pakunków.

- Macie tu prowiant i sprzęt - zademonstrował lśniące i uformowane na kształt kawałków kredy bryłki węgla. - Wszystko, co zostanie przekreślone w ten sposób, uznajemy za wysadzone w powietrze.

W milczeniu patrzyliśmy na przekreślony czarnym krzyżem brzozy pień.

- A nie mówiłem, że kino! Pic na wodę! - sapnął za mną Gruby.

- Są jakieś niejasności? Pytania? - spojrzał w naszym kierunku nieznajomy, ale że ja się nie poruszyłem, a Gruby wzruszył tylko ramionami, powtórzył jakby z rozczarowaniem: - Nie ma?...

Pytania oczywiście były. Całe mnóstwo pytań. Tyle że żaden z tych ważniaków, choćby nawet i z dowództwa chorągwi, nie potrafiłby na nie odpowiedzieć. Musieliśmy uczynić to sami, co też próbowałem robić, leżąc w tych wrzosach i przyglądając się sunącym w popłochu tam i z powrotem czarnym mrówkom, gdyż upadłem tuż obok niewielkiego mrowiska, a dokładniej na prowadzącej do niego ścieżce i spowodowałem nieprawdopodobne wprost zamieszanie.

Od strony stawu nie dobiegał już żaden odgłos, znów pamiętałem, że czasu mamy pod dostatkiem i ten czas, jak zmyślnie zauważył Gruby wręczając mi zegarek, pracował na nas. Bo jedyna nasza dywersyjna szansa polegała na tym, by wyrolować obrońców obozu biorąc ich na przeczekanie.

Sięgnąłem po swój pakunek: chleb z kielbasą i bryndzą. Bryłka węgla zawinięta była osobno. Spróbowałem postawić nią krzyż na paczuszce, ale papier był zbyt miękki i rozdarł się. Nie chciało mi się jeść, nadgryzłem tylko kawałek chleba z bryndzą, a gdy zauważyłem, że węgiel pobrudził mi palce, wytarłem je o trawę.

Plan Grubego był dobry, może nawet aż za dobry. Wil na jego miejscu z pewnością wymyśliłby co innego i nie musielibyśmy pluskać się w stawie

ani wyczekiwać godzinami w szuwarach czy wrzosowisku; a co ważniejsze, poszłoby nam wszystko jak z płatka. Prawdziwi dywersanci też chyba nie zawracaliby sobie głów tym chowaniem się po krzakach. Ale Gruby czy ja, czy ten cholerny Mikrus z tą swoją wadą serca i nieobecny spojrzeniem zza grubych szkielek, byliśmy chyba ostatnimi, którzy by się nadawali na prawdziwych dywersantów. Trzeba było naprawdę ingerencji jakiejś siły wyższej, żeby wybór padł właśnie na nas. No i skoro sprawy wyglądały tak, jak wyglądały, plan Grubego był właściwie bez pudła.

Mrówki nadal tłoczyły się wokół pokruszonego chleba i sera, usiłowałem więc zaprowadzić wśród nich porządek, pokierować nimi manewrując jakimś źdźbłem, a gdy się to nie udało, cisnąłem trawkę między rzędy owadów. Spowodowało to chwilową panikę, ale już po chwili została stratowana, zmieciona, zniesiona ze ścieżki. Zerwałem inną i wsunąłem wprost do mrowiska. Przypominało obóz, a krążące w pośpiechu mrówki zdawały się bronić go przed nieznanymi napastnikami, którzy podstępnie zamierzali wysadzić ich królową w powietrze. Spróbowałem nawet wytypować tych dywersantów spośród spieszących do mrowiska owadów, ale zaraz się pogubiłem. Skądinąd, żadna z tych mrówek z pewnością nie podjęłaby się tego zadania. Sprzeciwiałoby się to ich instynktowi, jak powiedziałyby Gruby.

Bo też panowała pośród nich prawdziwa równość.

Wetknąłem do mrowiska grubszą gałązkę, miała to być wieżyczka; nakreśliłem drogę, oznaczyłem las i staw, a potem spróbowałem wyobrazić sobie, że to mapa plastyczna, taka, jakich używa się w wojsku podczas gry wojennej, tej zabawy w czerwonych i niebieskich. Bo wszystko to było grą wojenną i w końcu nikomu nie przynosiło ujmy, że był po tej czy po tamtej stronie.

Wygodnie było tak patrzeć na wszystko z góry. Zaznaczyłem patyczkami nasze miejsca na obrzeżu mrowiska i zacząłem myśleć o tej drugiej piątce, o chłopcach, co to nie chcieli iść z nami, bo wykombinowali sobie, że przedostaną się do obozu od strony baraków dziewcząt. Do diabła z krawatami, zjawią się tam jako lotna inspekcja, pododdział specjalny w



dyspozycji sztabu.

Mieli pełno takich pomysłów i wykładali nam je z pełnymi ustami, bo ledwo wysiedli z ciężarówki, a już zabrali się do jedzenia i różnych zabaw ze swoim sprzętem bojowym. Bo wszystko traktowali jako zabawę, ucieszny, wesoły piknik. Myślałem o nich, aż sam zacząłem się śmiać patrząc na własne uczernione palce. Byli to pewni siebie, beztroscy, przystojni chłopcy i z pewnością umieli gadać z dziewczętami, tyle że będąc tak naznaczeni, za nic nie zdołaliby ich przekonać o czystości swoich intencji.

Ale niedługo się śmiałem, bo najpierw usłyszałem podniecone głosy z prawej strony, a potem zobaczyłem biegnący przez ściernisko patrol. A potem już całą gromadę chłopców. Sunęli ławą w stronę krzaków z zapamiętałym wrzaskiem. Przyłgnałem z powrotem do mrówczej ścieżki i zacząłem się wycofywać wzdłuż zarośli aż do następnej kępy wrzosów, ale że wrzask był coraz głośniejszy, wsunąłem się między trzciny. Stąd nic nie było widać, mogłem tylko nasłuchiwać i pewnie dlatego uderzyła mnie w tej wciąż nie milknącej wrzawie nuta, której nie znałem i której nie umiałbym pewnie określić, ale która przejęła mnie naraz ni to wstydem, ni to lękiem.

Lecz już po chwili uświadomiłem sobie, że depczę Mikrusowi po piętach, a przecież tego właśnie nie wolno mi było robić. Wyczołgałem się więc z tych przeklętych trzin i zobaczyłem zza wrzosów, jak wśród okrzyków i poszturchiwań prowadzą pojmany, którzy nie zdążyli się nawet uwolnić od tych swoich krzaków - pętały się im między nogami.

Za nimi widać było kawał pola aż do skraju lasu, a tuż przede mną zaczynała się łączka porośnięta wysoką trawą, która ciągnęła się aż do drutów. Niższy z jeńców musiał próbować ucieczki, wyglądało na to, że oberwał w szarpaninie albo sam skreślił sobie nogę w kostce, bo idąc podskakiwał jak Kurka Wodna.

Jeszcze miałem przed oczami tę oddalającą się, sunącą w stronę bramy procesję, a już wiedziałem, że muszę skorzystać ze zwycięskiego tańca ścigających wokół schwytyanych i dopełznąć czy dopaść w kilku susach

drutów w tym z dawna zapamiętanym miejscu, gdzie - przecięte — zwisały luzem. Może i bezpieczniej byłoby przeczekać, ale już widziałem się w wyobraźni na miejscu schwytanych, już - kurcząc się i rozprostowując, przetaczając się i podczołgując — widziałem, jak to wokół mnie krąży w zbiorowej ekstazie oszołomieni udanym polowaniem, triumfujący prześladowcy, i naraz poczułem w gardle ciężką, dławiącą kulę. Niemal nadziałem się z rozpędu na leżący obok ogrodzenia zardzewiały kikut kolczastego drutu i przywierając szczelnie do ziemi zakrztusiłem się nienawiścią.

A potem leżałem bez ruchu i czas mijał mi na tym leżeniu. Mijał równie leniwie, co przepływające w górze obłoki, rozsnute jak babie lato. Czas był nieodwracalny, nie musiałem odwoływać się do zegarka Grubego, wystarczał sam ciąg obłoków, żeby wysnuć fatalny, bo nic dobrego mi nie wróżący wniosek. Jeśli nawet spoglądałem na zegarek, to tylko po to, by raz jeszcze przyjrzeć się napisowi wygrawerowanemu na kopercie od spodu. Bo Gruby dostał go od matki na urodziny i był to piękny prezent. Prawdziwa pamiątka rodzinna.

Ale głównie patrzyłem na obłoki i zastanawiałem się, jak głęboka musi być studnia, z której również w dzień widać gwiazdy na niebie. Nigdy nie przypatrywałem się niebu ze studni i wcale nie planowałem tego na przyszłość, tylko wyobrażałem sobie, co by się stało, gdyby mnie do studni wtrącono. A wyobrażałem to sobie dlatego, że gdzieś przecież musiano trzymać jeńców w obozie. Przynajmniej do chwili, aż skończy się gra wojenna. Oczywiście później trzeba będzie ich wypuścić, a nawet zwrócić im krawaty. I wtedy z pewnością niczym nie będą się różnić od innych. I wszystko wróci na swoje miejsce, wszystko pozostanie jak dawniej.

A jednak im bardziej o tym rozmyślałem, tym bardziej odechciewało mi się tego wszystkiego: pełzania i podchodzenia, czajenia się i podkradania, a także śpiewów przy ognisku i czuwania pod flagą, którą miałem wysadzić w powietrze, aż wreszcie zapragnąłem już tylko jednego: przeleżeć tu bez ruchu w trawie aż do wieczora.

Za drutami widać było brzeg i zarośla, a tuż obok, o parę kroków - brzozy. Cienie w zagajniku rozkładały się wachla- rzowato i patrząc między pniami mogłem się domyślać boiska tam, gdzie większe prześwity znaczyły odległą polanę.

Gdzieś w pobliżu dzieciół z tęnym uporem tłukł w drzewo. Leniwie przeciągnął bąk, zakołował brzęcząc ostrzegawczo, ciężki, złocisty. A z pobliskiej kępy olszyny wyskoczył mały ptaszek o szarym podbrzuszu, zakręcił się w miejscu, łypnął na mnie podejrzliwie i odleciał.

Pewną ulgę przyniosła mi myśl, że obóz i tak, nie dziś to jutro, zostanie zwinięty. Za trzy dni załaduje się całe bractwo do pociągu i wywiezie do domów. Tyle że z tym domem też nie układało się najlepiej. W końcu byliśmy dziećmi i dom kojarzył nam się z resztą jego mieszkańców. To, co się im przydarzyło, nie pozwalało myśleć o domu.

Był mi teraz tak samo obcy jak ten, który oglądałem wieczorami z okna - przysadzisty budynek z naprzeciwka, wojskowy blok mieszkalny, który pamiętałem jeszcze jako pełen ruchu i głosów, i kolorowych cieni w rozświetlonych oknach. Ale też pamiętałem, jak z wolna zaczęły znikać światła, aż nadeszły całkiem oniemiałe wieczory, kiedy świeciło się najwyżej pięć-sześć okien w tym olbrzymim bloku z czerwonej cegły. A potem już pozostało tylko jedno, reszta gapiła się w świeżo wyasfaltowaną ulicę pustymi źrenicami.

No tak, to się nadawało do rozpamiętywania.

Przynajmniej wiedziałem już, że nie damy rady. Nikt nie dałby rady: ani Mikrus, ani ja, ani Gruby. Nie mieliśmy broni, białej ni palnej, ani bomb, ani dynamitu, ani nawet zapalek. I najprostszą rzeczą byłoby teraz przeleźć przez dziurę w ogrodzeniu i ruszyć spacerkiem w stronę zabudowań. Jak gdyby nigdy nic. Do baraku i do łóżka. Albo przez boisko, a dalej - prosto jak strzelił do placu apelowego.

Nie zdążyłem tego przemyśleć, gdy zaszeleściły krzaki, zachręściły pod nogami gałęzie.

- Uważaj! Tam!

Właściwie to było tak, że najpierw dobiegł mnie okrzyk zdumienia, a dopiero potem kroki, plusk wody i nagły wybuch głosów, i pospieszny tupot, i odgłos przedzierania się przez zarośla.

- Tam! W trzcinach! Patrz!

„Gruby!” - to było jak uderzenie w dołek. Bo cała przewrotność naszego planu miała polegać na tym, że najpierw Gruby, a potem ja, pozorując próbę przedarcia się do obozu, ściągniemy na siebie pościg, umożliwiając niepozornemu Mikrusowi właściwe działanie.

„Gruby!” - wśliznąłem się gładko za druty i już podrywając się do biegu, już przemierzając w myśli tę pierwszą sześćdziesięciometrową, obejrzałem się, by się przekonać, jaki kierunek obierze Gruby. I ponownie padając, przykleiłem się do pierwszego lepszego pnia. Nie Gruby, lecz Mikrus sunął od szuwarów z chustką w podniesionej wysoko ręce. Z daleka było widać, jak poprawia okulary i powiewa tą chustką w stronę nadbiegających chłopców, a był to gest tak jednoznaczny, że zaczęło mi naraz tętnić w skroniach i przed oczami znów zamigotały czarne płatki, które dopiero po roku sążone mi było zidentyfikować jako obłoczki wybuchów pocisków przeciwlotniczych.

Pewnie dlatego nie widziałem, jak pojmano Mikrusa, słyszałem tylko jakiś nieartykułowany wrzask, a gdy ostrożnie podniosłem głowę, wleczono go w zbitej gromadzie w stronę zabudowań.

- Dziewczeta już ich złapały! W sztabie wszystko powtórzysz! - usłyszałem czyjś okrzyk w odpowiedzi na protestujący ruch Mikrusa, który widać nie chciał się z czymś pogodzić, bo znów wokół niego się zakotłowało.

A więc wiedziałem już, gdzie ulokowano ich wszystkich - tamtych pięciu chłopców pewnych swoich uwodzicielskich talentów, a także dwóch miłośników krzaków, a teraz pewnie ulokują tam Mikrusa, a potem mnie i Grubego - w komórce obok lokalu sztabu, gdzie trzymano najrozmaitsze rupiecie, takie jak połamane leżaki, a nawet niepotrzebny zwój kolczastego drutu. Wiedziałem też, co chciał im powiedzieć wleczony do

sztabu Mikrus, mimo że go nie słuchali. Chciał im powiedzieć o Grubym i o mnie. Bo Mikrus nie tylko się poddał, ale i zdradził.

Stało się, plan wziął w łeb i na nic były wszystkie zaklęcia. Nawet gdybym miał w ręku karabin maszynowy, nie zaś kawałek węgla, stało się i nic już nie można było z tym zrobić. I nim przemknęło mi przez głowę, że na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo, co tu jest zdradą, już nie płatki latały mi przed oczami, lecz całe niebo zakwitło kolorowymi spadochronami jak na pokazie lotniczym. Bo trzęsąc się ze złości i połykając łzy wzywałem na pomoc wszystkich dywersantów, wszystkie dywizje desantowe świata.

I może nawet zostałem wysłuchany, gdyż z nieruchomej powierzchni stawu, niepoprzedzony żadnym ostrzegawczym dźwiękiem, wynurzył się Gruby. Wygramolił się z trzcin, z nagłym chlupotem przeciął ścieżkę na brzegu i sadził w stronę zagajnika. Widziałem go wyraźnie: twarz miał uczernioną i czarne cętki znaczyły jego ramiona, a węgielne smużki spływały wzdłuż ud. Słyszałem nawet, jak prycha, tyle że wszystko to było już bez znaczenia. Zastęp patrolujący brzeg, podniecony ujęciem Mikrusa, prześlepił Grubego.

Gapilem się jakąś chwilę, zafascynowany tym, jak przedziera się przez zarośla. Sunął boso i w samych kąpielówkach, a widok ten z reguły stanowił ogólną atrakcję i pretekst do niewybrednych żartów, ale tym razem nikt by nie zdążył się nawet uśmiechnąć, bo mimo swoich zwałów tłuszczu pruł, jeśli nie jak strzała, to z pewnością jak czołg. I to wyjątkowo zwrotny czołg, błyskawicznie manewrujący pomiędzy pniami.

Poderwałem się z ziemi i prawie zaraz straciłem go z oczu, ale już - nie w pełni jeszcze zdając sobie z tego sprawę - sadziłem w tym samym chyba kierunku, gdyż tylko wzburzone głosy zdezorientowanych prześladowców, którzy nagle sypnęli się przez zagajnik, pozwalały domyślać się, że Gruby skręcił w stronę boiska, zmierzając na skrót do wieżyczki. Tak jakby w ogóle nie zważał na to, że ci, co prowadzą Mikrusa, zawrócą na odgłos pościgu, żeby przeciąć mu drogę. Ale wiedziałem, że i to było bez znaczenia. Gruby dokonał wyboru, błyskawicznej korekty w swym planie,

w odróżnieniu ode mnie znał się na szachach i pamiętał, co znaczy nagła roszada. Nie pognał w stronę kwater i nie próbował się zgubić między zabudowaniami, żeby mnie pozostawić tę szansę. Bo tylko na mnie obliczona była jego straceńcza szarża.

Biegłem tak, jakbym brał udział w nagonce, ale skrajem zagajnika, lekko zbaczając w stronę kwater. I w biegu jeszcze raz zobaczyłem w prześwitach polanę i daleką sylwetkę pomykającego przez boisko Grubego. Zmierzał w stronę odległej bramki, choć już majaczyły przed nią jakieś figurki. Zapewne wyobraził sobie, że właśnie dostał podanie ze środka, bo myląc zwodem wyskakującego skądś obrońcę, zatoczył łuk do rogu, jakby chciał stamtąd scentrować do nadbiegającego lewoskrzydłowego. Ale i to była zmyłka. Przekazywał piłkę mnie, kluczącemu w zaroślach daleko za linią autu, skręcającemu właśnie w dróżkę prowadzącą między zabudowania. Przejąłem to podanie, sunąc lekko między drzewami i odmierzając oddech jak na treningu. I gdy tuż przed skrętem ktoś huknął do mnie zza brzóz: „Stać! Hasło!”, odkrzyknąłem szyderczo, nawet się nie odwracając: „Gówno prawda!”, i już nie pytałem o odzew.

Tak dobiegłem do pierwszego baraku, a potem dałem nura w wąskie przejście między magazynami i wyrwałem z kieszeni swoją bryłkę węgla. Ale nie przekreśliłem nią opasyłych okrągłaków, czekałem, aż się skończą i dopiero przy naszym baraczkę, kreśląc ten czarny krzyż na pochłapanej wapnem ścianie, pomyślałem o Grubym. A potem wśliznąłem się do wnętrza i dopadając naszej sypialni skreśliłem ją dodatkowo, tuż nad łóżkiem Wiła, zanim wyskoczyłem przez otwarte okno na ścieżkę, którą wracaliśmy wczoraj z apelu. Bo to był mój własny skrót, który zakodował się we mnie nie wiedzieć kiedy, może w jakimś śnie.

I tak samo jak we śnie ruszyłem ścieżką już bez pośpiechu, starając się nie patrzeć na wyrastające przede mną wieżyczkę, maszt i flagę. Przyszło mi to tym łatwiej, że na placu apelowym był jakiś ruch, zapewne prowadzili do sztabu Mikrusa, a może nawet Grubego. I znów miałem w oczach jego zwycięski bieg przez zagajnik i pomyślałem, że jednak nie dał się zepchnąć do kwater, żeby nie wejść mi w drogę, kiedy poczułem naraz

jakieś mrowienie na karku, coś jakby czyjaś obecność z tyłu, tuż za mną.

Obejrzałem się raz i drugi i za drugim razem mignęła mi za krzakami krępa sylwetka i kilka drobniejszych postaci. I nagle zrozumiałem, że jednak policzyli nas sobie na palcach i ścigają teraz już mnie, i to bez wrzasku i krzyków, w jakimś zaciętym milczeniu.

Uskoczyłem w bok i zgubiłem kierunek; kilkoma susami dopadłem najbliższych drzew, przesadziłem jakiś żywopłot i upadłem za nim, łapiąc ustami powietrze. A gdy zaczerpnąłem już tchu, zrozumiałem, że leżę w samym środku wielkiego klombu tuż na skraju placu.

Od początku śledziliśmy jego kwietny żywot, na naszych oczach płowiał na jego spaśnym cielsku roślinny tatuaż godła imperialnego, pieczęć herbowa, wyglądająca z dala na liczbę 52, porosła wybujałym przez te cztery tygodnie zielskiem. Leżałem na obrzeżu zdeformowanego emblematu i patrzyłem na flagę, symbol naszej równości, gdyż z tego miejsca tylko ją było widać spoza okalającego klomb żywopłotu. I dzieliło mnie od niej najwyżej kilkadziesiąt metrów. I jedyne, co mogłem uczynić, to cisnąć w nią tym swoim nieszczęsnym kawałkiem węgla.

Obróciłem go w palcach i wgniotłem w ziemię, i wtedy właśnie namacałem kamyk, jeden z elementów gustownego obramowania kwietnej dekoracji. A że był za mały, przesunąłem się trochę wzdłuż obramowania i trafiłem na większy, prawdziwy kawał brukowca. A potem na drugi.

Znów spojrzałem na flagę i ponad nią, w niebo. Było puste. Niemal całkiem niebieskie, najwyżej dwa-trzy obłoki i ani jednego dmuchawca spadochronu. Ale za to przez prześwit w żywopłocie dostrzegłem biegnących od wieżyczki chłopców z mojej drużyny. Musieli zostać zaalarmowani, rozsypani w tyralierkę otaczali teraz plac ochronnym kordonem. I pierwszym, kogo rozpoznałem, był Wil, z tą jego przyczajoną sylwetką i niedbałym krokiem, i oczami równie pustymi jak niebo, równie pozbawionymi wyrazu jak zaciągnięte bielmem ciemności okna w opuszczonym domu.

Chwilę jeszcze klęczałem w środku porośłego chwastami herbu, gdzieś

między sierpem a młotem, a potem zerknąłem odruchowo na zegarek i cisnąłem pierwszy kamień, mierząc starannie, bo powiedziałem sobie, że ten kamień jest mój. Ale trafiłem dopiero za drugim razem, następnym kamieniem, kamieniem mojego przyjaciela Grubego, który naprawdę nazywał się Kolka Bieleńki i którego matka przed sześcioma zaledwie tygodniami wyskoczyła albo wypadła, albo została wypchnięta z otwartego okna własnego mieszkania na szóstym, najwyższym piętrze wojskowej kamienicy, stojącej naprzeciw naszego domu.

Zakładnicy, czyli dzwonnkowy as

Gmach miał dwa wejścia, pewnie było ich więcej, ale znałem tylko te dwa.

Pierwsze było frontowe, okazałe, z olbrzymim holem, na ogół prawie pustym. Siadywało się tu w miękkich fotelach, w rozpiętym płaszczu i z czapką w rękę, a czasem się szło przez szerokie, wyściełane chodnikami korytarze. I drzwi w nich były nie mniej okazałe niż drzwi przy wejściu, wielkie i ciężkie, z fornirowanego drewna. Po obu stronach holu stały dwie czerwone blaszane skrzynki, kilkakrotnie większe od pocztowych, i należało wrzucać do nich podania lub listy zaadresowane do osób, których godności i stanowiska wypisane były na skrzynkach białym lakierem, każde słowo z dużej litery, a nazwisko i imię wyrzyte jeszcze większymi literami.

Drugie wejście było od podwórza, które wyglądało jak każde inne miejskie podwórze. Skręcało się z bramy na prawo, gdzie stało coś w rodzaju parterowej przybudówki na siłę przylepionej do gmachu. Była to właściwa poczekalnia, i to dość obszerna, mnóstwo ludzi siedziało tu wzdłuż ścian na ławach, a niektórzy nawet przynosili ze sobą książki. Pośrodku stały dwa albo i trzy stoły, pisano na nich podania lub wypełniano druczki, które można było otrzymać w okienku tuż przy drzwiach, sporo węższych od drzwi z tamtej strony gmachu i obitych zwyczajną ceratą. Kiedy się otwierały,

w poczekalni zapadało ogólne milczenie, całkowita cisza, a tłoczący się wokół stołów ludzie gapili się na tych, co wysunąwszy się z drzwi, zazwyczaj w pośpiechu torowali sobie drogę w rozstępującej się cizbie.



A potem wymieniano szybkie spojrzenia i kolejny petent, siedzący dotychczas przy samych drzwiach, podnosił się niezdecydowanie, ostrożnie uchylał drzwi do połowy i pytał, czy może wejść. Kiedy znikał za nimi, przesuвано się na ławach zgodnie z ustaloną kolejnością; jakoś nikt nie próbował tu wejść poza kolejką.

No i jeszcze jedno: od czasu do czasu stawał w drzwiach oficer z papierem w garści i trzymając go blisko oczu wywoływał czyjeś nazwisko, z reguły przekrecone nie do rozpoznania, ale nie przez nieuwagę, tylko dlatego, że nazwiska pisano odręcznie, nie na maszynie. Wywołany w popłochu zrywał się z miejsca i wśród ogólnego, choć ukrywanego poruszenia również znikał za drzwiami. Przypominało to wyliczankę, sakramentalne: na kogo wypadnie, na tego bęc!

Gmach był oficjalną siedzibą resortu spraw wewnętrznych - NKWD. Dokładny adres: Kuznieckij Most 24.

Nie, nikt nas tutaj nie doprowadzał ani nie wzywał, byliśmy wolni. Co prawda, wzięto nam zakładników, ale my byliśmy wolni.

Jeszcze w czasach prehistorycznych, za caratu, galernicy Imperium mieli naszyte na plecach pomarańczowe ukośne kwadraty i przepisowy strój katorżniczy nazywano dzwonkowym asem. Władza radziecka skasowała te dystynkcje, uznając je za uwłaczające godności człowieka i obywatela. Asy schowano w rękawach i od tego czasu mieliśmy je wszyscy wygarbowane na skórze.

Toteż chyba tylko dla niepoznaki czy dodania sobie animuszu nakłuwano jeszcze kotwice marynarskie i serca przebite strzałą na nadgarstku czy przedramieniu. Tatuáže załatwiano od ręki chociażby na bazarze Tiszyńskim, na zapleczu, zaraz przy murku, przy którym majestatyczni ślepcy o osłupiałych twarzach proroków wróżyli przekupkom z dłoni.

Kiedyś, po korzystnej transakcji, dojadając kulebiak zgarnięty z pobliskiego stoiska, przepchnąłem się zuchwale przez stłoczoną gromadę gapiów, żeby wsunąć bez słowa dłoń w czyjeś ciężkie sękate łapska.

Obróciły nią parę razy jak piórką, jakby zdumione jej niezwykłą kruchością, a ja, ściśnięty w tłumie, zdałem sobie sprawę z własnej pomyłki, dopiero gdy posłyszałem ten usłużny, namaszczony głos obiecujący mi wszelką pomyślność, dostatek i rychłe zamaż- pójście.

Dławiłem się wciąż resztkami nadziei z ryżu i jajka, gdy narastający dokoła chichot przerwał ślepcowi w pół słowa. Zamilkł skonsternowany i w skupieniu jął ponownie badać moją dłoń, aż domacał się wreszcie rękawa marynarki. „Kib- lowałeś w pudle?” - zapytał rzeczowo całkiem już innym, zdartym, przepitym głosem, mocniej zwierając paluchy na moich kostkach. „Nie!” - krzyknąłem zaskoczony, bo w końcu wciąż jeszcze miałem trzynaście lat. „To będziesz kiblował” - przyrzekł solennie i zwrócił mi ten galaretowaty skrzep pulsującego bólu, który do niedawna był moją dłonią.

Więzienie tutaj stanowiło nieodłączną część egzystencji ludzkiej, a zarazem równało się niebytowi, niezgłębionym czeluściom. Mimo to nie przejąłem się przepowiednią. Byłem zbyt obyty z tematem.

Z więzień moskiewskich autentyczną grozą napawało mnie więzienie lefortowskie, które zapamiętałem jako okoloną murem i zasiekami, samotną ceglana wyspę, sterczącą gdzieś na odludziu; potężne gmaszysko z ponurą zieloną pleśnią drewnianych blind zamiast zwykłych okien z kratami. W porównaniu z nim więzienie butyrskie - dawne koszary pułkowe - wyglądało jak niepozorny, w miarę zdewastowany ośrodek wczasowy. Najbardziej jednak czułem się zżyty z tym dyskretnie żyłkowym, tym o niebieskim deseni, karraryjskim marmurem byłego towarzystwa ubezpieczeniowego ROSJA, kryjącym słynne Więzienie Wewnętrzne, potocznie zwane - od dawnej nazwy ulicy i placu - Łubianką. Tutaj byłem prawie zadomowiony, ściślej mówiąc, tuż obok, zaraz za rogiem, w gmachu pod numerem dwudziestym czwartym, w poczekalni, w której tak przestrzegano kolejności, że kiedy ktoś musiał załatwić sprawunki na mieście, zawsze prosił, by o nim pamiętano.

Nie było z tym problemów, zwłaszcza że już po paru tygodniach wszystkie twarze w poczekalni wydawały się z dawna znajome, czy to

przez jakiś rys wspólny, czy też istotnie tak się nawzajem zapamiętywano. Dość, że się poznawano również w metrze i na ulicy. Albo i nie poznawano, zależnie od okoliczności.

Inna rzecz, że rozmowy, jakie toczono z tymi znajomymi, były raczej zdawkowe, składały się głównie z półsłówek i niedomówień. Ale zdarzali się też nieznajomi.

Przybywali nie wiedzieć skąd, z miast, których nazwy słyszało się najwyżej na lekcjach geografii, albo też w ogóle się nie słyszało. Przybywali po to jedynie, by znaleźć się tu, w przybudówce, w tym pokoju za ceratowymi drzwiami, ozdobionym offsetowym profilem Dzierżyńskiego na ścianie. Skądinąd, była to jedyna ludzka twarz w tym pokoju. Przynajmniej rysy jej zdawały się wyrażać pewną przychylność, może nawet życzliwość. Nic dziwnego, Feliks Edmundowicz nie żył, i to od dawna, co na swój sposób również budziło w nas sympatię, jako że eliminowało pierwszego czekistę z powszechnej zabawy w złodziei i policjantów.

Co do przyjezdnych, byli bardziej od nas wymowni: pozbawieni rutyny, oszołomieni stołecznym jazgotem, dzieje swoje streszczali z przejęciem, ze szczegółami, rzadziej - z dystansem, jakby opowiadali o kimś innym, jeszcze rzadziej - z rezygnacją, a nawet pogodą.

Miejscowi słuchali ich chętnie i jeszcze chętniej udzielali przestróg i rad.

Przysłuchiwałem się tym rozmowom z zaciekawieniem, bo to było tak, jakbym po raz nie wiedzieć już który kartkował zaczytaną ze szczerem książkę, tyle że te same przygody przydarzały się coraz to innym postaciom.

Pewnego razu znalazł się między nami nawet generał w pełnej gali. Pamiętam, że gdy wszedł do poczekalni, próbował zdjąć płaszcz, ale nie było go gdzie powiesić, pozostał więc w rozpiętym płaszczu i z początku widać było galowy mundur i wszystkie błyskotki na jego piersi, aż w końcu musiał się zapiąć, bo drzwi na podwórze bez przerwy się otwierały i w izbie robiło się coraz chłodniej. Generałowie byli podówczas rzadką

atrakcją, bo dopiero od lata wprowadzono ten stopień w wojsku, toteż przybysz od razu skupił na sobie powszechną uwagę, nawet ja się w końcu poczułem zażenowany i ustąpiłem mu swoje stałe miejsce przy parapecie. Ale gdy się już znalazłem w pokoju za drzwiami, zobaczyłem go przy drugim biurku, naprzeciw porucznika w mundurze z błękitnymi wypustkami na kołnierzu mówiącego coś bardzo podniesionym głosem, podczas gdy generał miał twarz w ceglastych wypiekach i mimo że milczał, trzęsły mu się broda i usta. Kryzys pewnych wartości objawił mi się już wcześniej, ale tak radykalne odwrócenie ich hierarchii wydawało się na swój sposób imponujące.

Kiedy po latach wspomniałem o tej scenie generałowi Nesterence, szczęściarzowi, który w odróżnieniu od swoich rówieśników uszedł z życiem z Madrytu, Norylska i Workut- łagu, uśmiechnął się tylko z przymusem, wołał puścić to mimo uszu. Możliwe, że osiemnaście lat kopalń, wiecznej zmarzliny, wyrębu tajgi i układania w niej torów kolejowych uwrażliwiły go właśnie na sprawy honoru munduru. Odpuścił mi jednak ten nietakt, bo żywił do mnie całkiem nieuzasadnioną słabość, a to ze względu na ukraiński pseudonim mojego ojca w tymże Madrycie. A że rzecz się działa dla odmiany w Warszawie i jakoś trzeba było ciągnąć tę niezbyt szczęśliwie rozpoczętą konwersację, spojrział z zadumą w okno i westchnął: „Gdybyście tylko wiedzieli, ilu Polaków pochowaliśmy za polarnym kręgiem!”. A gdy bąknąłem coś o wspólnym grobie, przeniósł na mnie zdumiony wzrok: „Groby? Pewnie, że pełno tam grobów. Ale waszych oficerów kładli pod podkłady kolejowe. Zwłoki tam zamarzają na kość”.

Ale to już był świat przyszłości i działały w nim prawa wielkich liczb, ta wyższa matematyka wypełniająca wzorami pętli, dołu i sidła nedorzeczną przepaść pomiędzy arytmetycznym i geometrycznym ciągami Thomasa Roberta Mal- thusa - matematyka holocaustów, o której w czasach poczekalni jeszcze nie miałem pojęcia.

Wkraczałem dopiero w świat liczb małych, liczb z moich podręczników szkolnych. Kuznieckij Most miał swoją liczbę, a pobliska ulica Piotrowka swoją - trzydzieści osiem - bo to był adres prokuratury, gdzie

antyszambrowałem przed gabinetem służbowym prokuratora Kulczyckiego, uginającego się pod ciężarem polskiego brzmienia swego nazwiska i nie przeczuwającego jeszcze, jak zawrotną zrobi na nim karierę, zaraz po wojnie, w „procesie szesnastu”.

Te małe liczby nie miały dla mnie tajemnic, może dlatego że kojarzyły mi się ze wszystkim, z liczbą lat grożącego wyroku czy porządkową cyfrą artykułu kodeksu karnego, a także z jego paragrafami, o których nikt z nas nic bliższego nie wiedział. Pięćdziesiąt osiem - jeden „a”, pięćdziesiąt osiem - osiem przez jedenaście, tak układały się te równania. Zdrada ojczyzny, terror, udział w spisku grupowym. Ale te liczby majaczyły dopiero na horyzoncie. Na razie byłem na etapie przekazywania pieniędzy w dyżurce przed bramą le- fortowskiego więzienia śledczego, cztery razy w miesiącu. Po pięćdziesiąt i dwadzieścia pięć rubli, siedemdziesiąt pięć na osobę, czyli razem sto pięćdziesiąt.

Był to również sposób na dowiedzenie się czegokolwiek

O losie zakładników. Bo to zawsze była loteria: przyjmą nie przyjmą.

Jeśli nie przyjmowano pieniędzy ani na Łubiance, ani w Lefortowie, należało próbować szczęścia w innych miejscach: Taganka, Butyrki, Matroskaja Tiszina. Raz tylko zgubiłem matkę, gdy trzymano ją przez trzy miesiące w słynnej Suchanowce, zwanej „daczą”.

Właśnie za sprawą tych stu pięćdziesięciu rubli objąłem się po bazarze Tiszyńskim z ciuchami z walizki rodziców, pozostawionej pod moim łóżkiem i przeoczonej przez czujne organa ścigania.

Wszystkie ścieżki zbiegały się jednak tu, w poczekalni. Oczywiście, odwiedzało się i tamtą, frontową część gmachu, by włożyć do stojących w holu skrzyń kopertę ze starannie wykaligrafowanym adresem, mieszczącą w sobie kolejny rejestr żalów, skarg, próśb. Cóż, kiedy najwyraźniej przeznaczone były do innego rodzaju korespondencji i za anonimowymi forniowanymi drzwiami czekała równie anonimowa

1 równie nieprzenikniona odpowiedź, odsyłająca nas z powrotem do

przybudówki w podwórzu. Toteż wracaliśmy do tej przytulnej i w najdrobniejszych szczegółach zapamiętanej izby, żeby wypełnić urzędowe druczki datami, wydarzeniami, byłym życiorysem ludzi, których realna obecność została naraz tak całkowicie podważona, że nawet istnienie ich wydawało się wątpliwe. Bo tylko w ten sposób można się było dowiedzieć (w tygodniowym terminie), czy gdzieś w świecie wyższych racji i nieodwracalnych decyzji, w tej ostatecznej instancji, nie zapadły wyroki do reszty zaprzeczające niepewnej ich egzystencji.

Druczki rozkładano na stołach i wypełniano starannie w trzech egzemplarzach.

Oficerowie w pokoju za obitymi ceratą drzwiami zmieniali się nazbyt często, by móc sobie wyrobić o nich jakiegokolwiek zdanie. Ale różnili się między sobą i bywalcy woleli jednych od drugich. Właściwie trudno byłoby określić, na czym miała polegać ta różnica. Odpowiedzi, jakich udzielali, brzmiały prawie zawsze tak samo. „Śledztwo jest w toku”, albo też „Śledztwo się toczy” - żaden aktor nie potrafiłby zbudować roli na tak nic nie znaczącej replice, a to nie byli aktorzy.

Ale mimo to w poczekalni komentowano, roztrząsano, analizowano tysiące podobnych odpowiedzi, próbując doszukać się w takim czy innym rozłożeniu akcentów pomyślnej lub niepomyślnej zapowiedzi na przyszłość.

Tamtego dnia nie musiałem wypełniać druczków. I nie przysłuchiwałem się rozmowom. Przyszedłem po odpowiedź i jak zawsze, gdy się jej spodziewałem, nie umiałem się zmusić do wysłuchiwania nawet najbardziej frapujących zwierzeń. Jedyne, czym mogłem się zająć, to zapamiętywaniem rodziców. Rozpamiętywałem ojca, bo o matce bałem się myśleć.

Ojciec był tak samo jak ja pechowcem. Po prostu nic mu się nie udawało. To znaczy najpierw nie udał mu się jego własny ojciec, mój dziadek, którego błędne poglądy i niewłaściwa postawa sprawiły, że został burmistrzem miasta Aleksandropol, dopiero po upadku niepodległej Armenii nazwanego Leninakanem. Potem nie udało mu się powstanie,

które wzniecił przeciw dziadkowi w tym swoim rodzinnym mieście. A dalej, po różnych perypetiach, nastąpiło pasmo samych niepowodzeń, bo nie udało mu się ani Komuna Kan- tońska, ani cała ta rewolucja w Chinach, nie wspominając już o wojnie domowej w Hiszpanii. Nawet to, że udało mu się ożenić z moją matką, niesło w sobie znamiona klęski ze względu na owoc tego małżeństwa, czyli moją skromną, a tak obciążoną dziedzicznie pechem osobę.

Bo muszę tu dodać, że nie miałem wówczas powodów do samozadowolenia. Raczej wręcz przeciwnie. Mniejsza nawet o rozpaczliwe obijanie się po urzędach, ale ten niewolniczy dzwonkowy as pod skórą coraz bardziej dawał mi się we znaki. Nie, nic nie miałem do zarzucenia własnej postawie, poza tym, że była nienaturalna. Po prostu nie umiałem w tym wszystkim się znaleźć. Wzięto mi zakładników, a ja nie umiałem ich wydobyć z potrzasku. Nie dorosłem do sytuacji.

I odrabiając klasówki z czołobitnych podań i próśb, czułem się jak szczeniak pozostawiony na wycieraczce przed obcymi drzwiami. Jeszcze nie zmuszono mnie do płaszczenia się, ale już kazano podawać łapę i podsuwano do całowania rękę, w której najchętniej zatopiłbym zęby.

Do tego mniej więcej punktu doszedłem w swych medytacjach, kiedy się otworzyły drzwi i oficer z papierem w ręku wywołał mnie po nazwisku. I pewnie dlatego, że nie zostało przekreślone, tylko wypowiedziane poprawnie i wyraźnie, nie pojąłem od razu, że chodzi mu właśnie o mnie. A potem się nagle spociłem.

W przybudówce było ciepło i ciepło było na dworze. Nie do wiary, że szedłem tu w zeszłym tygodniu przez rzekę, na dobre, zdawałoby się, ściętą skorupą lodu. Dopiero gdy usiłowałem przeskoczyć przez jakąś drobną ryś, lód się załamał i nie wyostałbym się z przerębli, gdyby nie pomoc przechodniów. Przez pół dnia suszyłem się w kolejce do składania druczków, a gdy wracałem - tym razem przez most, trolejbusem - zobaczyłem rzekę wolną od kry na całej szerokości, wezbraną pełną i czystą, niemal wiosenną falą. Wtedy dopiero nagle odjęło mi oddech, dowlokłem się do domu na miękkich nogach.

Otóż, to był ten sam strach. Przynajmniej ten sam rodzaj strachu. Obezwładniający. Jeszcze zdążyłem przed drzwiami pomyśleć, że to jakaś pomyłka, i zatrzymałem się w progu czekając, aż rzecz się wyjaśni.

- Na co znów czekacie? — zapytał oficer. Teraz, kiedy już siedział przy biurku, wydało mi się, że to ten sam porucznik, który kiedyś tak beształ generała. Bo tamten również miał coś nie w porządku z oczami.

Oficer uporczywie wpatrywał się we mnie, a ja z kolei próbowałem ukradkiem przyjrzeć się jego twarzy, ale rozdygotany widziałem ją raz w wypukłym, raz wklęsłym lustrze. Dopiero gdy się oparłem o brzeg biurka, przekonałem się, że widzę tę twarz po raz pierwszy.

- Siadajcie — powiedział oficer i skinął w stronę krzesła. Patrzyłem w milczeniu na kształtne palce o krótko przyciętych paznokciach, które sprawnie przebierały w stercie pa- pierzysk. Poznałem zapisane własnym maczkiem arkusiki, zanim jeszcze przetasował je i rozłożył przede mną.

- Coście tu napisali? - zapytał.

Zgarnąwszy któryś z tych druczków, zacząłem pospiesznie odczytywać to, co napisałem.

- Nie o to pytałem - poruszył się oficer, który nadal przyglądał mi się ni to z niechęcią, ni to z niesmakiem, a teraz pstryknął palcem w miejsce oznaczone rubryką „Nazwisko, imię i imię ojca”: - Tutaj coście napisali!

Był to kwestionariusz matki. Odczytałem głośno jej nazwisko, imię i imię jej ojca.

- Pytałem: coście napisali? Co to jest? - podkreślił paznokciem pierwszą literę imienia mojego lubelskiego dziadka Henryka. - Albo to! - zahaczył na drugim kwestionariuszu o tę samą literę w imieniu aleksandropolskiego dziadka - Gegama, odziedziczonym po którymś z tych roztrzęsionych ormiańskich łańcuchów górskich.

- Litera G - odpowiedziałem zgodnie z prawdą, ponieważ w języku rosyjskim obydwie te imiona wymawiano i pisano przez G.



- To jest małe G - wyjaśnił oficer. - Małe! A imiona się pisze z dużej litery!

Znów patrzył na mnie, a ja się gapiłem na niego, aż wreszcie zrozumiałem, co było z tymi jego oczami. Były całkiem białe. Patrzyły na mnie pusto spod opuchniętych powiek, niemal pozbawione źrenic. Wiele lat później zdarzyło mi się widzieć coś podobnego na równie bladoróżowej i gładkiej, jakby świeżo wydobytej ze słoika ze spirytusem twarzy prezesa związku literatów radzieckich — Aleksandra Fadiejewa.

- Małe G! - powtórzył oficer i pokręcił z dezaprobatą głową. Znad jego głowy zezował na mnie portret Żelaznego Feliksa, rycinowego Polaka, rycerza bez skazy, opiekuna wdów i sierot. - Cóż to?! - pochylił się nad blatem. - Rodziców własnych nie szanujesz?!

To był właśnie ten moment. Błysk krótkiego spięcia i trzask bezpieczników, kiedy wysiadają wszystkie systemy obronne, strach zostaje zniesiony i z nieposłusznych warg zrywają się bełkotliwe żałosne słowa. Albo chwila iluminacji, jak kto woli. Bo - podszyty dzwonkowym asem równie skutecznie, co ów honor karowy swoim znaczącym spodem - zobaczyłem w tym niemal magnezjowym rozbłysku coś, co sprawiło, że nie wykrzyczałem tych słów.

Ten siedzący naprzeciwko mnie człowiek w lamowanym błękitem mundurze nie był przypadkowym urzędnikiem biura informacji NKWD, był oficerem dochodzeniowym. Śledczym mojej matki! Z całą pewnością nie ojca, lecz właśnie matki! I nic, co mnie dotyczyło, nie było dlań tajemnicą.

Oczywiście nie wiedziałem jeszcze, że nazywa się Nikołajew i zasłużył sobie na te trochę relaksu po beznadziejnie jałowym, trzytygodniowym przesłuchiowaniu non stop, tak zwanej „taśmie”. Nie wiedziałem też, że matka jest już w szpitalu więziennym, chwilowo poza zasięgiem władz śledczych, a nawet sądowych.

Wiedziałem tylko tyle, że dla niej to ja, ja t kolei jestem zakładnikiem, bo takie były nasze wzajemne uwarunkowania. I z tym człowiekiem po

drugiej stronie biurka łączyła mnie jakaś niezgłębiona, mistyczna, niemal intymna więź... Strach powracał kuchennymi schodami. A nawet kilka strachów, z których jeden wypierał drugi, konkretny i namacalny górował nad metafizycznym.

Milczałem pochylony nad kwestionariuszem.

- Nie szanujesz własnych rodziców - powtórzył w zamyśleniu oficer.

Siedział teraz bez ruchu, zadumany, markotny, zaś ascetyczny profil Feliksa Edmundowicza nad jego głową natrętnie kojarzył mi się z postacią błędnego rycerza z ilustracji do książki spoczywającej w moim tornistrze. Niewykluczone, że ta oszczędna, szlachetna kreska pochodziła z tej samej pracowni, wyszła spod ręki jednego artysty.

„Jemu naprawdę chodzi o to, żebym szanował rodziców” - przemknęło mi przez myśl. Poczułem naraz okropne zmęczenie. Życie było zbyt skomplikowane. I zmaganie się z nim wymagało wysiłku ponad wszelką miarę. Gęsia skórka na plecach układała się w ornament dzwonekowego asa. I mój rozmówca, choć spoczywał na nim ciężki obowiązek dochodzenia utajonej prawdy, nie chciał ode mnie niczego poza tym, bym mimo nieszczęścia, jakie spadło na moich rodziców, zachował dla nich resztki synowskich uczuć.

Ręki podsuwanej do całowania nie sposób było ugryźć. Ani ucałować. Gdyby można ją było chociaż pokochać.

Wtedy wszystko stanęłoby na właściwym miejscu.

Już ją kochałem.

No, może trochę przesadzam. Ale tylko trochę.

Tyle że ten oficer, ten Nikołajew, wcale tego nie zauważył. Jakoś musiałem go zawieść. Wyraźnie stracił do mnie serce.

- Litera G pisze się tak - powiedział i pokazał mi, jak się pisze litera G.

Była inna niż moja, poprzedzona wielkim zakrętasem, niemal skopiowana z podręcznika kaligrafii.

- Tak się pisze! - pokazał. Milczałem.

- Ile masz lat? - upewnił się. Nie patrzył już na mnie, całkiem zniechęcony utkwiał spojrzenie w jakimś punkcie wysoko nad oknem.

Powiedziałem mu i spróbowałem poprawić literę G.

- Nie, nie! Zabieraj si<sup>^</sup> z tym. Tak nie wolno - powiedział oficer. - Rodziców trzeba szanować - powtórzył z naciskiem, ale już bez większego przekonania.

Jeszcze raz spojrzał na mnie, stojącego przed biurkiem z rozlatującymi się papierkami w rękę, i pokiwał głową.

- Idź, idź - powtórzył. - Idź i wypełnij wszystko na nowo.

styczeń - marzec 1989 r.

Od czego by tu zacząć?

Chyba od tego, jak młodszy lejtnant Kola Podlipalin otrzymał z mojego nadania mieszkanie służbowe.

Rozdział pierwszy

O tym jak Kola Podlipalin otrzymał mieszkanie służbowe

Szesnastego dnia października roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego, dokładnie o wpół do szóstej rano, stałem na rozkołysanej, uciekającej spod bosych stóp podłodze

I z niedowierzaniem wpatrywałem się w pękającą bezgłośnie i eksplodującą szklanym szrapnelem ciemność za oknem. Grzmot dobiegł mnie dopiero po chwili, właśnie wylatywał w powietrze któryś z pobliskich zakładów zbrojeniowych.

Na nic się zatem zdały lunatyczne dyżury na dachach podczas niekończących się alarmów nocnych, którym oprócz zwykłych odgłosów

bombardowania towarzyszył w tle nieustanny armatni łomot. Wszystkie abstrakcyjne lęki i metafizyczne dreszcze w obliczu z lekka tylko pociętej reflektorami gwiazdnej mapy i jej znaków wyrocznych, nadlatujących niezliczonymi kluczami w bojowym szyku, zmateriałizowały się naraz (czy też raczej się zdemateriałizowały) w postaci ziejącej śnieżycą próżni - Czarnej Dziury. Dziurę należało czym prędzej zatkać czymkolwiek. Za najodpowiedniejszą w tym celu uznałem wiszącą w szafie starą jesionkę matki.

Miałem już za sobą błyskawiczną karierę w osiedlowej obronie przeciwlotniczej, gdzie zgodnie z kwalifikacjami (od miesiąca byłem uczniem pierwszej klasy jedynej podówczas szkoły, która ostała się w Moskwie: technikum mechanicznego) przydzielono mnie do obsługi filtrów wentylacyjnych w schronie przeciwgazowym. Dokonałem wraz z komendantem bloku pierwszej i ostatniej próby uruchomienia tego eksperymentalnego schronu. Ostatniej, bo gdy od całkowitej zagłady dobrej setki stłoczonych w piwnicy starców, kobiet i dzieci dzieliło nas najwyżej kilka minut, unieszkodliwiłem urządzenie filtrujące, wpuszczając do zhermetyzowanego wnętrza zakazane powietrze.

Po tym niechlubnym wyczynie schron zamknięto na kłódkę, mnie zaś przeniesiono dyscyplinarnie na dach, do punktu obserwacyjnego, gdzie wraz z pewnym zaprzyjaźnionym chłopcem z sąsiedztwa, uwijając się z zapalem wśród skrzyń z piachem i beczek z wodą, zabraliśmy się do kolekcjonowania świeżych, wciąż jeszcze parzących palce odłamków pocisków przeciwlotniczych.

Z tego właśnie punktu obserwacyjnego przymierzałem się nieraz do koszącego lotu nad płonąca aglomeracją. Bo też byłem w wieku, w którym się jeszcze lata. A gdy zawodziła mnie ta umiejętność, usiłowałem odgadnąć w rozświetlanych raz po raz ciemnościach rozkołysany cień któregoś z pobliskich balonów zaporowych, żeby unosić się wraz z nim nad pęłgającymi u dołu płomykami ulic.

Innymi słowy, nie byłem wzorowym obrońcą pelotu. Tak się jakoś złożyło, że moja prywatna wojna rozpoczęła się chyłkiem, w ukryciu,

przed dwoma z górą laty, na tydzień przed europejską, zaś ta, rozszalała z nagłą rosyjsko - niemiecka, kojarzyła mi się jedynie z fajerwerkiem artyleryjskim w górze i widokiem rozbłyskującego łunami, rozpirzanego miasta w dole.

I owszem, od chwili jej wybuchu byłem dobrej myśli.

Bo to była wojna wyzwolenicza. Chcę przez to powiedzieć, że uwalniała od grozy wyzierającej z każdej szpary liszajowatych parkanów i zapyziałych murów tej nuworyszowskiej, samozwańczej stolicy świata. Grozy tak spowszedniałej, że niemal już swojskiej, cywilnej - nie mundurowej - w obowiązkowej jesionce lub płaszczu demisezonowym: warującej w nocnych samochodach sunących wzdłuż opustoszałych chodników, przytupującej nerwowo przydziałowymi walonkami w przechodnich bramach wszystkich dawnych Sadowych czy Bulwarowych, poziewującej z nudów na wyziębionych klatkach schodowych.

Mówiąc po prostu: w tok okrutnych, chaotycznych i niezrozumiałych zdarzeń, składających się na naszą codzienność pod rządami charyzmatycznych wesołków-socjotechników od Wielkiej Utopii, wojeja jako pojęcie wprowadzała pewien logiczny porządek.

Tyle że tego dnia, szesnastego października, wciąż jeszcze trzymana na dystans tych kilkunastu kilometrów od miasta, ukazała mi naraz swoją porytą ospą zamieci, zniekształconą błazeńskim grymasem gębę z drzeworytów Hansa Holbeina Młodsze rodem.

To znaczy wtedy nie wiedziałem jeszcze, rzecz jasna, że to właśnie Holbein, a do tego Młodszy. Po prostu wyskoczyłem na dwór i biegłem przez huczące rozgwarem, wezbrane falą uchodźców ulice. I wydawało mi się grubą przesadą, by po wymóżdzeniu jednego (choćby nawet mojego) okna cała Moskwa z takim impetem rzucała się do panicznej ucieczki.

Widziałem już uciekinierów: na dworcach, w parkach, nawet we własnym mieszkaniu. Lecz tym razem wiała moskiewska gawiedź, tubylcy, śmietanka towarzyska, stołeczny sznyt...

Ciągnęli bezradnym tłumem, opatuleni chustami, objuczeni tobołami, z

wózkami, saniami, dziećmi na rękę, wtopieni w śnieżną zawieruchę, poszturchując się, tarasując chodniki. Ciągnęli w stronę wyłaniającej się z wolna z zadymki czerwonej litery M, stacji jedynej ponoć jeszcze czynnego środka transportu - metra, albo też do mostu i dalej - na piechotę: żeby wzburzonym rojem oblegać place dworcowe. Z ust do ust przekazywano bulwersującą wiadomość o załamaniu się frontu i pierwszych niemieckich czołgach na przedmieściach Moskwy.

Wszystko było jak z kina: wypełnione Bóg wie czym ciężarówki przetaczające się przez zlodowaciałe jezdnie, ślizgające się niezgrabnie na skrzyżowaniach przed zasiekami umocnień przeciwczołgowych, i z trudem torujący sobie drogę w ich ciżbie strażacki wóz z drabiną załadowaną workami, z których raz po raz wysypywały się ziemniaki, i ugrzęzły w zaspie zaprząg z niemiłosiernie smaganym koniem o oszronionym pysku, który dysząc parą i przysiadając na zadzie toczył wokół szalonym brązowym ślepiem.

Ale najbardziej z kina był człowiek przy którymś rozpadającym się, zaklejonym obwieszczzeniami parkanie; starszy już człowiek w starym, złachanym płaszczu i nowiutkiej czapce z daszkiem. To znaczy z kina była właśnie czapka, bo jak dotąd widywałem takie tylko na filmach jako nieodłączny atrybut urzędniczego munduru, zamierzchły relikwiot zapomnianych instytucji cesarstwa rosyjskiego.

Prawdę mówiąc, trochę mną to wstrząsnęło. To, że była taka nowa i lśniąca. I to, że człowiek w tej czapce przyglądał się zatłoczonej ulicy z jakimś nad wyraz spokojnym, ledwo uchwytnym uśmiechem. A potem spojrzął na mnie i zmrużył oko. Przez chwilę gapiłem się na niego w zdumieniu. Ale tylko przez chwilę. Bo nad nami, w tym topniejącym szronie obłoków, w przeręblach odtajalej mgły, połyskując rtęciowo, znaczyły już świt ciężkie cygara balonów obrony przeciwlotniczej.

To pewnie przez te balony (przedmiot moich ulotnych fascynacji) nasunął mi się pomysł, za którego podszeptem pospiesznie zawróciłem do domu. Pospiesznie, bo musiało to zająć nieco czasu: sporządzenie drewnianej ramy, mającej połączyć w nierozzerwalną całość dwa bliźniacze

rowery - mój i mojego kuzyna Heńka, jeszcze w czerwcu wcielonego do wojska.

Pomysł był prosty: skonstruować pojazd przeznaczony do wspólnej podróży z ciotką. Pojazd dwuśladowy, na którym jeszcze dziś opuszczamy Moskwę, omijając zatłoczone szlaki komunikacyjne, i bocznymi ścieżkami kierujemy się do rodziny ojca, na Kaukaz.

Główny problem techniczny polegał na tym, jak dopasować do siebie kierownice rowerów. Biedziłem się nad tym, podczas gdy zainstalowany w pokoju głośnik rozbrzmiewał dziarską marszową muzyką. Nie nadawano żadnych komunikatów, a wszystkie odbiorniki radiowe zarekwirowane zostały już w pierwszym tygodniu wojny. Stary walizkowy odbiornik ojca zabrał pan S., wierny adorator ciotki, mój sa- mozwańczy wuj; zabrał odbiornik zapewniając mętnie, że spróbuje go jakoś przechować.

Co prawda, w mieszkaniu był jeszcze jeden odbiornik (ściślej biorąc, radiola). I za posiadanie go nie groziła żadna kara, bo znajdował się w zamkniętym na klucz środkowym pokoju, za drzwiami o szklanych matowych szybach. Wciąż mocowałem się z rowerami, gdy spostrzegłem, że jedna z tych szyb pękła na pół na całej szerokości. Zapewne z tych samych powodów, co moje okno. Zawołałem ciotkę i komisyjnie próbowaliśmy zajrzeć do zamkniętego pokoju, najpierw przez dziurkę od klucza, a później przez tę szczelinę w szybie. Niewiele się dało zobaczyć w ten sposób, ale wyglądało na to, że okna pozostały nietknięte. Równie nienaruszone, co przytwierdzona do tych matowych drzwi i zaopatrzona w gruby sznurek olbrzymia czerwona pieczęć lakowa.

Którejś sierpniowej nocy przed dwoma z górą laty, w świetle łamiących się zapalek usiłowałem odczytać wyciśnięty w środku pieczęci napis. Składał się z herbu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich obramowanego nazwą słynnego komisariatu ludowego - NKWD. Bo ten pokój za matowymi szybami był pokojem moich rodziców i teraz, na mocy zapadłego przed dwoma miesiącami wyroku sądu wojskowego, podlegał konfiskacie wraz z całym' ich życiowym dobytkiem, którego najbardziej godnym uwagi eksponatem był oprócz książek ten właśnie

wielozakresowy odbiornik- radiola, moje niegdysiejsze prywatne otwarcie na świat.

Pech sprawił, że niespodziewany przebieg wydarzeń wojennych zakłócił rutynowe działanie maszyny państwowej; władze miały własne zmartwienia i ani im była w głowie nawet najbardziej ponętna zdobycz. Ale drzwi pokoju nadal pozostawały zamknięte i opatrzone groźną pieczęcią. Obluzowałem trochę szybę, zerkając ponownie przez szparkę. Za drzwiami wszystko wyglądało zwyczajnie, jak kiedyś, tylko odbiornik był poza polem widzenia, niedostępny i niemy, choć trudno mi było wyobrazić sobie jego zielone pulsujące oko zaciągnięte wieczystym bielmem.

Z pewnością najwyższa była pora, by zapoznać ciotkę z moim pomysłem wspólnego spędzenia tak atrakcyjnie zapowiadającej się zimy 1941/42 roku. Nie zdążyłem jednak nawet się o tym zająknąć. Zamilkły w radiu surmy bojowe, zaniemówiły orkiestry, głośnik odezwał się ludzkim głosem. Z lekka tylko nadszarpniętym barytonem osobistości stołecznej numer jeden. Baryton przestrzegł przed knowaniami ukrytych dywersantów, przyrzekając im przy okazji karę główną z wykonaniem natychmiastowym, po czym zaapelował do mieszkańców stolicy, by nie poddawali się panice, zapewniając solennie, że miasto nigdy nie ugnie się przed nieprzyjacielem, pozostanie niezdobytą twierdzą.

Oczywiście ciotka do tego stopnia przejęła się apelem, że nie zwróciła żadnej uwagi na moją samobieżną konstrukcję. Słuchała z wypiekami na twarzy i widać było, że zaczyna wierzyć w przyniesioną przeze mnie z ulicy wiadomość o załamaniu się frontu i przedarciu się przez rosyjskie linie obronne pancernej szpicy dywizji SS „Das Reich”.

Po dziś dzień nie wiem, jak zareagowałyby na moje projekty podróżnicze, w życiu nie spotkałem osób tak niepodobnych do siebie, jak te dwie siostry - moja matka i ona. W każdym razie wciąż się mozoliłem nad rowerami, aż zapadł zmierzch, a o zmierzchu czekała nas niespodzianka.

O zmierzchu przyszedł pan S., nasz samozwańczy wuj, nasz



morganatyczny opiekun, jak powiadał z przekąsem mój cioteczny brat Heniek.

Niespodzianką było nie to, że przyszedł, lecz że przyszedł odmieniony nie do pognania, ze świeżo zapuszczoną kocią bródką, w jakiejś wyleniawej czapce i złachanym płaszczku.

I jakiś wspólny rys łączył go z napotkanym dziś rano gościem w czapce z daszkiem. Nie wiem, na czym to polegało, ale nie zdziwiłbym się, gdyby zaczął do mnie mrugać. Nawet to, że trzymał w ręku solidny kawał dykty do okna, wyglądało na maskaradę. Innymi słowy: był to jeszcze jeden sygnał zagłady.

Pan S. - ongiś marynarz floty czarnomorskiej, maszynista z „Potiomkina” czy „Oczakowa”, czyli bolszewik z zawodu i zamiłowania - przetrzymał nawałnicę Wielkiego Terroru jedynie przez nieokiełznany swój snobizm. Zrezygnował bowiem z dostojęstw partyjnych na rzecz aspiracji naukowych. Musiał za młodu, podczas wędrówek na swym „Oczakowie”, nabyć szczególnego szacunku dla południków, równoleżników, jak również wielkich odkryć geograficznych. Traf chciał, że moja ciotka - absolwentka uniwersytetu krakowskiego - nauczała w szkołach właśnie geografii, toteż afekt, jakim pan S. darzył ów przedmiot, wzrósł jeszcze bardziej w toku rozpoznawania kolejnych zalet pięknej Polki. Sam jednak, świadom skutków późnego startu edukacyjnego i związanych z tym luk w wykształceniu, zdecydował się na mniej ambitną karierę historyka czasów nowożytnych.

Po kilku latach mozolnego wysiłku naukowego dokonał niewątpliwego cudu: zapomniano o nim doszczętnie. Nawet wśród znajomych.

„Ale czy aby naprawdę zapomniano?” - zastanawiałem się teraz, gdy odbierał ode mnie młotek i resztę gwoździ. Bo przecież nie uszły mojej uwadze uderzające zmiany w wyglądzie pana S. Przede wszystkim ta bródka! Ale nie tylko. Była jeszcze blizna po usuniętej z policzka brodawce. No i te wymiętoszone łachy zamiast dwurzędowego zazwyczaj gar- niturka! A ponadto, już z tego, z jakim zapałem zabrał się do reperowania okna, całkowicie ignorując mój dopiero co zmontowany

wehikuł, łatwo dawało się wywnioskować, że sytuacja wyklarowała się: ciotka nie weźmie udziału w wyprawie rowerowej. Pozostajemy na miejscu.

Wyobraźnia wyrostków jest niebezpieczna. I chadza osobliwymi drogami. Zwłaszcza gdy się od lat zrywają po nocy, wiedząc, że po nich już przyszli, że już stoją za drzwiami - mój Boże, nieważne kto: raz w mundurach NKWD, raz Gestapo. Droga ucieczki jest odcięta, dostęp do drabiny przeciwpożarowej mają tylko z klatki schodowej. Kto wie, pewnie stąd się bierze zamiłowanie do nocnych lotów. Ulatują balonem. Doprawdy nie mam pojęcia, dlaczego właśnie balonem! Może dlatego, że jest pod ręką, tuż w niebie, równie rozhuśtany i wielokierunkowy jak wyobraźnia i tak samo jak ona - nie do opanowania.

Tym razem wystarczyło, że skojarzyłem wygląd i zachowanie pana S. z niewinnym faktem wypożyczenia przezeń naszego odbiornika, a już zobaczyłem go w myśli naradzającego się poufnie z przyjacielem młodości, kumplem z dawnych lat, obecnie posiadaczem zdartego barytonu radiowego, ściszonego na tę okazję do niewyraźnego szeptu. Chodziło o ściśle tajne zlecenie zarzucenia rozległej siatki konspiracyjnej na wszystkie zręby i podwaliny niezdobytej twierdzy na wypadek jej zdobycia, czyli upadku. Inaczej mówiąc: zorganizowanie podziemnego ruchu oporu.

Pan S., wciąż jeszcze klęczący na parapecie z kawałkiem dykty w rękę, już pomykał w mej wyobraźni zaułkami Arbatu czy Marosiejki, znacząc swą drogę ulotkami, bombami, zmasakrowanymi zwłokami zaskoczonych esesmanów z pancерnej dywizji „Reich”. Jasne, że mógł na razie zamieszkać kątem u nas, chociażby w kuchni, na fałszywych papierach, według których został dopiero co zwolniony z Biełomorkanału, lecz jako były kułak pozbawiony prawa do moskiewskiego meldunku. Bo też to nasze mieszkanie ze względu na moje niewątpliwe koligacje z wrogami ludu, czego bezspornym dowodem były zaplombowane drzwi, jak najbardziej się nadawało na lokal konspiracyjny. W najgorszym razie na punkt kontaktowy.

Tak, ten nowy pomysł coraz bardziej przypadł mi do gustu. I coraz wyraźniej rysowała się przede mną moja przyszłość w roli niezastąpionego łącznika, tajnego kuriera, kto wie, może nawet dziecka pułku, małego dobosza kolejnej Czerwonej Orkiestry. Czym prędzej zabrałem się do rozmontowywania dwuśladowego pojazdu.

Rzecz jasna, o tej Czerwonej Orkiestrze, słynnej sowieckiej siatce szpiegowskiej działającej pod okupacją niemiecką w Europie Zachodniej, nie miałem podówczas żadnego pojęcia, dowiedziałem się o niej dopiero po wojnie. Tym bardziej chyba można dzisiaj się śmiać z tych nedorzecznych urojeń - byle nie do rozpuku, bo wszystko to było najświętszą prawdą: i poufne spotkanie, i zręby konspiracyjne, i fałszywe papiery.

I pan S. na czele podziemnego ruchu oporu. Oczywiście z poprawką na tę okoliczność, że Wehrmachtowi zabrakło naraz siły przebicia, a właściwie zdolności zaczepno-przyczepnych na gołoledzi szosy wołokołamskiej, co oszczędziło panu S. konieczności pozostawiania za sobą pancernych zwłok, mnie zaś losu bohaterskiego łącznika. Nie zostałem małym doboszem ani dzieckiem żadnego pułku. Ominęła mnie ta okazja.

Pozostaje zatem odfajkować z wysokości lotu balonem czterdziestostopniowe mrozy, czterdziestodekowe pajdy czarnego chleba - ów przydział dzienny - dni toczące się bez sensu, w popłochu, sprasowane niczym bieżeńcy w swych roztrzęsionych ciepłuszkach. Innymi słowy: wyziębioną, opuszczoną przez większość mieszkańców Moskwę. Zainstalowaną w pokoju kozę, zwaną burzujką, w której potrzaskiwały resztki jakichś mebli i podwórzowego płotu oraz przydźwigane po nocy, ociosane siekierą, dębowe opancerzone drzwi schronu przeciwgazowego. Co jeszcze? Kolejkę po wodę przy studziencie ulicznej, a gdy ta zamarzała - przed przerebłą na pobliskiej rzece. Tyle że zaprzestałem już oblatywania balonów, zaprzestałem w ogóle latania, zwróciłem licencję. Uwolniłem się nawet od nocnych koszmarów, czy to za sprawą drobnych niedogodności życiowych, czy to z powodu mojej nowej obsesji.

Bo też nią się teraz głównie żywiłem, to był mój chleb powszedni:

konspiracja. Trochę brakowało mi zaprawy fizycznej, więc ostro się wzięłam do żabek, skoków i zrzucania wagi. W tym ostatnim zwłaszcza nikt mi nie mógł przeszkodzić. Szczęście, że ciotkę skoszarowano zaraz po tym, jak podjęła pracę w szpitalu wojskowym, i zostałam sam w domu. Ponadto, jak każdy człowiek radziecki, predysponowany byłem do konspiracji. Za mojej krótkiej nastoletniej pamięci zbyt wiele rzeczy się działo w ukryciu i zbyt wiele sam musiałem ukrywać. Życie tajemne nie stanowiło dla mnie nowości.

Nowością było olśnienie doznane tamtego październikowego dnia, sposobność następczości mi przez pana S.

Nic na to nie poradzę, to było jak muzyka, wieloosobowy zespół instrumentalny w gigantycznej utajnionej muszli, dęta Czerwona Orkiestra grała mi w duszy: flety, trąbki, oboje, klarnety, kotły. Prawdę mówiąc, majaczyłem na jawie. Majaczyłem w drodze do technikum mechanicznego, licząc kroki między jednym a drugim blokiem, rozglądając się bacznie po twarzach mijanych ludzi. Urywając się z lekcji, zaliczałem nieznanie nikomu skrótów opłotkami, podwórza przechodnie, połączenia piwniczne, roztrząsając wszystkie możliwości ewentualnej ucieczki.

Było nieważne przed kim - wciąż jeszcze myliły mi się mundury - ale już zadziały odruchy zastępcze, już odczuwałem ulgę na myśl o tym, obcym, a przez to mniej groźnym, znanym tylko ze słyszenia, kolorze feldgrau. I choć na rogach ulic wciąż się jeżyły rzędy zapór przeciwczołgowych, a w górze, połyskując w zimowym słońcu, obracały się z wolna lotne obiekty niedawnych mych fascynacji, konspiracja najwyraźniej ruszyła zjcopyta, a przynajmniej trwała z bronią u nogi. Nie zawiedliśmy. Jeśli ktoś zawiódł, to właśnie Niemcy, ale w końcu nie dali jeszcze za wygraną, wycofali się tylko na zimowe kwatery, próbując złapać oddech na wiosnę.

Jeden był szkopuł w tym wszystkim: sam pan S. Zniknął na dobre w mroźnej szarudze, żadnego znaku życia. Dobrze chociaż, że z lektur wiedziałem o istnieniu głęboko zakonspirowanych agentur, z reguły wysyłanych do dalekich krajów i pozostawianych tam w stanie jakby

zamrożenia aż do nadejścia sprzyjającego momentu. Ich właśnie terminatorem czułem się tej zimy, z zapalem ćwiczących technik? zacierania za sobą śladów, a głównie znikania w bramach przechodnich. Oczywiście, ideałem byłoby wybić się na całkowitą niewydolność - o ileż atrakcyjniejszą od lotów! - ale z tym szło mi jeszcze opornie. Uczyłem się też pewnej mowy tajemnej i jej równie tajemnego pisma, o czym jednak za chwilę. W oczekiwaniu zaś na ów sprzyjający moment, znużony ustawicznym treningiem, raz po raz uciekałem w lektury w pobliskiej czytelnicy, gdyż było tam cieplej niż w domu i zawsze kręciło się trochę ludzi. Może w głębi duszy pragnąłem spotkać kogoś, komu mógłbym się zwierzyć ze swej nieraz przecież ciężkiej mi tajemnicy. Ale nie spotkałem.

Za to w domu coraz częściej stawałem w przedpokoju przed matową szybą i próbowałem zajrzeć przez szparę. Trochę ją poszerzyłem, ale nadal niewiele mogłem zobaczyć: kawałek biurka, odsunięty fotel ojca, grzbiety książek w szafie bibliotecznej - stałem tak i patrzyłem. Wojna wywróciła wszystko do góry nogami, odmieniła znaki przed całymi rzędami wartości, przetoczyła się walcem przez świat i tylko ten pokój pozostał nietknięty, nienaruszony, aż niewiarygodny w swej stabilności, wciąż przechowując zwyczaje, głosy, zapachy dawnych mieszkańców. A wszystko za sprawą tej głupiej plomby na drzwiach! To naprawdę było nie do wiary i czułem, że na tym progu opuszcza mnie gorączka konspiracyjna. Tyle że nie wolno mi go było przekroczyć.

Ale już słyszę zniecierpliwiony pomruk: „W porządku! Tylko co ma do tego mieszkanie służbowe? I co to za jeden ten Kola Podlipalin?”.

Proszę mnie nie ponaglać, na wszystko przyjdzie kolej. Mnie również czas się dłużył, wiosna była tuż tuż, a Niemcy nadal zaprzepaszczali jedną po drugiej szansę, żeby nas dorwać. Wreszcie ruszyli się na południu, pragnąc zapewne obejść Moskwę od flanki, ale marnie to wyglądało; raz po raz grzęźli w błocie roztopów. Mimo to, podczas któregoś z ich wypadów czy podejść udało się: spotkałem pana S., i to nawet dwukrotnie. Raz minął mnie w metrze na schodach ruchomych, w sobolej szubie i futrzanej czapie na bakier, połyskując okularami w złotej oprawie. Drugi

raz - w jakimś zakazanym zaułku, w podszytej wiatrem kurteczce i nasuniętej na czoło cyklistówce. Już to, że na mój widok odwracał pospiesznie wzrok lub przechodził niedbałym krokiem na drugą stronę uliczki, wystarczało za dowód, że walka trwa. Rozproszeni, czający się w mroku, działamy nadal.

Swoją drogą, zazdrościłem panu S. tej sztuki mimikry. Prawdę mówiąc, tak na dobrą sprawę, zarówno za pierwszym, jak za drugim razem wcale nie byłem pewien, że to właśnie pan S. Nie wspomniałem też słowem mojej skoszarowanej ciotce o tych spotkaniach. W końcu żyli ze sobą tylko na kocią łapę. Wpadała zresztą do domu jak po ogień, raz na tydzień, żeby sprawdzić, czy nie ma listów od Heńka. Nie było.

Bo ciotka trzęsła się z niepokoju o Heńka. Moim zdaniem była to gruba przesada? przejmować się brakiem listów od kogoś, kto zamiast na linię frontu trafił do szkoły oficerskiej. I to na dodatek - rocznej! Pewnie, że każdego dnia mógł się ocknąć w okopach, ale jak na dziś główny jego kłopot polegał najwyżej na tym, że koledzy wyśmiewają się z jego rosyjskiego. Bo mój brat Heniek wciąż jeszcze szczebiotał po rosyjsku z polska i kładł się na najprostszych trzy- i czteroliterowych wyrazach, choć bardzo się starał wymawiać je prawidłowo. Cała rzecz w tym, że za bardzo się starał. Zawsze przesadzał z tym staraniem.

Bo ja się w ogóle nie starałem. Nie miałem takich ambicji. Nawet w normalnej szkole, a cóż dopiero w technikum mechanicznym. Zbyt byłem przejęty czekającą mnie misją, żeby robić cokolwiek. Zwłaszcza kiedy się przekonałem, że niewidzialność jest o wiele praktyczniejsza od latania balonem. Po prostu otwierała przed człowiekiem sporo większe możliwości. Dla administracji szkolnej i tak byłem pojęciem całkowicie abstrakcyjnym, lecz nieobecność duchem już mi nie wystarczała. Straciłem zresztą na wadze z piętnaście kilo i przezroczystość cielesna leżała w zasięgu ręki. Siedmiomilowymi krokami zmierzałem ku upragnionej czapce niewidce.

Oczywiście, było z nią różnie. Dorobiłem się przez nią miana dekownika, gdy wyekspediowano nas całą klasą do letnich prac polnych w

podmoskiewskim kołchozie. Właśnie skończyły się roztopy i po upadku Charkowa ęzołgi niemieckie forsowały Don.

Nie sprawdziła się natomiast przy wyрубie lasów w okolicach słynnego Uglicza, z tym jego ukaranym ongiś chłostą, bo nazbyt głośno i nie w porę bijącym na larum dzwonem. Mieliśmy więcej szczęścia, uniknęliśmy kar cielesnych na lesopunkcie, choć żywieni bałandą i makuchami, równie głośno upominaliśmy się o swoje, w tym przypadku o chleb i dwunastogodzinny dzień pracy. Zwłaszcza że nasze dziewczęta w przerwach między piłowaniem a holowaniem pni szły za pajdę razowca w krzaki z wochrowcami z pobliskiego łagru.

Niewidzialność zawiodła, bo po prostu nie było tu dla niej warunków, tak samo jak nie było warunków do konspiracji. Na lesopunkcie nawet wojna coraz mniej wydawała mi się wyzwoleńcza. A przecież, mimo że spławiane przez nas z prądem Wołgi masztowe sosny z pewnością użyto na potrzeby czwartej armii pancерnej Hotha czy szóstej Paulusa, stawiających właśnie pierwsze kroki na prawym brzegu tej historycznej rzeki; mimo to, powtarzam, zapłacono nam w początkach jesieni za tych kilka leśnych miesięcy. I to jako nieletnim zapłacono w naturze: paczką tytoniu fajkowego „Zołotoj jarłyk” i półlitrem czystej na głowę. Już na dworcu w Ugliczu wymieniłem je na bochenek chleba, który też przywiozłem uszczęśliwionej ciotce, bo właśnie zwolniła się ze szpitala i nawet zaczynała gdzieś tam nauczać tej swojej geografii.

Mniej więcej w tym czasie zniesiono już w mieście godzinę policyjną. Zmiany na ziemi i w niebie zaszły tu tak daleko, że u góry zniknęły zaporowe balony, na dole zaś - przeciwpancerne jeże. I w miejsce tych ostatnich stanęli na skrzyżowaniach milicjanci, jak gdyby nigdy nic regulujący ruch uliczny.

Innymi słowy, życie pomału wracało do normy. Ciotka otrzymywała już regularnie wiadomości od Heńka, na mnie zaś czekał w domu list od matki: złożona w równoboczny trójkąt kartka papieru zeszytowego z adresem nadawcy, składającym się z samych nieznanych nazw: „Jawas”, „Potj- ma”, „Gułag” i numeru skrzynki pocztowej. Heniek pisał, że w

wojsku idzie mu dobrze, matka — że okolice są niezwykle ładne. W ten sposób przełamaliśmy blokadę informacyjną, ciotka miała swojego korespondenta ze świata, ja — swojego.

Kolejną oznaką stabilizacji stało się cudowne odnalezienie się pana S. Dlaczego ciFFłowne, o tym za chwilę, a objawił się nam pan S. któregoś wieczora zaraz po nadaniu głośnikowego komunikatu o walkach ulicznych w Stalingradzie. Zwyczajnie stanął w drzwiach, wynędzniały, wymięty, z podbitym okiem, aż nas zatkało. Poznaliśmy już smród nędzy, i to w różnych jego odmianach, lecz od pana S. załatywało czymś niesamowitym. Cuchnął ni to tranem, ni to kiszoną kapustą, ni to zwykłym szambem, ale myślę teraz, że był to po prostu strach, bo też przybywał wprost z aresztu milicyjnego.

- Cudem się im wymknąłem - powiedział od progu i poczułem ukłucie w sercu, które ustąpiło dopiero po chwili, i to na rzecz pewnego rodzaju zażenowania. Bo nie z sideł Gestapo, SD ani nawet Kripo wymykał się demoniczny rezydent stołecznego podziemia, nieuchwytny dyrygent Czerwonej Orkiestry. Nie, wymykał się dzielnicowym, wyślizgiwał się posterunkom dworcowym, urywał się ochotniczej rezerwie, nadal mimo to osaczany przez komitety osiedlowe, komendantów blokowych czy zwykłych cieciców - całe potężne zaplecze stołecznych sił porządkowych. I naprawdę musiał mieć tego dosyć, kiedy kreślił donośnym szeptem, dobiegającym z pokoju ciotki, dość szczególny obraz toczonej przezeń od roku samotnej walki.

Już początek był pechowy: konspiracyjną drukarnię zainstalowano w umówionej piwnicy, ale zamiast przyrzeczonych powielaczy dostarczono ciężarówkami linotypy z „Prawdy”. Wyładunek trwał przez całą noc.

- Nie było w okolicy dziecka, które by nie znało adresu podziemnej drukarni - podsumował pan S.

Magazyny zostały utajnione starannie, tyle że składowaną w nich żywność skradziono już po tygodniu, amunicja nie pasowała do broni, elementy sprzętu łącznościowego nie pasowały w ogóle do niczego.



- Straciłem kontakt z centralą - wyjawiał pan S. Pierwsza wpadka przydarzyła się w noc sylwestrową właśnie podczas lustracji magazynu żywnościowego, zamelinowanego przemyślnie na tyłach któregoś z konsumów wojskowych. Wzięty za włamywacza przez podniecony świątecznym przydziałem gorzały patrol komendancki, pan S. zawdzięczał swoje ocalenie kanistrowi spirytusu z awaryjnego zapasu, resztkom krzepy marynarskiej i wrodzonej chyżości nóg.

Nie wszystkim jednak udawało się wyjść cało z podobnych opresji. Doborową kadrę bojowników podziemia z papierami przeznaczonymi dla głupich Szwabów, nie zaś rodzimych stróżów porządku, ci ostatni wyłapywali bez trudu przy rutynowym działaniu. Najlepsi ludzie pana S. znikali w czeluściach aresztów milicyjnych, gotowi raczej przyjąć wyrok i niesławę niż zdradzić osobom niepowołanym prawdziwe dane ankietowe, rodzaj uprawianego zawodu i przynależność partyjną.

76

- Straciłem łączność - powtórzył z żalem pan S. Z całą pewnością nie zatracił jednak ducha walki, w końcu miał jeszcze nasz odbiornik, a także resztki zdziesiątkowanej siatki. Toteż wcale się nie zdziwiłem, gdy po chwili stwierdził dobitnie:

- Zachować morale: to najważniejsze!

Najgorsza obsuwa nastąpiła przy próbie uruchomienia któregoś z rzędu punktu kontaktowego, który, jak wyszło na jaw, był pokojem w hotelu milicyjnym, zajmowanym przez całkiem nieświadomego rzeczy dzielnicowego.

Przy całym pechu pana S. trzeba stwierdzić, że miał zarazem nieludzkie szczęście, gdyż organa ścigania z równym powodzeniem mogły dopaść go w zimie, kiedy osobników o tak podejrzanych personaliach pierwszy lepszy patrol bez zbędnych ceregieli stawiał pod ścianą, tuż za rogiem. Co prawda, dawno już zdążył zgryźć i połknąć przeterminowane kułackie papiery wraz z zaświadczeniem o zwolnieniu z łagru oraz innymi obciążającymi dowodami. Był teraz zwyczajnie klepiącym biedę

uciekiniem ze wsi smoleńskiej, bez stałego zajęcia. I jedyne, o co go podejrzewano, to tylko o to, że pochodzi nie całkiem spod Smoleńska, już prędzej ze Lwowa albo i Homla.

Wzięty w krzyżowy ogień pytań przez niestrudzonych mundurowych, pan S., jako wytrawny bolszewik z przedrewolucyjnym stażem, bronił zajadle dwuznacznej swej tożsamości: żegnał się krzyżem prawosławnym, całował ziemię, błagał srogiego dzielnicowego, żeby odpuścił to najście starszemu, niespełna rozumu człowiekowi, a przed obywatelem naczelnikiem zwyczajnie runął z płaczem na kolana.

77

Poskutkowało. Pan S. stracił punkt kontaktowy, tysiąc rubli z tajnego funduszu, a także własne lokum, bo uznał się za czasowo spalonego. Krążył teraz nerwowo po naszym mieszkaniu, zerkając z niepokojem na lakową pieczęć w przedpokoju. Jakoś istotnie wyglądało na to, że w obecnej sytuacji, przy jego kolejnych kompromitujących danych personalnych

zaplecze stołecznych sił porządkowych. I naprawdę musiał mieć tego dosyć, kiedy kreślił donośnym szeptem, dobiegającym z pokoju ciotki, dość szczególny obraz toczonej przezeń od roku samotnej walki.

Już początek był pechowy: konspiracyjną drukarnię zainstalowano w umówionej piwnicy, ale zamiast przyrzeczonych powielaczy dostarczono ciężarówkami linotypy z „Prawdy”. Wyładunek trwał przez całą noc.

- Nie było w okolicy dziecka, które by nie znało adresu podziemnej drukarni - podsumował pan S.

Magazyny zostały utajnione starannie, tyle że składowaną w nich żywność skradziono już po tygodniu, amunicja nie pasowała do broni, elementy sprzętu łącznościowego nie pasowały w ogóle do niczego.

- Straciłem kontakt z centralą - wyjawiał pan S. Pierwsza wpadka przydarzyła się w noc sylwestrową właśnie podczas lustracji magazynu żywnościowego, zamelinowanego przemysłnie na tyłach któregoś z

konsumów wojskowych. Wzięty za włamywacza przez podniecony świątecznym przydziałem gorzały patrol komendancki, pan S. zawdzięczał swoje ocalenie kanistrowi spirytusu z awaryjnego zapasu, resztkom krzepy marynarskiej i wrodzonej chyżości nóg.

Nie wszystkim jednak udawało się wyjść cało z podobnych opresji. Doborową kadrę bojowników podziemia z papierami przeznaczonymi dla głupich Szwabów, nie zaś rodzimych stróżów porządku, ci ostatni wyłapywali bez trudu przy rutynowym działaniu. Najlepsi ludzie pana S. znikali w czeluściach aresztów milicyjnych, gotowi raczej przyjąć wyrok i niesławę niż zdradzić osobom niepowołanym prawdziwe dane ankietowe, rodzaj uprawianego zawodu i przynależność partyjną.

- Straciłem łączność - powtórzył z żalem pan S. Z całą pewnością nie zatracił jednak ducha walki, w końcu miał jeszcze nasz odbiornik, a także resztki zdziesiątkowanej siatki. Toteż wcale się nie zdziwiłem, gdy po chwili stwierdził dobitnie:

- Zachować morale: to najważniejsze!

Najgorsza obsuwa nastąpiła przy próbie uruchomienia któregoś z rzędu punktu kontaktowego, który, jak wyszło na jaw, był pokojem w hotelu milicyjnym, zajmowanym przez całkiem nieświadomego rzeczy dzielnicowego.

Przy całym pechu pana S. trzeba stwierdzić, że miał zarazem nieludzkie szczęście, gdyż organa ścigania z równym powodzeniem mogły dopaść go w zimie, kiedy osobników o tak podejrzanych personaliach pierwszy lepszy patrol bez zbędnych ceregieli stawiał pod ścianą, tuż za rogiem. Co prawda, dawno już zdążył zgryźć i połknąć przeterminowane kułackie papiery wraz z zaświadczeniem o zwolnieniu z łagru oraz innymi obciążającymi dowodami. Był teraz zwyczajnie klepiącym biedę uciekinierem ze wsi smoleńskiej, bez stałego zajęcia. I jedyne, o co go podejrzewano, to tylko o to, że pochodzi nie całkiem spod Smoleńska, już prędzej ze Lwowa albo i Homla.

Wzięty w krzyżowy ogień pytań przez niestrudzonych mundurowych,

pan S., jako wytrawny bolszewik z przedrewolucyjnym stażem, bronił zajadle dwuznacznej swej tożsamości: zęgnął się krzyżem prawosławnym, całował ziemię, błagał srogiego dzielnicowego, żeby odpuścił to najście starszemu, niespełna rozumu człowiekowi, a przed obywatelem naczelnikiem zwyczajnie runął z płaczem na kolana.

Poskutkowało. Pan S. stracił punkt kontaktowy, tysiąc rubli z tajnego funduszu, a także własne lokum, bo uznał się za czasowo spalonego. Krążył teraz nerwowo po naszym mieszkaniu, zerkając z niepokojem na lakową pieczęć w przedpokoju. Jakoś istotnie wyglądało na to, że w obecnej sytuacji, przy jego kolejnych kompromitujących danych personalnych (a był teraz potomkiem zacnej rodziny kupieckiej), trudno byłoby uznać tę pieczęć za glejt bezpieczeństwa. Musiał już w myśli skreślić i nasz podpunkt ze swej ewidencji. Wyczułem to na godzinę przedtem, nim podniósł się z ciężkim westchnieniem, podejmując niezłomną decyzję spędzenia nocy na pobliskim dworcu. Nawet ciotce się nie dał przekonać. Milczałem. Modliłem się, by nie spotkał dozorczy.

Dozorców w bloku było chyba z pięciu, bo też ciągnął się blok aż do szosy Możajskiej: najmniej dwadzieścia parę klatek schodowych. Istniał jeszcze komendant bloku oraz nieznaną mi liczbą sprzątaczek, gdyż praca dozorców polegała wyłącznie na dozorowaniu, czyli warowaniu z miotłą przed bramą na wzór straży przybocznej Iwana Groźnego, a to w celu obserwowania wałęsających się lokatorów, a także asystowaniu przy ich aresztowaniach. W tych wszystkich zajęciach po chwilowym przestoju nastąpiło ostatnio wyraźne ożywienie, toteż żwawo kręcili się teraz wokół bloku niczym nieco zgłodniałe, ale już nie bezpańskie psy.

Ten, który zatrzymał mnie nazajutrz (a działo się to tuż za bramą, na ulicy), żywił do mnie wyraźną sympatię, pewnie dlatego że niemal zawodowo zatrudniany był przy mojej rodzinie. Zdrętwiałem, gdy zawołał mnie po imieniu, bo nie zdążyłem jeszcze wymyślić jakiejś wiarygodnej historyjki tłumaczącej wizytę pana S. Ale nie okazała się potrzebna.

- Uważaj! - powiedział muskając niedbale chodnik nowiutką miotłą. Na chodniku leżały odłamki szkła i jesienne słońce połyskiwało w nich

chłodno, jak od niechcenia. - To musi wasze!

Na tę stronę wychodziło okno zaplombowanego pokoju. Spojrzałem za kolejnym ruchem miotły w górę. Istotnie, było to nasze piętro, nasze okno i nasza dziura w tym oknie. A jednak musiało pęknąć, i to wtedy, gdy wybuch uszkodził moją szybę; musiało przetrzymać zimę i lato, parę ofensyw

i kontrofensyw, a teraz, przy pierwszym jesiennym podmuchu, sypnęło się w drobny mak. Zwierzyłem się z tego odkrycia czujnemu oprycznikowi.

- Komendantowi trza zameldować - wychrypiał i spojrzał na mnie z niejakim współczuciem, choć nie pojąłem wtedy sensu tego spojrzenia. Było to oczywiste, że trzeba zameldować, zima za pasem.

Jakoś istotnie, po dwóch czy trzech dniach do mieszkania wkroczył komendant w asyście kilku mundurowych postaci. Spozierając na mnie z ukosa, przybysze uważnie zbadali szparę w matowej szybie, po czym sprawdzili całość pieczęci i sznurka, a potem zerwali zarówno sznurek, jak i pieczęć. A po tym wszystkim otworzyli drzwi z klucza.

Stojąc w przedpokoju, mogłem dostrzec przez uchylone drzwi, jak zezując po sobie, dokładnie obwąchują wszystkie kąty i zakamarki pokoju, pewnie szukając moich w nim śladów, aż wreszcie dają spokój i zaczynają dopasowywać dyktę do ramy okiennej. Sprawnie to robili, o wiele sprawniej niż kiedyś pan S. A po dokonaniu tej czynności, ponownie zamknęli pokój na klucz, zaś szparę w drzwiach również przesłonili dyktą. I nałożyli nowe pieczęcie. Dopiero po odejściu ekipy obejrzałem je sobie dokładnie. Inna już była to pieczęć, o wiele mniej majestatyczna, zwyczajnie - milicyjna.

Odtąd wydarzenia potoczyły się lawinowo.

Już nazajutrz, wracając ze szkoły po spapranej klasówce z fizyki, ale za to wcale udanym sprawdzianem z niewidzialności (tym razem w ruchu ulicznym: bieg na przełaj przez jezdnię szerokości rzeki pod akompaniament gwizdków milicyjnych, zanurzenie się w jednej bramie, wynurzenie się z drugiej, wyszarpięcie się z objęć tajniaka w gumowym

prochowcu, kolejny sus przez następną jezdnię i skok do rozpedzonego tramwaju), doznałem nagłego olśnienia. Samotne zmagania pana S. ze stołeczną milicją objawiły mi się jako prawidłowość,

głęboko zakorzeniona w samym statusie konspiratora. Bo też zakładał on uniezależnienie nie tylko od praw natury, lecz również od wszelkich praw boskich i ludzkich, stawiając swoich adeptów poza nawiasem społeczeństwa. I jeśli nie wyciągnąłem z tego odkrycia ostatecznych wniosków, to tylko dlatego, że dotarłem do domu, a w domu mieliśmy gościa.

- Rośnie jak na drożdżach! - tonem dawnej przyjaciółki rodziny wykrzyknęła na mój widok nader potężna niewiasta

O ostrych rysach i maślanych oczkach, siedząca przy moim biurku. W pokoju, który formalnie biorąc dzieliłem z Heń-kiem, stały dwa biurka, ale ona siedziała przy moim. I nie była przyjaciółką rodziny.

- Pani jest deputowaną dzielnicowej rady narodowej - poinformowała mnie ciotka. Trochę trzęsły jej się ręce, gdy stawiała przed gościem parującą szklankę.

Deputowana sięgnęła po stojącą na podłodze awoškę

I wyciągnęła z niej papierową torebkę.

- To do herbaty - wyjaśniła, przesuwając ją niedbale po blacie.

Z torby sypnęły się cukierki czekoladowe „Miszka na Sie-wierie”, które pewnie dziś jeszcze można zobaczyć na wystawie sklepowej moskiewskiego Gastronomu Nr 1 (dawny Jelisiejew), oczywiście jako atrapy. Tyle że w tamtych czasach nie sposób było wyobrazić ich sobie nawet jako atrapy.

Nie ulegało wątpliwości: to była prawdziwa deputowana, kwiat elity stołecznej, dobra wróżka z najwyższych sfer konsumpcyjnych, przybyła jak najwyraźniej z wizytą dobroczynną, może nawet z misją dobrej woli.

- Jedz! - zachęcała mnie, siorbiąc serwowany przez ciotkę wrzątek i

wspominając mimochodem o przejściowych trudnościach dnia powszedniego. Wyznała też przy okazji, że odwiedziny jej mają bezpośredni związek z tymi właśnie trudnościami.

Opiekując się bowiem w radzie dzielnicowej sprawami lokalowymi, dowiedziała się, że jeden z pokoi w zajmowanym przez nas mieszkaniu od lat pozostaje niezamieszkały, funkcjonuje jako pustostan. I to wtedy, gdy miasto, w obliczu niekontrolowanego powrotu ewakuowanej uprzednio ludności, a także przyływu niezbędnych dla umocnienia frontowego zaplecza urzędów i instytucji, cierpi na ostry głód mieszkaniowy. Nawet ona, deputowana, cierpi na ten głód, nie posiadając odpowiedniej dla jej kwalifikacji powierzchni mieszkalnej.

- Jedz! — powtórzyła ze zniewalającym uśmiechem, podsuwając mi wytrąśnięty z torebki cukierek. Zjadłem. Cukierek smakował wapnem, kurzem, myszami. Byłbym się zdumiał, gdyby nie dalsze wywody pozbawionej powierzchni deputowanej. Według jej rozeznania, w zapieczętowanym pokoju znajdowały się flader wartościowe przedmioty pochodzenia zagranicznego, jak to: buty, ubrania, a nawet meble, i z pewnością zależało nam na ich odzyskaniu.

Milczeliśmy, przytłoczeni tak kuszącą propozycją. Nie ulegało wątpliwości: zaproponowano nam podział łupów. Pał licho cukierki „Miszka”, ale wartości zagranicznego pochodzenia - to robiło wrażenie. Przyznam się, że nadzieja odzyskania radioli, a także książek z biblioteki ojca, wydała mi się niezwykle atrakcyjna. A przecież były tam jeszcze płyty i taśmy filmowe, i cała walizka zdjęć z Hiszpanii.

Pierwsza oprzytomniała ciotka. Wyglądała na gwałtownie spłoszoną kotkę.

- Przecież to wszystko zostało...

- Niestety archiwa spłonęły podczas ewakuacji - ze smutkiem pokręciła głową deputowana.

I wyjaśniła, że uzgodniła już sprawę z władzami wykonawczymi, za chwilę zjawi się tu autorytatywny ich przedstawiciel, z którym, w oparciu

o wystawiony już nakaz mieszkaniowy, dokona wspólnych oględzin pustostanu dla spisania odpowiedniego protokołu. I zgarniając ocalałe cukierki z powrotem do torby wyraziła chęć obejrzenia reszty lokalu.

Nie wiem, o czym myślała ciotka, oprowadzając ją po łazience, kuchni i własnym pokoju. Pewnie o tym, że w całej tej sprawie nasze możliwości działania są nad wyraz ograniczone. Co do mnie, nie ruszyłem się z miejsca, trwając w oszołomieniu aż do chwili, w której istotnie pojawił się oficer milicji, ten sam, który wczoraj nakładał pieczęcie na drzwi. Nic zatem nie było dziwnego w tym, że dziś je zdejmował.

Dziwne było co innego: niewątpliwa zażyłość tych dwojga. Było w tym coś nieuchwytnie intymnego, zwłaszcza ta zdolność porozumiewania się za pomocą nawet nie gestów czy spojrzeń, samego tylko nieznacznego skrzywienia warg, podniesienia brwi. Poznałem ten kod spiskowy bez trudu, zanim jeszcze zdałem sobie sprawę z tego, że ta para również wzniosła się ponad prawo, nie wiem, czy boskie, lecz ludzkie z całą pewnością.

Ledwie zresztą wkroczyła do swego pustostanu, a niemal natychmiast zaczęły stamtąd dobiegać odgłosy szczegółowego zapoznawania się z zawartością szaf, walizek i szuflad.

- Trzeba się zorientować, jak to wygląda od strony prawnej - prychnęła ciotka, krążąca po przedpokoju w tygrysim amoku.

Od strony prawnej! Wciąż zapominałem, że się chowała bądź co bądź w Europie, w odróżnieniu ode mnie, nieletniego sowieta, który znał tylko jedno prawo: strach. I teraz, choć wsłuchując się z niedowierzaniem w dobiegającą z tamtego pokoju od lat niesłyszana chrypkę Edith Piaf, przywoływałem całą swą moc, cały kunszt przenikania przez drzwi i ściany, przesączania się nieuchwytnym cieniem przez najmniejsze rozstrzenie substancji twardych i ciekłych - nawet niewidzialność kapitulowała, sparaliżowana przez respekt wobec resztek zaklętej pieczęci na drzwiach. Promieniowała z nich siła nieznaną dawnym egzorcystom. Również gdy ciotka z desperacką odwagą, czy zgoła rozpaczą, usiłowała sforsować zakazany próg, z miejsca została zastopowana przez



wyrastającą w drzwiach deputowaną.

- Same klamoty! Nawet nie warto spisywać! Jutro rano przyjedzie po nie ciężarówka - zakomunikowała tamta obcesowo i obejrzała się do tyłu, jakby biorąc na świadka zabierającego się na nowo do pieczętowania drzwi oficera. - A ja wprowadzę się po południu, zaraz po pracy.

Cios był nagły, zadany zniemacka, ciotka oparła się

o framugę, mrużąc coś niewyraźnie. Bezwzględny metal w głosie deputowanej pobrzmiwał echem ulicznych walk stalingradzkich. Ale tam jeszcze trwały zmagania o jakiś mityczny „dom Pawłowa”, a tutaj myśmy już przegrywali własny. Zresztą pomruki ciotki nie miały żadnego znaczenia, deputowana stała już przed moim pokojem. Nawet nie wiem, czy mnie spostrzegła, gdy omiotła wnętrze władcym spojrzeniem, prezentowała je swemu towarzyszowi.

I nagle w pokoju słodko zapachniało dzieciństwem, był to zapach mojej matki. Zaprawdę niewidzialnej, bo też od lat nieobecnej matki. I już nie musiałem przenikać przez ściany, by zobaczyć, jak wiedziona nieomylnym węchem deputowana trafia na jej perfumy, bierze rozpęd do toaletki i spryskuje się tym trochę zwietrzałym chanelem; spryskuje się tym zachłanniej, że postrzega tuż obok flakonu jeszcze jedwabną apaszkę. Bo tę właśnie apaszkę miała teraz na szyi.

Myślę, że to był błąd: ta pazerność. Oczywiście, każdemu wolno popełniać błędy, byle nie w obecności dzieci tych, czyim kosztem się je popełnia. Bo to niweczy w dzieciach strach

i budzi przebiegłość. Ale niby skąd miała o tym wiedzieć ta deputowana? Sam o tym nie wiedziałem.

Również ciotce przywróciło to równowagę. Ponownie prychnęła, nim zapytała rzeczowo, do jakiego urzędu przetransportuje ciężarówka klamoty pochodzenia zagranicznego. Bo też ciotka, gdy się rozzłościła, umiała pokazać pazurki.

Nastąpiła krótka pauza, po której deputowana wyjaśniła, że rzeczy z

zaplombowanego pokoju zostaną wywiezione do magazynów, gdyż, jak się okazuje, podlegają reglamentacji. Tak właśnie powiedziała: reglamentacji. I skinęła na czekającego już w progu oficera milicji. I wyszła.

Przez jakąś chwilę milczeliśmy. A potem powiedziałem:

- Mikołaj Iwanowicz! - i ciotka spojrzała na mnie z uznaniem.

Mikołaj Iwanowicz to był właśnie pan S., nasza tajna broń, sekretny front, Wielki Szef i dyrygent Czerwonej Orkiestry. Tylko on mógł w tej sprawie udzielić zbawiennej rady. Toteż ciotka pospiesznie narzuciła na siebie płaszcz i wybiegła z domu.

To, że pan S. utracił łączność z centralą, wcale nie znaczyło, że utracił ją z ciotką. Oczywiście nie wiedziałem, jaki mieli system sygnalizacyjny, ale automat telefoniczny był w pobliskiej aptece, zaś ciotka wróciła dość szybko i równie szybko zamknęła się w swoim pokoju. Pewnie dlatego, że nie chciała, żebym widział, jak płacze.

Po jakimś czasie nadszedł pan S., tym razem w czapce z zajęczego futerka, w dorożkarskim płaszczu. I wysłuchawszy naszego sprawozdania, powiedział niewiele myśląc:

- To bezprawie!

Trudno było o stwierdzenie<sup>^</sup>bardziej pozbawione sensu.

W końcu kto jak kto, ale on przecież musiał wiedzieć, że w systemie zwanym ludowładztwem, a zrealizowanym według projektu byłego absolwenta prawa uniwersytetu kazańskiego, zasięg władzy jednego ludowładcy ograniczony był najwyżej zasięgiem władzy drugiego. I nadużycie tej władzy było jedynym prawem, a zarazem siłą napędową Utopii. Nie mówiąc już o tym, że stopnie tej władzy mierzyły się wyłącznie stopniami wtajemniczenia.

Ale pan S. nad tym wszystkim się nie zastanawiał. Gwałtowność swojej reakcji zawdzięczał wyłącznie doświadczeniom wyniesionym z aresztu milicyjnego.

- Bezprawie! - powtórzył ciemniejąc na twarzy. Podeszedł do drzwi i przykucnąwszy, obejrzał nowe pieczęcie. A potem się wyprostował. Było oczywiste, że gotów jest do walki z bezprawiem na śmierć i życie.

Rzecz jasna nie miałem jeszcze wtedy pojęcia o tym, że poprzedniego dnia spalił mu się kolejny lokal konspiracyjny. I to w sposób nieodwracalny, gdyż powiesił się w tym lokalu zaufany jego zastępca do spraw logistycznych. Od pół roku odmawiano mu prawa, do meldunku stołecznego, a tym samym - przydziału kartek żywnościowych.

W każdym razie przez moment zaświtała mi nedorzeczna myśl, by podejść do okna i sprawdzić, czy aby jeże oraz balony zaporowe, które tak skutecznie spisały się w walce z pancerną dywizją SS „Reich”, nie wróciły przypadkiem na dawne miejsca. Bo pan S. nie przypominał już potulnego staruszka z lasów smoleńskich ani chłopka-roztropka, bezimiennej ofiary kolektywizacji. Stała za nim groźna i niezniszczalna siła, wielka podziemna moc, najeżona przemyślną siecią głęboko zakonspirowanych komórek, punktów, podpunktów, zaplecza logistycznego. Stały za nim nasłuch i wywiad, nieprzeliczone zastępy straceńców i desperatów, żywych uspionych torped. Czerwona Orkiestra, przez cały rok strojąca jedynie swe instrumenty, rozpoczynała wreszcie przygrywkę. Talerze, kotły, puzony! Jeszcze się wsłuchiwałem w ich pierwsze takty, a już pan S. odbył krótką rozmowę z ciotką, po czym wyprowadził mnie nie wiedząc czemu do kuchni i tam udzielił szczegółowych instrukcji.

Tak otrzymałem pierwsze i ostatnie zlecenie z ust Wielkiego Szefa podziemia antyfaszystowskiego w Moskwie.

Oto dlaczego rankiem następnego dnia znalazłem się w dobrze znanej mi izbie przyjęć NKWD ZSRR, tuż przy Łubiance. I nie wśliznąłem się bocznym wejściem od oficyny z podwórza, nie ustawiłem się w skotłowanej kolejce. Wszedłem przez główne wejście i zażądałem rozmowy z oficerem dyżurnym. Pewnie tym samym załamującym się falsetem, którym przed wieki na pobliskim placu Czerwonym, zwanym podówczas Pożarem, zdesperowani donosiciele ujawniali kolejną zbrodnię stanu, zawodząc donośnie: „Słowem i czynem!”. Właśnie: donośnie!

Tak czy inaczej, oficer dyżurny stawiał się posłusznie na to wezwanie, tyle że przy pierwszym na mnie spojrzeniu gąbczasta jego twarz natychmiast się ścięła w grymasie niesmaku.

- Chcę złożyć zeznanie na bezprawne poczynania organów milicji! - oświadczyłem buńczucznie i coś na kształt wesołego zdumienia naruszyło układną symetrię tego grymasu. W szparkach oczu, zdawać by się mogło, nic nie drgnęło, ale już ich właściciel oblizał się łakomie, jakby w przeczuciu świetnej zabawy. Nawet się nie domyślał potężnych mych koligacji.

- Organa milicyjne zerwały wasze pieczęcie - wyjaśniłem. - Usunęły pieczęć NKWD i w jej miejsce nałożyły własną.

Podniesiona w obronnym geście dłoń i sfałdowane czoło - wszystko to zdradzało wyteżoną pracę myśli, bezkrwista twarz ponownie stężała, obleczona tym razem w rys powagi. Chyba nawet nabrała rumieńców.

- Zerwały naszą pieczęć? - zapytał z niedowierzaniem oficer i nie czekając na odpowiedź wprowadził mnie do ciasnej dyżurki. Stało tu łóżko polowe, na którym poniewierały się zmięte koce i w powietrzu czuć było stęchlizną. Chuch miał również nieświeży, lecz od tej strony byłem szczelnie ubezpieczony, woń perfum paryskich na dobre zaległa w nozdrzach.

- Kiedy? Gdzie? Jak to się stało?

Wyjaśniłem, kiedy, gdzie i jak to się stało, wspomniawszy w miarę niedbale o reglamentacji i ciężarówce.

- Bezprawie! - powiedział oficer, a że już to słyszałem, przytaknąłem skwapliwie, tym skwapliwiej, że opatrzył ten rzeczownik w kilka innych, bardziej soczystych określeń.

- Proszę zaczekać - powiedział oficer i wyszedł, a ja zostałem w dyżurce.

Przyszli po półgodzinie.

W porównaniu z nimi oficer dyżurny był najwyżej maskotką, pluszową

atrąpą, wystawioną dla zmyłki pod szyldem urzędu. Bo to dopiero była grupa operacyjno-uderzeniowa! Robiła tak sugestywne wrażenie, że idąc za nią, człowiek zaczynał naśladować jej sposób poruszania się, a nawet mimo woli przybierał tę samą postawę i minę.

Zapytali mnie o adres, choć mieli go wypisany na kartce, i wpełnęli do samochodu. A potem zaczęliśmy kluczyć jakimiś uliczkami: w lewo, w prawo i wkoło; pewnie było to rutynowe, pewnie w ogóle nie umieli inaczej jeździć. W końcu jednak zajechaliśmy na miejsce i tu dopiero się przekonałem, że reguły działań sekretnych zgłębili nie gorzej ode mnie. Bo najpierw nastąpiło wstępne rozpoznanie podwórza, następnie obsadzenie klatki schodowej, a wreszcie ściągnięto nie wiedzieć skąd dozorcę - wciąż tego samego, fachowca od mojej rodziny. Dopiero po tych przygotowaniach, przezornie pozostawiając na klatce obstawę, wkroczone do mieszkania. I tu uroczyście zerwane zostały z drzwi bezprawne milicyjne plomby i nałożone dawne, właściwe.

Na odchodnym skinięto mi bez słowa i odebrałem to jako milczące podziękowanie za okazaną czujność. Należało mi się, odwzajemniłem skinięcie, trochę tylko tęskniąc za czapką niewidką.

Jeszcze długo potem wpatrywaliśmy się z ciotką w zbawienną pieczęć, ten znak hańby, znak klęski, najskuteczniej broniący nas przed inwazją połączonych ciał wykonawczych i prawodawczych, aliansu sił porządkowych z miejscową administracją.

W ten sposób pomszczona została krzywda pana S., bywalca aresztów milicyjnych, i jego wiernych zastępów, wykruszanych w kolejnych łapankach. Ja zaś zacząłem domyślać się poniewczasie, gdzie się zbierają i łączą nici wszelkiego rodzaju operacji konspiracyjnych. Było oczywiste, że dwie wszechwładne potęgi, czuwające nad naszym dniem powszednim, starły się ze sobą w zmaganiach nie mniej zaciętych niż wspomniane już walki o „dom Pawłowa”, lecz o ileż bardziej istotnych. Skądinąd, byliśmy spokojni o wynik, sprawiedliwości musiało się stać zadość.

I jak każda bitwa z wolna przestaje być anonimowa, obrastając czy to w personalia z obwieszczeń żałobnych, zwanych pochoronkami, czy to w

nazwiska zwycięskich dowódców z komunikatów Kwatery Głównej, tak i tu pulsowało już w powietrzu, migotało już słonecznym zajęczkiem, przymierzając się do mosiężnej tabliczki na klatce schodowej, imię nieznanego triumfatora.

Gdyż jeszcze zanim ofensywa niemiecka ostatecznie utknęła w niepotrzebnych nikomu ruinach nad niepotrzebną nikomu rzeką, zniknęły pieczęcie z naszych szyb matowych i dykt. I stało się to najzwyczajniej w świecie, po prostu ktoś zadzwonił do drzwi, a gdy je otworzyłem, stanął w ich progu młodszy lejtnant o pogodnej, bezchmurnej twarzy wiejskiego przygłupa.

I to był właśnie Kola Podlipalin, Mikołaj Iwanowicz Podlipalin, młodszy lejtnant NKWD, wybraniec fortuny, który w całej tej esbecko-milicyjnej loterii, zapobiegliwej kotłowaniny wokół zdobycznego pokoju, wyciągnął swój szczęśliwy numer - przydział służbowy na dwudziestometrową powierzchnię mieszkalną w naszym - teraz już wspólnym - lokalu numer jakiś tam, drugie piętro, druga klatka schodowa. Może nawet wiedział, komu zawdzięcza to szczęście, bo zrywając beztrąsko plomby i sznurki z drzwi, otworzył je szeroko, wołając do mnie radośnie:

- Wybierz se co na pamiątkę po ojcu-matce!

Stał w drzwiach z listą w rękę, ponagląjąc niezręcznych tragarzy zajętych wynoszeniem z mieszkania wyszczególnionych na liście przedmiotów (przechowały się jednak archiwa!), poskrzypując niecierpliwie nowymi oficerkami, rozpromieniony jak na apelu lagrowym.

Wieczorek zapoznawczy odbył się tegoż popołudnia. Pokój był ogołocoony, rozbrzmiewał zwielokrotnionym pogłosem i cały wydawał się olbrzymim królestwem pustki.

Kola miał gest, wydobyl z teczki pół litra moskiewskiej, słoik kiszonych ogórków, prawdziwego śledzia, bułkę paryską i Krótki kurs historii WKP(b), z którym, jak zaznaczył, nie rozstawał się nigdy. Krzesła i stół musieliśmy przynieść z pokoju ciotki, rozczulonej porucznikowskimi gwiazdkami, wszak również miała syna lejtnanta, co prawda już od

miesiąca na froncie.

A i żona Koli, Tatiana, była starszym lejtnantem. Przystojna tleniona blondynka z ledwie zaznaczoną ciążą, nie przeszkadzającą jej poruszać się z mundurowym wdziękiem. Oczywiście nie wiedzieliśmy jeszcze, że młodszy lejtnant NKWD tak naprawdę wart jest o dwie gwiazdki więcej, a Tatiana ma zwykły stopień ogólnowojskowy, czyli wychodzą na równo. Pewnie ta nasza nieświadomość sprawiła, że poczuli się naraz dumni ze swego zwykłego żołnierskiego losu, frontowego braterstwa, wedle którego praw nie byliśmy już wrogami ludu, lecz zwyczajnie rodziną kolegi, sąsiada z okopu, zasiadającą z nimi przy wspólnej biesiadzie.

A tak, tego wieczoru nie byliśmy już wrogami ludu, choć z drugiej strony, do przyjaciół było nam jeszcze daleko i całą swoją podziemną naturą wyczuwałem, że coś tu nie jest w porządku.

Kola mówił do mnie: „Andriusza” i usiłował zaintonować piosenkę pod tym tytułem, a pierwszy toast wznosił za miasto wielkiego Stalina - Stalingrad. Spełniliśmy ten toast zgodnie, wszyscy, łącznie z Tatianą, która ujmując kieliszek odginała kokieteryjnie mały paluszek, co trochę deprymowało ciotkę. Mnie tam było wszystko jedno, wiedziałem, że tu chodzi o dobre maniery, nic więcej. Rzecz natomiast niezwykle zaprezentował Kola, który w chwilę po odstawieniu kieliszka ruszał nerwowo do kąta przy drzwiach i tam dyskretnie zwracał ogórek i śledzia. Potem wracał i wznosił kolejny toast, by ponownie podążyć do drzwi i powtórzyć proceder. Nawet trochę się wstydził tej swojej słabości, tak jakby biegł do kąta za naturalną potrzebą. Osobliwy to był rytuał i wolałem nie zgłębiać, co wyrzyguje z siebie naprawdę posiadacz utajnionej porucznikowskiej gwiazdki.

I tak, pod tą gwiazdką, rozpoczął się nowy rozdział naszego żywota, czy też raczej jego krótkiego kursu aż do następnej gwiazdki Koli Podlipalina.

Rozdział drugi

O tym jak Kola Podlipalin dostał kolejną gwiazdkę

Mój brat cioteczny Heniek był wyrośniętą i dość wysportowaną blond

bestią o zaciętej ładnej twarzy, jasnoniebieskim wejrzeniu i dziwnie kanciastych, jakby rozregulowanych ruchach. Są ludzie, których każdemu poruszeniu towarzyszy jakaś sztywność, niezręczność, nawet ich drobnym gestom brakuje płynności, co sprawia wrażenie braku koordynacji. Do takich właśnie ludzi należał mój brat Heniek. I dlatego właśnie był wysportowany. Tak się przejął swą niezręcznością, że wystartował do międzyszkolnej olimpiady gimnastycznej. I — co najśmieszniejsze - utrzymał się w pierwszej dziesiątce. Pewnie stąd miał tę zaciętość w rysach. Nigdy nie zdołał się pozbyć polskiego akcentu w wymowie, toteż został filarem szkolnego kółka recytatorskiego. Miał dwie lewe ręce i dlatego, jak sądzę, postanowił zostać saperem.

Jako świeżo upieczonego maturzystę skierowano go do rocznej szkoły oficerskiej. To jasne, że ukończył ją z pierwszą lokatą. Zawsze był prymusem. Nic na to nie poradzę, że nie przepadałem za nim, przynajmniej nim trafił do wojska.

Teraz wiadomości od niego nadchodziły z rzadka, w postaci małych, starannie złożonych trójkącików liniowanego papieru. Przypominały robione przez nas w dzieciństwie papierowe samolociki, tyle że bez ogonków. Trójkąciki adresowane były do ciotki, choć zawsze znalazło się tam parę słów dla mnie, bo z jednego Heniek mimo wszystko nie zrezygnował: z udzielania mi nauk moralnych. Darowałem mu, w końcu był moim starszym bratem.

Samolociki nadlatywały nieregularnie, choć sam fakt, że lądowały w skrzynce, dowodził, że - jak dotąd - ominął Heńka młyn stalingradzki. Nie tylko ciotce, mnie również sprawiało to pewną ulgę. Bo to było tak: nie cierpiałem go, a wciąż mi go brakowało. Inna sprawa, że dopiero dostałby szał, gdyby się był dowiedział, że dobrałem się w międzyczasie do książek z jego regału. Bo muszę tu wyznać, że w naszych przepychankach domowych nie wiek, nie przewaga fizyczna stanowiła jego największy atut, tylko znajomość polskiego. W tym języku porozumiewał się zarówno z moją matką, jak i swoją, a ja nic, ani słowa, nie mogłem zrozumieć z tych konwersacji. Był to szyfr dorosłych, tajna mowa naszego domu.



Toteż skłamałbym, gdybym powiedział, że po podręcznik polskiego, od lat bezużytecznie poniewierający się na regale, sięgnąłem w odruchu serca czy też idąc za głosem krwi. Sięgnąłem w odruchu zazdrości. A ponadto chciałem wreszcie opanować ten szyfr. Bo i jakaż może być służba tajna bez sekretnej mowy! A tu miałem ją tuż obok, bez przesady pod ręką, razem z tym jej dziwnym alfabetem, zwanym łacin-ką. To, że nas go uczono w szkołach, nie miało nic do rzeczy, dla nas nadal, jak dla większości dorosłych, pozostawał niezgłębioną zagadką. (Jeszcze jeden dowód sprytu małolatów. Ćwierć wieku później prof. dr Ryś Przybylski zdołał przemycić na Zachód pamiętniki Nadzieży Mandelsztam, przepisując je od ręki polskimi literami).

Alfabetowi, nie chwaląc się, sprostąłem za pierwszym podejściem, reszta była śmiertelnie nudna, jak to teksty w podręczniku. No i jeszcze marzły mi ręce i nogi, dłużej niż pół godziny nie dawało się wytrzymać w mieszkaniu. Szedłem się zagrzać do pobliskiej czytelnicy, gęsto tam było od parujących oddechów. Wspomniałem już, że czytałem podówczas sporo, zwłaszcza tej pierwszej wojennej zimy. Czytałem z musu. Wszystko, co tylko stało na półkach, jak leci.

Prawdziwy obłęd był z tym czytaniem. Wszyscy wokół coś tam czytali. Ziemia usuwała się im spod nóg, a oni czytali. Może było tak zawsze, ale na mój rozum ludzie w tym właśnie czasie zaczęli się zwyczajnie wyżywać w lekturach, po prostu przenosić się w inny świat, który musiał im się wydawać bardziej rzeczywisty. Wynajmowali sobie taką prywatną maszynę czasu. Bo wszystko tam można było odnaleźć: i utracony ład, i wzorce zachowań, i hierarchie wartości, i nawet możliwość wyboru - nieważne, czy był to świat arcydzieł, czy najgłębszych produkcyjniaków, zawsze się jednak składał z czterech żywiołów i panowała w nim jedność.

Ja nawet dziś jeszcze myślę, że słynna tajemnica duszy rosyjskiej na tym właśnie polega, na tej ucieczce przed codziennością, na tym somnambulicznym wędrowaniu byle gdzie, byle dalej od osaczającego ją życia. Czy to za sprawą lektury, czy innych substytutów. Na tropieniu Absolutu w najniedo- rzeczniejszych snach, im dalej od niewybrednej prawdy, tym lepiej. Nie muszę chyba mówić o tym, jakie spustoszenia

czyni dusza rosyjska w otaczającym ją środowisku. A znam się na tym, bo gnieździła się we mnie dość długo.

Ano, widzę wciąż siebie przy którymś stoliku w tym niewielkim, ozdobionym gołą żarówką pokoju, pochylonego nad kolejną książką, w płaszczu porośniętym szczecina lodu, bo woda w drodze znad rzeki wypluskiwała mi się z wiadra i skorupiała na połach wieczną zmarzliną. No, może nie tak bardzo wieczną, parę godzin jazdy metrem wystarczyłoby na jej odmrożenie, ale wołałem czytelnię. Lubiłem ją.

Pamiętam, jak przy którejś lekturze (chyba Klubu Pick- wicka) dostałem obłądnego ataku śmiechu. Siedziałem nad książką w tym obludzonym płaszczu, w popękanych rękawiczkach (nie zdejmowałem ich nawet wtedy, gdy grzałem ręce nad maszynką elektryczną, brzydziłem się własnych odmrożonych, oblepionych gazą rąk), i niemal płakałem ze śmiechu, co też musiało zwrócić na mnie ogólną uwagę. Tak czy inaczej, zaraz usiadła naprzeciw mnie trochę tylko starsza dziewczyna, kartkująca z przejęciem ciężki, okazałych wymiarów tom. W pewnej chwili i ona zaczęła się śmiać, a prawdę mówiąc chichotać, potrącając mnie przy tym lekko stopą pod stołem. Spojrzałem przez blat: oglądała atlas anatomiczny i sponad barwnych plansz przedstawiających męskie i kobiece genitalia zerkiała na mnie dość uwodzicielsko.

Trochę mnie zatkało. Powiedziałbym nawet, że krew uderzyła mi do głowy. To były zaloty!

Nagle zrobiło mi się ciepło pod tym zlodowaciałym płaszczem, który chrząścił przy każdym poruszeniu. Chrząścił jak zbroja. Albo i pas cnoty. Bo gdyby nie pewne względy natury higienicznej, no i to jeszcze, że brzydziłem się własnych rąk, kto wie... Ale w tej sytuacji wołałem zastanowić się, czy dziewczyna nie jest nasłana. Uznałem, że dla człowieka z podziemia ta przypadkowa znajomość nie jest wskazana. I mimo awansów, czynionych mi w sposób tak pogładowy, do romansu między nami nie doszło, choć jeszcze przez kilka następnych dni dziewczyna siadała przy mnie ze swoim woluminem i niemal natychmiast zaczynała chichotać. Może była wariatką, pełno wtedy w mieście było

wariatów.

Tyle o czytelni, dlatego dla mnie ważnej, że doznałem w niej niebawem pewnego olśnienia. Klucząc śladami małego Gavroche'a z Nędzników, trafiłem na opis słynnych czerwcowych rozruchów paryskich, podczas których tłum demonstrantów skanduje ze swych barykad: „Niech żyje Polska!”. To nonsensowne, zdawałoby się, jak na zbuntowanych Francuzów zawołanie tak mnie zbulwersowało, że naraz pokojarzyłem sobie lata trzydzieste ubiegłego stulecia z jakąś przypadkowo zapamiętaną rozmową rodziców - i litery rozplynęły mi się w oczach. Byłem Polakiem! To przez swoje ormiańskie nazwisko całkiem o tym zapomniałem. Odnalazłem się w obcym świecie! A to dopiero było odkrycie, mogła się schować ta wariatka z atlasem!

Pewnie to spowodowało, że po powrocie do domu sięgnąłem ponownie do regału Heńka, wyciągając na chybił trafił opasły, zaczytany niemal do szczytu tom Sienkiewicza. Wyrażenie: „do szczytu” należy tu traktować dosłownie i pierwsze zdania w języku, z którym przyszło mi się odtąd borykać, były początkiem drugiego tomu Potopu. Szyfr mowy tajemnej został złamany.

Teraz, po latach, wolałbym oczywiście przyznawać się do czegoś mniej dydaktycznego, przaśnego, czytankowego. Ale wstyd powiedzieć, było jak było: Konopnicka, Reymont, szczątki lektur szkolnych, bo i wieszczów, i Żeromskiego ciotka spaliła w piecu kuchennym zaraz po tym, jak wzięli mojego ojca. Ale to było w porządku, już w wieku lat dwunastu nauczyłem się tego, że jest czas czytania książek i czas ich palenia.

No i teraz czytałem, potykając się niemal o każde słowo, ale tym bardziej łapczywie, że od kiedy ulokowałem Podlipa- linów w ich mieszkaniu służbowym, wziąłem rozbrat z czapką niewidką, utraciłem swoje jedyne naprawdę coś warte zdolności. A nawet miałem wrażenie, że nie tylko je utraciłem, ale że coraz bardziej rzucam się wszystkim w oczy. I to nie tylko za sprawą moich nowych sąsiadów.

Może była to sprawa dojrzewania. Może właśnie dojrzewanie jest tym progiem, przy którym każdy z nas składa swój przyrodzony dar. W

każdym razie to jedno mi zostało: wehikuł czasu i smak zakazanej lektury w ustach, choć na dobrą sprawę sam Kola Podlipalin mógł sobie obejrzeć te książki i nie znalazłby w nich żadnego dowodu przestępstwa.

Bo też Kola Podlipalin, jako brat-łata i chłopiec-roztropek o manierach nadzwyczaj bezpośrednich, zjawiał się w moim pokoju z reguły niespodziewanie i bez pukania, prawie zawsze z Krótkim kursem pod pachą. Od progu ruszał w stronę wstawionej na jego interwencję szyby, z lubością poklepywał ją szeroką dłonią z palcami o krótko, tuż przy opuszkach obciętych paznokciach, obrzucając zarazem pokój baczным spojrzeniem, a potem siadał przy biurku Heńka i zaczynał mnie wypytywać o szkołę. Zazwyczaj podczas rozmowy obracał w rękę jakieś należące do Heńka przedmioty albo wysuwał jedną po drugiej szuflady biurka i chwalił panujący w nich ład, czy też przyglądał się zdjęciu dziewczyny Heńka, póki nie zabrałem tego zdjęcia pod jakimś pretekstem. Był najwyżej o parę lat starszy od Heńka i pewnie uważał, że powinien mi go zastąpić.

Tak czy inaczej, obaj, każdy na swój sposób, wkraczaliśmy w świat intymny mojego starszego brata i czułem, że to nie jest fair, tak samo jak nie było fair grzebanie w jego papierach, szeleszczących pod wprawnymi paluchami, znaczone od grzbietu wydzierganymi kolejno literami: K-O-L-A. Ale nie miałem śmiałości, żeby zwrócić Koli na to uwagę. Po pierwsze, nie rozumiałby o co mi chodzi, bo wtrącanie się w życie innych ludzi było jego zawodem i powołaniem, po drugie, dręczyło mnie w jego obecności niewyraźne poczucie winy.

To nic, że byłem zazdrosny o dziewczynę ze zdjęcia, Halinę Pak, drobną pół-Koreankę, najlepszą gimnastyczkę z zawodów międzyszkolnych, choć nie odprowadzałem jej już do domu po wizytach u ciotki, bo zgłosiła się na ochotniczkę do wojska. Z pewnością po to, by pielęgnować Heńka w razie potrzeby.

Byłem zazdrosny o Halinę Pak, ale przecież się w niej nie kochałem. Platonicznie i beznadziejnie kochałem się w koleżance ze szkoły, dziewczynie z warkoczem sięgającym gdzieś do pół łydki. Czasami też

przychodziła mi na myśl ta wariatka z czytelni, choć wydawała się zbyt obcesowa w swoich poglądach na życie intymne. Poczucie winy brało się stąd, że coraz bardziej bezceremonialnie rozpychała się w moich snach powabna, majestatyczna postać nowej sąsiadki zza ściany, starszej lejtnant Tatiany Podlipalin.

Tak jest, musiałem czuć niewytłumaczoną słabość do tej muzy policyjnych aresztów, mundurowej harpii, miss Łubianki! I nie przeszkadzała mi wcale coraz widocześniejsza ciąża starszej lejtnant; niebieski mundur zdołałby ukryć nie takie wady. Bo to on właśnie, przewrotnie opinający z natury swej obce mu kształty, uruchomił cały mechanizm tego perwersyjnego pociągu. Chyba też nie bez znaczenia było, że przy lada okazji ocierała się o mnie starsza lejtnant z wyraźną lubością. I mijając się z nią w ciasnocie przejść kuchennych czy łazienkowych, nieraz odczułem niezwykle sprawne uderzenie jej jędrnych pośladków o - pożałujcie Boże! - moje.

Będę ścisły, nie kochałem się w Tatianie Podlipalin, tych jej z dnia na dzień rozplywających się rysach i bezczelnych kurewskich ślepiach, tyle że w moich rojeniach sennych narzucała mi się w tak niestosowny sposób, że nawet wariatka z czytelni ze swym atlasem anatomicznym zarumieniłaby się ze wstydu. Nie wspominać już o platonicznej koleżance z warkoczem, moim stałym wyrzucie sumienia, bo wtedy nie wiedziałem jeszcze, że można się kochać w jednej kobiecie, a sypiać z drugą. Tak było: Tatiana Podlipalin panoszyła się w moich snach, majaczeniach moskiewskiego głodomora, w świecie uczt i zabaw królewskich, obfitości jadła i picia, dostarczając mi nielegalnych uciech erotycznych.

I nie był w stanie przeszkodzić temu młodszy lejtnant Kola, albowiem co wieczór z Krótkim kursem pod pachą wyruszał niezmiennie do swych nocnych zajęć. To prawda, że jego sobowtóry w demisezonowych płaszczach podejrzliwie łypały na mnie z każdego załomu śródmiejskich uliczek. Ale jego samego nie było na miejscu. Nie było go nawet w moich snach. I dlatego nie mogłem w odpowiedzi na jego rzetelne spojrzenie odpowiadać spojrzeniem równie otwartym i szczerym. Nie da się ukryć, nigdy nie rozmówiłem się z Kolą jak mężczyzna z mężczyzną.

Gdzie indziej jednak szukałbym przyczyn narastającego między nami napięcia.

Bo też z całą pewnością te moje orgie senne były rodzajem swoistej rekompensaty za utraconą powierzchnię mieszkalną. Ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jeszcze niejasne były dla mnie relacje pomiędzy wspomnianą powierzchnią a przestrzenią życiową, choć powinienem był skądinąd pamiętać, o co - u licha - toczy się ta wojna. Tym bardziej że z przestrzenią zrobiło się w naszym mieszkaniu jakby trochę przykuso.

Czy to się zaczęło od wieszaka w przedpokoju, czy od garów w kuchni, dość że od kiedy kontrofensywa radziecka ruszyła znad Wołgi, oddawaliśmy z ciotką teren, metr po metrze, co prawda bez strat w sprzęcie i sile żywej, tracąc jednak wszelką kontrolę nad strategicznymi punktami wspólnego użytku. Mniejsza o wieszak czy gary, coraz butniej przez ziemię niczyją parł do ustępu Kola, na coraz dłużej zalegała w łazience wdzięczna Tatiana (ach, ten przydział węglowy, którego byliśmy pozbawieni!). Coraz natrętniej wreszcie obsadzali resztę mieszkania ich sobotnio-niedzielni cywilni i mundurowi goście, wśród których z urzędu najwięcej miejsca wydawał się zajmować bezpośredni szef Koli, przysadzisty, wścibski jegomość o jowialnym usposobieniu. Sam jego widok wystarczał, by odebrać mi wszelką chęć do działalności podziemnej.

Nie było co chować głowy w piasek: o żadnym punkcie kontaktowym nie mogło być w ogóle mowy. Ze dwa-trzy razy raptem pokazał się u nas pan S., przemknął się zresztą tylko do pokoju ciotki w godzinach rannych, gdy zdawało się to być najmniej ryzykowne, a potem również chyłkiem wyparował.

Biedna ta moja ciotka! Jakże daleka była stąd droga do rodzinnego domu nad Bystrzycą, zabaw strzeleckich, lubelskiej młodości! Legiony, wielbiciele, flirty, czad Niepodległej, bracia Sokołowscy, obaj pod oknem na harcujących koniach, a nawet Kraków, Wiedeń, czy odumarły małżonek - demoniczny obieżyświat, spiskowiec i uwodziciel - wszystko to

odpłynęło, zamgliło się, pierzchnęło, jakby wcale tego nie było. Pozostała tylko ta komunalna kwartira, a w niej dwunasto- metrowa twierdza ducha z warującą od czasu do czasu na progu czujką bolszewickiego podziemia w postaci uczonego marynarza z dawno nieistniejącego pancernika.

Uczony marynarz to jak uczony kot.

Mam na myśli odruchy warunkowe, przyswojone w trakcie tresury nawyki. A także ślepią wiarę w rachunek prawdopodobieństwa, bo kiedy pewnego ranka rozległo się delikatne skrobanie do drzwi wejściowych, otworzył je Kola Podlipalin, po domowemu, w kapciach i podkoszulku, w narzuconym na ramiona ręczniku.

Ano zbytnio zaufał pan S. swojej wprawie konspiracyjnej, choć powinien był mimo wszystko liczyć się z tym, że sam w sobie charakter służbowych obowiązków naszego nowego sąsiada zakłada nienormowany dzień pracy.

- Do kogo? - warknął Kola od progu i było to nadzwyczaj agresywne warknięcie. Coś tam w wyglądzie pana S. najwyraźniej nie przypadło mu do gustu.

Usłyszałem dobiegające z przedpokoju znajome pokasy- wanie i spiesząc z odsieczą wybiegłem za drzwi. Ale pan S. prześlizgnął się tylko po mnie obojętnym spojrzeniem. Miał na sobie wytarty szynel żołnierski i wyleniała czapkę uszan- kę, pod pachą trzymał jakiś zmięty pakunek.

- Do Piotrowskich? - ni to stwierdził, ni to zapytał, a ja miałem okazję podziwiać jego spokój i refleks. Oczywiście w tak dużym bloku zawsze musiał się trafić jakiś Piotrowski.

- Pomyłka w adresie! - objaśnił go Kola i błysnął zębami w uśmiechu, zerkając na mnie porozumiewawczo. Tyle że zanim pan S. odwrócił się posłusznie do wyjścia, spojrzenie to zamieniło się w coś nadzwyczaj chłodnego i klajstrowatego; była w nim jakaś obezwładniająca lepkość.

- Już cię gdzieś chyba, dziadku, widziałem - przeciągnął Kola z pewną jakby zadumą, nadal się uśmiechając. Co dziwniejsze, uśmiech ten wcale

nie kontrastował z wyrazem oczu, coraz bardziej przywodzącym na myśl ni to zawieszinę rozpuszczonego stolarskiego kleju, ni to świńskie nóżki w galarecie. - Co masz w tej paczce?

W paczce były buty. Starannie owinięte w gazetę sfatygowane buty z nowymi zelówkami. Byłem naprawdę pełen podziwu dla pana S.

Właśnie się uchyliły drzwi od pokoju ciotki i przez sekundę lub dwie pozostawały uchylone, a potem zamknęły się bezszmerowo.

- Tak - powiedział Kola wając buty w rękę, aż naraz upuścił je na podłogę i kopnął pod wieszak. - Dokumenty!

Pan S. potulnie sięgnął gdzieś za pazuchę, wydobył skądś jakąś zatłuszczoną ceratkę, w którą miał zawinięte papiery, i wręczył je Koli.

- Tak - powtórzył tamten, kartkując uważnie dowód. - Miejsce pracy: Spółdzielnia Szewska Inwalidów imienia Rewolucji Październikowej...

- Tak jest, obywatelu naczelniku! - schrypniętym starczym dyszkantem potwierdził pan S.

Ten głos i to „obywatelu naczelniku" musiały więcej powiedzieć Koli niż mnie. Nadal przyglądał się panu S. z uśmiechem, leniwie obracając w rękę papiery.

- A nie mówiłem, że skądś cię znam! Musiałem spotkać

- kiwnął, sięgając do wieszaka po kitel mundurowy. - Musi i ty mnie pamiętać, co?

Pan S. potrząsnął w milczeniu głową, niepewnie wyciągając rękę po papiery.

- Fachowiec wywabiał? - skinął Kola na w pół zatarty, ale wciąż jeszcze błękitniejący na nadgarstku zarys kotwicy marynarskiej. - Wredny z ciebie dziad. Ale tu nie zona, tu Moskwa!

Zgasił uśmiech, zakładając kitel i chowając papiery do kieszonki munduru, i oczy jego znów zrobiły się wesołe i jasne:



- Szewc, co? Buty zelujesz na lewo, co? Już ja ci pokażę Piotrowskich! Sprawdźmy meldunek.

- Obywatelu naczelniku! - wydawał się nie pojmować pan S. i w głosie jego wyczuwało się prawdziwą desperację. - Jakże ja teraz, bez dokumentu?

- Jak? A nijak! Pójdiesz ze mną - wyjaśnił Kola dopinając guziki, zsuwając z nóg kapcie i pochylając się po oficerki.

- Razem pójdziemy. Pakuj dowody rzeczowe.

Zapraǳnętem nagle jednego: zniknąć, rozplynać się w powietrzu, szczeznąć do reszty. Twarz pana S. wyrażała krańcową rozpacz, gdy w proszącym geście jakby nawet przykląkł - i znów mogłem tylko podziwiać jego umiejętności aktorskie. Nie ukląkł jednak naprawdę, nie uderzył głową o podłogę, może ze względu na moją milczącą obecność, tylko zaczął bez słowa zbierać swój pakunek z podłogi i zawijać z powrotem, podczas gdy Kola wciągał buty i nakładał płaszcz. I tak jeszcze przez chwilę, złączeni jakąś nienaturalną więzią, krzątali się obok siebie w milczeniu ci dwaj Mikołaje, obaj - Iwano- wicze, obaj chłopskie syny z południa Rosji, z tych samych stron, może nawet z tej samej wsi. Wreszcie Kola otworzył drzwi i pan S. zakręcił się niezgrabnie na pięcie, wycofując się w jakimś półukłonie, a Kola - już zza progu - odwracając się do mnie, znów pokręcił w wymownym geście głową, jakby mówiąc: „Ale zrobiłem dziada na szaro, co?”. Popisywał się przede mną Kola Podlipalin.

Bo też na dobrą sprawę powinno mi było zaimponować tak błyskawiczne ujęcie podejrzanego, kręcącego się po bloku w niesprecyzowanym celu. Powinno było, lecz nie zaimponowało. Popisywał się przede mną Kola, a ja myślałem: „Mała wochrowska wesz na dorobku! Gdybyś tylko wiedział, kogo wzięłeś na hol, kogo prowadzisz do tych swoich lochów! Przecież w podskokach, w lansadach wyprzedziłyś go na tych schodach, gubiąc po drodze dowody rzeczowe, pod nogi chwytając i z powrotem prosząc”.

I słodki bóg zemsty podpowiadał mi, jak nieludzko upokorzony zostanie

ten ówok z łagrowego zaciągu, który całość swej edukacji, a zarazem ostrogi i szlify wyniósł z kursów sześciotygodniowych dla przewodników psów policyjnych. Jak zostanie zmiążdżony w chwili, gdy rozdzwoni się na jego biurku telefon i aksamitny radiowy baryton albo jakiś inny głos z konspiracyjnego Olimpu przerobi go z sadystyczną za- dyszką na miękkie gównu. Tak, pewnie nieładnie to z mojej strony, ale z wielką satysfakcją wyobrażałem sobie trzęsące się usta Koli zbiegającego do piwnicy na poszukiwanie w tłumie zatrzymanych do wyjaśnienia tajemniczego szewca ze spółdzielni inwalidów imienia Rewolucji Październikowej. Wyobrażałem sobie, jak składa mu wyrazy ubolewania z powodu tak przykrego nieporozumienia, a kiedy pan S. bez słowa zaczyna z powrotem zawijać swój dowód w ceratową okładkę, trzaska obcasami wołając służbiście: „Ku chwale ojczyzny!”.

Jedno tylko psuło mi tę ostatnią scenę - zdesperowana twarz pana S. w przedpokoju, ale znów powtórzyłem sobie, że aktorem okazał się pierwszorzędnym. I poszedłem podzielić się tym spostrzeżeniem z ciotką.

Trochę mnie zaskoczyło, że i na jej twarzy malowało się przerażenie, bo tutaj z pewnością o udawaniu nie mogło być mowy. Wargi naprawdę jej drżały i w oczach stały prawdziwe łzy. Wtedy dopiero uprzytomniłem sobie, że pan S., jak jej wyznał, stracił łączność z centralą. Spróbowałem uspokoić ciotkę, tłumacząc jak komuś mądrymu, że teraz nie będzie przecież miał do czynienia z byle jakim aresztem milicyjnym, tylko z autentycznymi fachowcami, którzy raz-dwa po- kapują się w tym wszystkim. Ale zdaje się, że jeszcze bardziej ją to przestraszyło.

Musiałem więc machnąć na wszystko ręką, bo ciotka ostatnio w ogóle zrobiła się strasznie nerwowa. Zamiast, dajmy na to, cieszyć się, że ominęła Heńka nadwoźnańska jatka, wbiła sobie nie wiedzieć czemu do głowy, że lada dzień spotka go coś jeszcze gorszego. Nie tłumaczyła mi, co to ma znaczyć: coś jeszcze gorszego, lecz tak była roztrzęsiona, że niewielka zwłoka w kursowaniu papierowych samolocików wystarczała, by dostawała kręcka z niepokoju.

Niestety, czekały mnie dalsze niespodzianki; nie sprawdziły się moje

przewidywania. Mój morganatyczny wuj, mój osobisty szef Czerwonej Orkiestry, rozpląnął się bez śladu gdzieś tam w pomroce tych zimowych miesięcy, zwieńczonych wiosenną ofensywą poststalingradzką, uczczoną tyłoma fajerwerkami. Nawiasem mówiąc, dość blado wypadły te fajerwerki w porównaniu z pojedynkami artyleryjsko-bombowymi z okresu niezdobytej twierdzy.

No i doprawdy nie wiem, co tu w istocie zadecydowało: czy to, że tak haniebnie zawiodły moje rachuby na pogwałcenie Koli Podlipalina, czy to, że nie zostało nawet cienia nadziei na wkroczenie do miasta dywizji SS „Reich”, czy też nagłe upojenie nowo nabytą moją polskością wyniosło mnie poza obręb toczących się wokół wydarzeń - dość że zwątpiłem w moc i sens, a może nawet istotę Wielkiej Konspiracji.

Odtąd wolałem własne, ściśle intymne podziemie. Jako Polak musiałem przecież zmienić swój pogląd na świat, choć szło mi z tym dosyć opornie, o czym jeszcze będzie tu mowa.

Uprzedzając rozwój wypadków, zaznaczę jednak na własne usprawiedliwienie, że siatka pana S., mimo iż odcięta od źródeł zaopatrzenia i dziesiątkowana okrutnie przez organa ścigania, przetrwała na swoich lipnych papierach aż do roku 1947, raz po raz gorączkowo zmieniając podpunkty i przerzucając z miejsca na miejsce czyhające w pogotowiu drukarnie. Zapomniano o jej istnieniu, i to doszczętnie, ponieważ główny jej inspirator - właściciel aksamitnego barytonu - rozstał się w międzyczasie ze światem w trakcie jednej ze swych regularnych trzydniów- wrek, czyli został, jak ogłoszono w parę lat później, zgładzony przez morderców w białych fartuchach. Kto zatem wyciągnął z podziemia pana S., kto uczynił z niego z powrotem historyka czasów nowożytnych, skazując zarazem na ponowne zapomnienie, pozostanie dla mnie na zawsze zagadką.

Ale wróćmy do ofensywy poststalingradzkiej. Bo ten Stalingrad to był prawdziwy przełom w toczącej się wojnie. Wszystko naraz stanęło na swoim miejscu. Nawet milicjanci na rogach ulic nie byli już zwykłymi milicjantami, tylko szarżą, której wciąż przybywało gwiazdek i pasków na

naramiennikach w miarę posuwania się od peryferii do centrum, tak że w pobliżu placu Czerwonego ruch uliczny regulowała sama generalicja. Nie pomnę milczeniem i tego, że na kartki, na talony mięsne, można było wystać wędzonego śledzia, zaś na ulicy Gorkiego sprzedawano lody, które po zagotowaniu smakowały jak autentyczna zupa mleczna. I wojsko dostało nowe mundury, z pagonami, i generałowie frontowi w swoich strojach galowych wyglądali jak rasowi generałowie ze starych sanktpetersburskich obrazków. Jednemu czy drugiemu zdarzało się nawet honorowo palnąć sobie w łeb, o czym szeptało w kolejkach po tego śledzia. I nie był to żaden szpan, po prostu tkwiło coś w naturze tej zwycięskiej armii, że myśl samobójcza nawiedzała dowódców nie w chwilach klęski, lecz w dniach triumfu.

No i znów zakrażyły po mieście upiorne nocne samochody - i te osobowe, i te z napisami: „Chleb” albo „Mięso” - i wydłużyły się ogonki przed gmachem na Małej Łubiance. A od Łubianki Dużej, od domu towarowego Dietskij Mir, czyli „Świat Dziecka”, promieniście w stronę plantów pierścienia A, czy nawet pierścienia B, w labiryncie uliczek, w bramach przechodnich i zwyczajnie w ulicznym tłoku zaroilo się od Podlipalinów najróżniejszej maści i płci. Powielali się gromadnie, reprodukowali taśmowo, mnożyli się przez pączkowanie - bohaterowie społecznego awansu.

W naszym domu zostało to przypieczętowane narodzinami najmłodszej z nich - drącej się nieludzko po nocach - Halinki. Teraz już Kola niemal wcale nie pokazywał się w domu, sercem i duszą oddając się umiłowanej pracy, połączonej ze studiami nad Krótkim kursem. Mógł to uczynić z tym spokojniejszym sumieniem, że sprowadził ze wsi matkę - robotną babuleńkę, która uwolniła obu lejtnantów - młodszego i starszą - od wszelkich kłopotów z bachorem, potwierdzając zarazem miażdżącą przewagę Podlipalinów na ich wysuniętej placówce. Przewaga była dwukrotna, niemal równa przewadze wojsk wszystkich Frontów Południowo-Zachodnich nad osamotnioną Grupą Armii „Don”.

I kąśliwe uwagi na ten temat coraz częściej padały z ust przedmiotu moich nocnych zalotów - starszej lejtnant, wycofanej czasowo na urlop

macierzyński i stąd operującej aktywnie na naszych głębokich tyłach. I co dziwniejsze, im większe czyniła mi awanse, tym groźniej brzmiały w jej ustach zarzuty dotyczące nierówności w podziale naszego Lebensraumu, wynoszącego okrągłe pięćdziesiąt dwa metry powierzchni użytkowej.

Ano nierówność była jak na dłoni i przed bezpośrednimi zakusami terytorialnymi broniła nas jedynie pozycja nieobecnego Heńka, frontowego żołnierza. Mówiąc ściślej, to właśnie nas bronił Heniek z tych swoich frontowych pozycji. Przynajmniej do czasu.

Właśnie: do czasu. Po którymś powrocie ze szkoły zastałem ciotkę we łzach, lecz tym razem powód łez był bardziej konkretny. Starsza lejtnant zaniechała manewrów oskrzydlających i runęła do czołowego uderzenia. A zaczęła od oświadczenia, że komuś takiemu jak Heniek nie należy się nawet jeden metr kwadratowy w naszym wspólnie zamieszkałym lokum. Sprawdzone go, jeszcze w roku ubiegłym zgłaszał się ochotniczo do armii Andersa.

Nie miałem zielonego pojęcia, co to za jeden - ten Anders. Nazwisko było obce, brzmiało jakby z niemiecka, ciotka coś tam bąkała, ale już jej nie słuchałem. Sprawa była oczywista, sugerowano nam dezercję i zdradę główną. Zniewaga była bolesna, poczucie zagrożenia jeszcze boleśniesz. Starsza lejtnant bawiła jak zwykle w łazience, ale to mnie nie powstrzymało. Drzwi ustąpiły pod pchnięciem, zasuwka odskoczyła i oprzytomniałem dopiero na widok wpiętej w wannie Tatiany.

Zresztą, co tam Tatiana! Zaszokował mnie głównie widok jej piersi, były takie jak w moich snach, dorodne i mleczone. I tylko one wyglądały na nieco spłoszone, twarz nie zdradzała żadnego poruszenia, spoglądała na mnie nawet z pewnym, powiedziałbym, zainteresowaniem.

- Kto to jest Anders?! - ryknąłem.

Wciąż tkwiłem w progu, a z tyłu miotała się spanikowana babcia Podlipalin, bezskutecznie usiłująca zajrzeć mi przez ramię, by się przekonać, czy synowa próbuje przynajmniej zasłonić srom przed moim rozjuszonym spojrzeniem. Nie próbowała. Co więcej, po tamtej stronie

wanny, nad lustrem lekko parującej wody z wolna dojrzywał jakiś szcególny, zachęcający uśmiezek.

- Generał polski - odrzekła, sięgając wreszcie po myjkę i wpychając ją sobie do krocza Tatiana Podlipalin, starsza lejtnant NKWD. - Zdrajca ojczyzny.

W ten sposób otrzymałem informację wprost ze źródła. Musiałem cofnąć się do pokoju, by spróbować rozważyć sobie to wszystko. Po raz pierwszy usłyszałem o istnieniu na terenach sowieckich wojska polskiego pod generałem Andersem. Ale mniejsza o Andersa, bo to było logiczne: Polak i zdrajca ojczyzny. Polacy zawsze, jak sięgnąć pamięcią, zdradzali swoją ojczyznę - Rosję. I tym razem nie okazali jej żadnej wdzięczności. I mój brat, obrońca naszego metrażu, przystąpił do ich spisku. Powinno mi to było dać do myślenia. Ale nie dało.

Najważniejsze było, że po raz pierwszy w życiu widziałem nagą kobietę. I to nie po kawałku, jak w jakimś głupim atlasie, lecz w całej, że tak powiem, rozciągłości. Na dodatek, nie jakąś tam smarkulę z warkoczem do kostek, lecz kobietę idealną, bo całkowicie wyzutą ze wstydu. Ale też odartą z największej swojej atrakcji - munduru, pozbawioną dystynkcji, zdegradowaną, rzecz można, do myjki i krocza.

Za wiele było tego wszystkiego, rozboleła mnie głowa. Jedno mogę powiedzieć z czystym sumieniem: od chwili odkrycia istnienia generała Andersa pozbyłem się całkowicie dręczących mnie snów erotycznych ze starszą lejtnant w roli głównej.

Nie zmieniało to w niczym powagi naszej sytuacji. A zwłaszcza sytuacji Heńka. No i czułem się osaczony. To nie był strach, tylko właśnie poczucie zagrożenia.

Tyle się teraz pisze o Wielkim Strachu, a to przecież nie było tak. Zwykliśmy żyć wśród ruchomych piasków, ale nie żyliśmy w strachu, wcale nie. Do tego stopnia przenikał wszystko dokoła, że prawie się go nie czuło. Współżyliśmy z nim latami, niemalże mając go za nic. Tylko od czasu do czasu łapało nas coś jakby szczękościsk, nic więcej.

I właśnie odczułem ten skurcz pod policzkami. Nie ulegało wątpliwości: znaleźliśmy się w kotle. I za główne zadanie, z którym się muszę uporać, uznałem wydobyć się z okrażenia. Prowadzenie domu otwartego było nakazem chwili.

Bo Moskwa z wolna zaludniała się na nowo, ściągała do niej z powrotem cała ta, do reszty zdziczała w uchodźczej odysei hałastra mych rówieśników. Roje zdeklasowanej, wytrąconej z normalności, skołowanej młodzieży, tłumy czekających na szkoły lub pobór wyrostków, z których połowa mieszkała nie wiedzieć gdzie i utrzymywała się Bóg wie z czego, przewalały się przez ulice. „Wojna wszystko skasuje” - to było ich hasło. Oczywiście mylili się. Mimo pozorów, chwytliwy ten slogan puszczono w obieg nie na użytek maluczkich. Imperium potrzebowało *carte blanche*. Wojna kasowała. Wszystko szło na jej rachunek: eksterminacja narodów, mordowanie jeńców, epidemie głodu i kopalnie śmierci. I tylko myśmy nie czuli odoru krwi, był z nami na co dzień.

Tak czy inaczej, otworzyłem podwoje naszego komunalnego domostwa dla całego tego szukającego się nawzajem bractwa. Kłębiło się teraz w moim pokoju, gdzie słuchaliśmy pożyczonych płyt z pożyczonego adapteru i albo przepychaliśmy się w tańcu, albo gadaliśmy godzinami o wszystkim i o niczym. Właściwie nie gadaliśmy, darliśmy się wniebogłosy. Darliśmy się tak, że teraz, po latach, muszę przyznać: nie była to uczciwa konkurencja dla małej Halinki.

Ale zarazem sięgnąłem szczytów w dziedzinie planowania strategicznego: zniwelowałem przewagę liczebną nieprzyjaciela. I może ten triumf trochę przewrócił mi we łbie.

Bo tymczasem starszej lejtnant Tatianie, wyegzorcyzmowanej z mojej podświadomości w wyniku naszej łazienkowej przygody, ani w głowie było zaprzestać prześladowania mnie na jawie. Kolejna seria zwycięstw rosyjskiego oręża zdawała się dodawać jej skrzydeł, raz po raz dopadała mnie w pomieszczeniach wspólnego użytku: a to w kuchni, bez bluzki, w rozlatującym się biustonoszu, domagając się, bym nie sprowadzał do uczciwego domu nieletnich płci odmiennej, a to w przedpokoju, bez

spódnicy, kiedy dopinając pończochy na kształtnych, sińcami i gęsią skórką znaczonych udach, żądała stanowczo, bym nie prowadził wyszynku w zamieszkanym przez nią lokalu.

Wreszcie, po odebraniu uroczystej defilady przepędzonych przez kolejne Sadowe parunastu tysięcy jeńców sta- lingradzkich - żalosnej resztki armii Paulusa - przyparła mnie do muru przy schowku na szczotki, pomiędzy ustępem a łazienką. Uzbrojona od góry w kitel oficerski, zaś u dołu w powabne barchanowe majteczki, zapowiedziała rwącym się z podniecenia głosem, że jeśli nadal w moim pokoju będą się odbywały nielegalne zgromadzenia, zarówno mnie, jak i resztę ich uczestników spotka to samo, co moich rodziców. Musiała diabelnie się nudzić na tym swoim urlopie macierzyńskim.

Nie przestraszyłem się, bo przez całe to zamieszanie wojenne całkiem wyleciało mi z głowy, że wyrok zapisany mam z góry, zakodowany niejako genetycznie, na mocy słynnego artykułu kodeksu karnego, zwanego w skrócie CSIR (członek rodziny zdrajcy ojczyzny), i egzystuję jedynie na zwolnieniu warunkowym, i to najwyżej do czasu osiągnięcia pełnoletności. Innymi słowy, że czas mi odlicza nie tyle tętno, co o wiele bardziej miarowy rytm nastawionego °a nieuchronny wybuch precyzyjnego urządzenia zegarowego.

Powtarzam: nie przestraszyłem się. Tyle że następnego dnia sam Kola, chłodny, oficjalny, zajeżdżający wódą i zapięty na ostatni guzik przed wyjściem do pracy, zagroził mi dokładnym zbadaniem stanu osobowego i danych personalnych mych gości. Na dodatek ciotka przypomniwała sobie, że z zawodu jest belfrem. I jako belfer uznała, że towarzystwo, w którym się ostatnio obracam, jest dla mnie nieodpowiednie.

To było jak odsłonięcie flanki, sygnał do haniebnego odwrotu, przysłowiowy nóż w plecy!

Opadły mi ręce. Nic już nie było w stanie niczego zmienić w naszej sytuacji mieszkaniowej. Tym bardziej że ruszyła właśnie ofensywa spod Kurska i Orła, podczas której padła za przykładem łazienki kuchnia, gdyż to właśnie do niej przeniesiono w błyskawicznym wypadzie niemowlę



Halinę, a następnie zainstalowano na stałe babcię Podlipalin.

Załamałem się. Dałem za wygraną. Uzmysłowiłem sobie, że przed mechanizmem zegarowym nie uratują mnie już ani nocne loty, ani czapka niewidka, ani nawet złudny wehikuł czasu. Zacząłem wracać do domu dopiero na noc, dzień w dzień włączając się po ulicach bez celu, bo odechciało mi się również chodzić do szkoły. Nic już nie pozostawało do zrobienia. No bo co jeszcze mogło wchodzić w rachubę? Strajk głodowy, czyli zabarykadowanie się w ustępie, centralnym, newralgicznym punkcie naszego mieszkania? Zabrakło mi odwagi. Z dwojga złego zdecydowałem się zgłosić ochotniczo do wojska; w końcu miałem już określonych szesnaście lat.

Nie przyszło mi nawet do głowy, że w ten sposób zapieram się mojej świeżo odzyskanej polskości, ależ skąd! Musiałem jednak schować ją do kieszeni, schodząc tym samym do nowego podziemia. Mnożąc tajemnice, mnożyłem byty.

W rejonowej komendzie uzupełnień, coraz bardziej speszony pod znudzonym i dość zniechęcającym wzrokiem urzędującego przy biurku oficera w narzuconym na ramiona szynelu, gorączkowo próbowałem wymyślić, a następnie bełkotliwie wyjawić motywy, które mnie przed to biurko przywiodły. Właściwie zaraz po pierwszych moich słowach przestał na mnie patrzeć, odwrócił się na krześle, pochylił

- i zobaczyłem ze zgrozą, jak zakasawszy spodzień odpina z prawej nogi protezę, po czym zakładając kikut na drugą nogę, zaczyna z lubością się weń drapać.

I nagle uprzytomniłem sobie, że znam tego oficera, to znaczy znałem sprzed wojny: co wieczór przyjeżdżał na motorze po jedną z dziewcząt z naszego bloku. I przypomniałem sobie nawet jego nazwisko: Michalewski albo Michalewicz. To był on! Z całą pewnością. Zazdrościliśmy mu wszyscy tego motoru. I nie wiedzieć czemu uświadomiłem sobie, że gdy wychodziłem dziś rano z domu, tak byłem roztrzęsiony, że nawet nie sięgnąłem po list bielejący w skrzynce pocztowej.

- Wiesz co? - powiedział cicho ten Michalewicz czy też Michalewski, nadal drapiąc się w ten swój kikut nieco poniżej zgięcia w kolanie. - Idi ty k jebionoj matieri! („Też Polak!”

- pomyślałem z żalem. Nie wiedziałem jeszcze, że gdyby był Polakiem, pewnie nie strzeliłby tak ordynarnie i po chamsku, pewnie złagodziłby to z polska: W kibini mater!).

Odrzuciło mnie. Dziś oczywiście wdzięczny jestem temu Michalewiczowi, ale wtedy mnie odrzuciło. No bo w rzeczy samej nie miałem gdzie iść, chyba że pod wskazany adres. Próba ucieczki zawiodła.

Znów wałęsałem się po mieście do późnego wieczora. I nie to nawet, żebym unikał spotkania z lekko zaprawionym przed nocną zmianą Kola czy czatującą drapieźnie w przedpokoju Tatianą. Po prostu nie pozostawało mi nic innego, jak polubić tę wszczepioną gdzieś w trzewia bombę zegarową, polubić Podlipalinów, a to było naprawdę trudne.

Toteż położyłem sobie trochę, trochę się poprzyglądałem dziewczynom, a trochę harcom chłopaków z Arbatu, zabawiających się wyrywaniem torebek kobietom na stopniach przepelnionych tramwajów. Ale wszystko to bez specjalnego zainteresowania. Opuściła mnie ciekawość życia. A że żadnego z wybranych na chybił trafił znajomych nie zastałem w domu, powlokłem się do własnego.

Mój Boże, ta nasza klatka schodowa! Wymarzona dla samobójców. Budowano ją z rozmachem, najwyraźniej planując wmontowanie windy między jej przęsła. Ale dźwigu, rzecz jasna, nigdy nie zainstalowano. Za to miała tę zaletę, że tak trudno było ukryć czyjąkolwiek na niej obecność. I gdy teraz cień jakiś mignął mi w prześwicie, mignął i zgubił się w przestronnych podcieniach, zatrzymałem się w progu, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności. Bez skutku; dopiero gdy zacząłem ostrożnie wspinać się w górę, usłyszałem coś jakby chlupot i szelest, i przyspieszone oddechy. Tak wyraziste, że nie mogło być wątpliwości: to nie żadeni przyczajeni w mroku tajniacy, tylko jakaś para, najspokojniej w świecie rżnąca się pod kaloryferem na pierwszym piętrze. Spróbowałem głośniej zaszurać butami, ale gdzie tam! Ani w głowie im było nasłuchiwać

czyichkolwiek kroków.

Przyznam się, że trochę zwolniłem. Pewnie, że widziałem już spółkujące pary. Córka sprzątaczkii z sąsiedniej klatki schodowej, Sońka-fryzjerka, zawód swój traktowała wyłącznie jako sposób na zdobywanie klientów. Prowadziła ich później do położonego tuż za podwórzowym boiskiem śmietnika i wtedy zazwyczaj przerywaliśmy grę, i tłocząc się przy drewnianym parkanie śledziliśmy w napięciu wszystkie stadia kolejnego aktu rozkoszy. Tutaj jednak, w połyskującym księżycową poświatą królestwie ruchomych cieni i wzmocnionego pogłosu, gdzie krokom moim towarzyszyły przyspieszone oddechy kochającej się pary, wyglądało to na niemal intymne z nią obcowanie.

Kaszlnąłem więc, raz i drugi, i znów zaszurałem, ale nadal mnie nie słyszeli, choć już ich dostrzegłem, kotłujących się w ciemnościach pod samym oknem. Przyspieszyłem, starając się minąć ich jak najszybciej, kiedy mężczyzna, zwietrzywszy wreszcie moją obecność, odwrócił naraz głowę. Wciąż nie zwalniając kroku, ale już w obronnym odruchu, odwzajemniłem mu się spojrzeniem.

I zaraz go poznałem, choć tym razem był w cywilu: jowialny, przysadzisty, wścibski szef Koli. Ale dopiero na widok wyzierającej zza jego pleców, przejętej niekłamanym przerażeniem twarzy starszej lejtnant zdumiałem się do tego stopnia, że najpierw potknąłem się, a potem skinąłem i powiedziałem: „Dobry wieczór!”. A później ruszyłem w górę.

Żwawo ruszyłem. Ruszyłem jak na skrzydłach. Już pokonując ostatnie stopnie wiedziałem, że nie sposób przecenić wagi mojego nocnego odkrycia. Nieuchronnie zbliżająca się katastrofa znów wydała mi się odległa, główne siły nieprzyjaciela wyeliminowane z walki. Do pełnej osiemnastki miałem jeszcze trochę czasu, a bezpośrednia konfrontacja została zażegnana. O to, -byśmy się z Kolą w ogóle nie stykali, zadba teraz już sama starsza lejtnant!

Odurzony nagłym sukcesem jeszcze mocowałem się z drzwiami, a już pogwizdując podjąłem któryś z tych popularnych jazzowych motywów, którego taktom towarzyszyły dość chaotyczne refleksje dotyczące wpływu

przypadku na bieg wydarzeń losowych. Już wtedy miałem zgubną skłonność do powierzchownych uogólnień.

Dlatego też nie zwróciłem nawet uwagi na zmartwiałe rysy warującej przy wejściu babci Podlipalin, aż usłyszałem te drobne szybkie kroki i zachrypnięty nie do poznania głos ciotki. Bo ciotka wybiegła ze swego pokoju i powtarzając jak zakłęcie moje imię złapała mnie za ramię. I dopiero po chwili wydusiła z siebie to drugie. I wtedy właśnie spostrzegłem, jak nagle skurczyła się, jak zmaląła ta moja ciotka - przed której spojrzeniem zawsze truchlałem, której wymówek zawsze się bałem jak ognia - teraz tak kurczowo chwytająca się mego ramienia. I te powtarzane na przemian dwa imiona - moje i Heńka — powiedziały mi naraz to wszystko, co zawierał list, po który nie chciało mi się sięgnąć rano do skrzynki.

Oni wszyscy ginęli tak samo, w ten sam beznadziejny sposób, ci wszyscy osiemnastolatkowie zaciągu ostatniej wojny. I mogli się uważać za wybrańców losu, jeśli dobijali dziewiętnastki, za urodzonych w czepku, jeśli ją przekroczyli. Należeli do długowiecznych, jak Heniek, choć już go nie było, nie istniał, został pod tym Kurskiem czy Orłem, gdzie starły się ze sobą dwa miliony ołowianych żołnierzyków, nie licząc artylerii czy też broni pancerniej. I tam pozostał, między tymi milionami szczęściarzy, wraz ze wszystkimi swoimi sztywnymi ruchami, niepewnym uśmiechem w oczach pod zasepionymi brwiami i podejrzanym zamiarem dostania się do Andersa. Bo też ostatnia rzecz, do jakiej się w ogóle w życiu nadawał, to była ta właśnie saperska zabawa.

Naprawdę miał szczęście, mógł przecież umrzeć na Ko- łymie czy w Matthausen, albo też w jakiś inny równie bydlęcy sposób: nie będę się tu nad tym rozwodził, bo przecież był to czas powietrza, głodu i ognia, czas śmierci stadnej. I to my byliśmy tym stadem, to w naszych oczach sam Pan Bóg, skądinąd zwyczajny całej ohydy świata, uchodzić mógł najwyżej za kwatermistrza śmierci.

Tyle przynajmniej sprawił, że ci wszyscy chłopcy - dziś już nawet nie jest istotne, kim byli i po jakiej znaleźli się stronie — nie całkiem umarli.

Tułali się tu jeszcze przez jakiś czas, chociażby w pamięci swych bliskich. Po latach — i z roku na rok coraz młodszy — powracali w niespodziewanych snach. Właściwie dopiero teraz zaczynają po trochu umierać. Razem z nami. Ale to nie załatwia sprawy.

No tak, ale wtedy nie miałem o tym wszystkim żadnego pojęcia. Siedziałem przy ciotce przez całą noc, a potem następny dzień i jeszcze jedną noc, i jedyną osobą, która towarzyszyła mi w tym czuwaniu, była babcia Podlipalin, za co też, mam nadzieję, wstawi się za nią - gdy stanie przed Sądem w gronie innych osób tegoż nazwiska - Matka Boska Władimirowska. Dodam, że płakała wraz z nami, ponieważ młodszy jej syn, Wasia, też się gdzieś tam zabłąkał na przedniej linii frontu.

I tak, pochłonięci własnymi, tak bardzo osobistymi sprawami, nawet nie zauważyliśmy rzeczy naprawdę najistotniejszej: natychmiast po zakończeniu operacji na Łuku Kurskim młodszy lejtnant Kola Podlipalin dostał z rąk swego szefa medal „Za odwagę” i drugą gwiazdkę - lejtnanta NKWD.

Pozostawało mu już tylko wygrać tę wojnę.

### Rozdział trzeci

O tym jak Kola Podlipalin odniósł druzgocące zwycięstwo w drugiej wojnie światowej, a ja zostałem podwójnym agentem

Na litość boską, i po co ja spisuję to wszystko! Kogo dziś jeszcze obchodzą te znieruchomiałe cienie na poszczerbionym u góry kremlowską kof&nką murze straceń? Na co komu ten bulgot spóźnionych szumów informacyjnych z pogłosem buczków radiowych w stereofonicznym tle? Parada upiorów z cmentarzy umarłej cywilizacji? Na dodatek z całkiem obcego świata?

Chyba że nie tak obcego, nie tak całkiem umarłej.

Chyba że te butwiejące szczątki Imperium - jednej z kolejnych pokus, jakich zaznała ludzkość jako zbiorowość - te pełne trupiego jadu, rozkładające się zwłoki, to nie koniec, dopiero początek historii. Bo czyż

nie jesteśmy wszyscy z nich rodem, z tego szamba dziejów? Wszyscy: robole i głu- pole, komuchy i pięknoduchy, decydenci i dysydenci!

Bo wbrew mniemaniom utopie nie rodzą się z ludzkiej pychy ani też buntu rozumu, rodzą się z nocnych koszmarów w świecie ciemności, wyzutym z sacrum. W świecie grozy, zniecka pozabawionym Ojcostwa. I może właśnie temu, że ocknęliśmy się pewnego dnia w nieskończonym, pulsującym jedynie recesją i koniunkturą wszechświecie niczym, osieroceni i wolni jak dzieci, zawdzięczamy swój marsz niewidomych, swoją cywilizację niedorostków. I świat bez Boga jest polem bękarcich harców, domeną choroby sieroczej, zdany na łaskę doczesnych uzdrowicieli.

Ale, jak już wspomniałem, wtedy, w tamtych moich moskiewskich czasach, nie zastanawiałem się nad tym. Nie sposób w wieku tych nastu lat zgłębiać tajemnice społecznego infantylizmu, można przed nimi tylko uciekać. Ja to powiadam, sowiet, syn sowieta!

No, może trochę się zastanawiałem, jako że na moje bycie sowietem składała się jednocześnie nienawiść do państwa modelowego i zniewolenie przez jego ideologię. Rodzaj dwójistnienia. Ale głównie uciekałem. Tyle że od kiedy zawiodła mnie niewidzialność, miałem pod ręką już tylko swoją dość wątpliwą polskość i ten staroświecki wehikuł czasu, z którego i teraz korzystam, żeby zjechać ruchomymi schodami do stacji metra Plac Rewolucji.

Bo muszę tu wyjaśnić, że odnalazł się wreszcie mój samo- zwańczy wuj, ongiś Wielki Szef; wydostał się z wnyków i sideł, zastawionych przemyślnie przez Kołę Podlipalina. Skądś tam, hen, z matecznika kadrowych piątek i utajnionych kabli, z delikatnej pajęczyny anonimowych podpunktów rozległ się umówiony sygnał.

„SOS” - jak należałoby sądzić z bezradnej krzątaniny ciotki, desperackiego podniecenia, które zastąpiło dotychczasową depresję. Wprawdzie związana przysięgą milczenia, czymś w rodzaju sycylijskiej omerty, nie zdradziła się przede mną nawet słówkiem i o tym, w jak

żałosnym stanie odnalazł się nasz pan S., przekonałem się wtedy dopiero, gdy złożona została przez ciężką gripę.

I oczywiście to ja musiałem wyruszyć w zastępstwie na umówione zawczasu spotkanie. I oczywiście do metra, tej tajemnej fortecy ruchu oporu, bo i gdzież, jak nie w podziemnym królestwie utopii, wśród niekończących się pasaży, mozaikowych posadzek i marmurowych kolumn, niezliczonych ruchomych schodów i znieruchomiałych robotniczo-chłopskich posągów upatrzył sobie kryjówkę niez mordowany dyrygent Czerwonej Orkiestry!

Bo metro przestało już służyć nadrzędnym celom strategicznym niezdobytej twierdzy, zlikwidowano nawet kwaterę Naczelnego Dowództwa na stacji Biełorusskaja. Spełniło też swoje zadanie jako schron przeciwlotniczy dla metropolii i jej populacji. I owszem, przybyło szczurów w tunelach, lecz z niezbadanych czeluści znów wyłaniały się zalane światłem pociągi. Metro wracało do cywila, znowu stawało się środkiem komunikacji, a zarazem ośrodkiem życia towarzyskiego, jak zwykle kwitnącego w największym ścisku, zadomowionego w kłębiących się wirach spienionych potoków ludzkich.

A więc kluczyłem krętymi łączami tej stacji, przywodzącymi na myśl labirynt, z wyjściami na tę czy inną ulicę, raz po raz zerkając niespokojnie po bokach, choć wiedziałem, że pan S. czeka na peronie po lewej, przed trzecią z kolei majestatyczną skamieniałą postacią ni to górnika, ni to metalowca, wznoszącego triumfalnie do góry swoje - odebrane wyzyskiwaczom - narzędzia produkcji.

Czekał. A mimo to znowu go nie poznałem. I nie dlatego, że był ubrany jakoś dziwnie, wcale nie. Bo nawet wykwintnie był ubrany: w szykowny płaszcz z futrzanym kołnierzem. Po prostu się zmienił; zmalął jakby i skurczył się. I był jakiś nowy rys w poszarzałej twarzy za rogowymi okularami.

Na mój widok się spłoszył, a nawet zaczął przepychać się do nadjeżdżającego właśnie pociągu, ale zatrzymał go strumień wysiadających. A gdy się już precisnąłem do niego, nie miał innego

wyjścia, jak tylko uśmiechnąć się do mnie z pewnym zażenowaniem. Brakowało mu z przodu kilku zębów.

Wspomniałem już, że mój podziw dla działalności podziemnej pana S. uległ z czasem pewnej erozji - i to nawet nie tyle z powodu przedłużającej się absencji dywizji SS „Reich”, co ze względu na nieustannie ścigający go pech. A jednak poczuwałem się do swego rodzaju lojalności i gdy po zawiadomieniu go o chorobie ciotki wsunąłem mu już do ręki małą paczuszkę (szybko schował ją do kieszeni, rozglądając się czujnie, choć głowę bym dał, że nie zawierała nic poza pajdą chleba i parą skarpet), jeszcze przez dłuższą chwilę milczałem wymownie, drepcząc obok niego, a właściwie - jak to w tłoku - przestępując z nogi na nogę na tym peronie.

Próbowałem dać mu do zrozumienia, że mimo wszystko jestem do dyspozycji, ale zapytał mnie tylko, jak mi idzie nauka. Właśnie wyrzucili mnie z technikum za brak postępów, toteż nie wdając się w szczegóły wyjaśniłem, że mam teraz sporo wolnego czasu.

Ale i to wyznanie nie spotkało się ze zrozumieniem, zwłaszcza że skądś, z jakiegoś zakątka stacji wychyłała i jeła przepychać się w naszą stronę nad wyraz wymiętoszona starucha w kapeluszu z olbrzymim rondem i szkolną teczką w rękę. Minęła nas tak blisko, że poczułem czad naftaliny i dostrzegłem siwe kłaczki na brodzie. Trzęsa się jej ta broda, chyba coś mamrotała do siebie. Pan S. ponownie się obejrzał i pożegnał mnie pospiesznie. Patrzyłem przez moment za nim, sunął za staruchą w stronę położonego przy wylocie tunelu szaletu.

Nadjechał kolejny pociąg i tłum przesłonił mi tę parę. Zrozumiałem, że była to jego łączniczka. Pierwsze skrzypce. Czerwona Orkiestra naprawdę goniła resztkami.

W drodze powrotnej do schodów ruchomych i później, jadąc w górę, rozważałem, jak się musieli natrudzić starzy i doświadczeni w podziemnych zabiegach konspiratorzy, nim wykombinowali sobie to metro.

Miasto w górze było niechlujne, nieświadome logiki dziejów,



pozbawione jakiegokolwiek przejrzystości układu, pogrążone w chaosie komunikacyjnym i ideowym, beznadziejnie asymetryczne. Jedyne, co mogli dlań uczynić, to wysadzić parę cerkwi czy innych pomników, wyburzyć kilka kamienic, pozmienić nazwy ulic, przebić jedną czy drugą arterię przelotową. Tutaj natomiast, pod ziemią, używali sobie do woli, drażąc, a potem wznosząc na przekór prawom fizyki te rozblyszczone katakumby - zapowiedź późniejszych imperialnych piramid! - o ścianach z białego, delikatnie żyłkowanego marmuru i zasiedlając je zziąjaną tłuszczą o jednowymiarowych sylwetkach i twarzach nie do wyodrębnienia w martwym, jaskrawym świetle. Tu mogli przeciwstawić miastu swój podziemny świat ścisłych proporcji i doskonałej równowagi: peron po lewej, peron po prawej, tu jeden kierunek, tam drugi, tu swoi, (5m obcy. Zło i dobro zostały rozpoznane, idea symetrii wszczepiona w grunt i wcielona w życie, dotąd tak lekkomyślnie jej pozbawione.

Chyba właśnie wtedy, na tych ruchomych schodach, uprzytomniłem sobie sens i zasięg Wielkiej Konspiracji, jej tak przemyślanej i tak głęboko zarzuconej sieci.

Bo też oni nigdy nie wyszli z podziemia - zapobiegliwi dziewiętnastowieczni marzyciele, wyzwoliciele ludzkości o rozognionych oczach i chwytnych grabkach, nieprze- kupni ojcowie chrzestni przyszłych gangów, mafii, układów. Nadal, chowając się w cieniu swych pseudonimów, toczyli dyskusje o terrorze (indywidualnym i zespołowym) czy też roli jednostki w historii, dokonywali e k s ó w i sprawowali kapturowe sądy. Tyle tylko, że na większą skalę i że - wbrew wskazaniom zmarłego Nauczyciela i Wodza - liczyli kroki już nie do przodu i tyłu, lecz jak należy: „krok w lewo, krok w prawo, konwój strzela bez uprzedzenia”. A cała reszta: od krążących po mieście jako transport dostawczy nocnych samochodów aż po sklepy specjalne i utajnione, wszystko to były jedynie wierzchołki góry lodowej — wiecznej zmarzliny, z której nikt już nie zdoła wydobyć kruchych, łamliwych szczątków ofiar karnawałowej konspiracyjnej przygody.

Tak było. I skoro mogli mieć swoją konspirację, mogłem i ja mieć swoją.

Ano, miałem na schodach moment olśnienia. Chwilę, w której cała ta gigantyczna łamigłówka ułożyła mi się w jakąś całość.

Ale była to tylko chwila. W następnej znów mijalem w przelocie obojętne, zjeżdżające w dół twarze, znaczone tym samym wspólnym rysem znużenia, odczłowieczone. A jeszcze wyżej, u szczytu schodów, i jeszcze dalej, przed samym budynkiem z literą M, kłębił się tłum inwalidów. Inwalidzi bili lejtnanta.

Bo trzeba tu wspomnieć, że wojna zbliżała się do końca. I im bliżej była tego końca, tym bardziej dawała się odczuć w życiu publicznym obecność nowej kategorii społecznej: inwalidów wojennych. Pewnie, że obejmowała zarówno kontuzjowanych, jak i poparzonych lub okaleczonych w taki czy inny sposób, ale główne jej jądro, trzon zasadniczy, stanowili tacy, którzy stracili obydwie nogi. Poruszali się teraz po mieście na deskach z zamocowanymi u dołu kółeczkami, odpychając się od asfaltu uzbrojonymi w drewniane lub metalowe uchwyty rękami. Po dziś dzień obraz ich przepołowionych ciał kojarzy mi się z ostatnim rokiem wojny.

Zalegali place, targowiska i dworce podmiejskie, buchało od nich agresją, potem i spirytusem, choć dopiero widok munduru oficerskiego lub milicyjnego przyprawiał ich o białą gorączkę. Poruszali się gromadnie, nacierali ławą, w milczeniu. Technika ataku polegała na zajechaniu drogi, podcięciu nóg i śmiertelnej młócce. Na dobrą sprawę jednookim czy jednorękim również nic nie brakowało, zawsze potrafili kulą lub odpinaną protezą dołożyć pierwszej lepszej szarży w służbie czynnej, która się pod protezę nawinęła. Ale tamci na rolkach to była gwardia, doborowe oddziały, prawdziwi dekabryści tej wojny, którym powrót z Europy (z Wołynia, z Podola, z Mazur?) umożliwił jedynie niecelny ogień baonów zaporowych, no i kapryśny werdykt medycyny polowej. Nic dziwnego, że wracali naładowani ideami powszechnej wolności. Nie mieścili się w kategoriach radzieckiego człowieka. Był to inny gatunek ludzki. Co gorsza, ich głosy, pełne przekleństw i rysztokowych wyzwisk pod adresem ojczyzny, sztandaru i Generalissimusa, nie były głosami wołających na puszczy, rozlegały się w miejscach nader publicznych i ludnych. Budziły grozę.

Tyle o inwalidach, a to głównie ze względu na Wasię. Bo Wasia był młodszym Podlipalinem, bratem Koli, i właśnie powrócił z Europy na swojej deskorolce kolejnym eszelonem zdesperowanych następców Pestla i Rylejewa. Po prostu wtoczył się zgrabnie pewnego dnia do mieszkania i zamieszkał skromnie w kuchni pod opiekuńczymi skrzydłami babci Podlipalin, całym swoim zachowaniem dając do zrozumienia, że przy tak zmniejszonych wymiarach nie będzie kłopotliwym lokatorem. Prawdę mówiąc, był dla nas o wiele mniej kłopotliwy niż dla Koli, a zwłaszcza Tatiany, gdyż wyglądało na to, że starszą lejtnant już sam widok tego ludzkiego kadłubka przyprawia o mdłości. Myślę teraz, że jego istnienie było dla niej czymś w rodzaju wstydlivej choroby, godziło w jej status społeczny i pozycję towarzyską. A warto dodać, że mimo niezwykłego wprost podobieństwa fizycznego różnił braci nie tylko wybór karier życiowych: charaktery też mieli różne.

Wasia - oczko w głowie babci Podlipalin - od rana całkowicie pochłonięty własnymi inwalidzkimi sprawami, musiał wcześniej zaczynać dzień, bo wracał zazwyczaj o zmierzchu na dobrze już zwietrzałym kacu, boczkim, stopień po stopniu pokonując klatkę schodową. Z reguły mijali się w progu z wyruszającym dziarsko do swych rutynowych zajęć, sztywno, jak zwykle po pierwszym kieliszku, stawiającym kroki obunożnym Kola. Toteż nie mieli sobie nic do powiedzenia. Mijali się w milczeniu.

Kac Wasi był zresztą niegroźny, trącił jakimś metafizycznym smutkiem, melancholijnym żalem, akurat takim, by wsunąć się do kuchni i porozmawiać z bratanicą, a ściślej zanucić jej jakąś piosenkę z przydworcowego repertuaru. Bo mała Halinka była jedyną osobą, z którą Wasia naprawdę potrafił się porozumieć. A w piosenkach była mowa o rozłakach, zawiedzionych nadziejach czy nawet niespełnionej miłości - dajmy na to półtoratonowego MAZ-a do eleganckiej limuzyny ZIŁ - i objawiała się w nich cała jego romantyczna natura.

I to właśnie zbliżało mnie z Wasią, ta jego romantyczność. Mimo że moja była całkiem innej proveniencji.

Nic dziwnego, skoro się zważy, że odkąd wyrzucono mnie z technikum, zmogłem nie tylko drugą część Potopu, ale też resztę otrzymanej w niechcianej schedzie biblioteki. Jeszcze nie byłem w pełni świadom rozległych skutków przejęcia tak nagłego spadku, a już nasiąkałem stereotypami polskości, już się rodził we mnie imperatyw straceńczych decyzji i czułem lekkość zawrotnego pędu donikąd, a nawet łopot skrzydeł u ramion. Fermentowała już we mnie słodka trucizna szaleńczej niepowagi, permanentnego stanu nieważkości. A przede wszystkim nie opuszczała mnie pewność, że kto jak kto, ale ja tę wojnę przegrałem z kretesem.

I dlatego chyba tak swojsko się czułem wśród inwalidów, że pod tym względem (mam na myśli tę pewność) każdy z nich był po trosze Polakiem.

Skądinąd w chwilach słabości nader ochoczo przyznawali się do każdej innej narodowości poza własną.

Nie ma na to sposobu: Rosja już pewnie na zawsze pozostanie obsesją Polaków, tak jak Polska obsesją Rosjan. Dziś mam to przerobione, lecz wtedy zaczynałem już żywić poważne wątpliwości co do istnienia Rosjan jako takich. Nawet matka mojej sympatii była z domu Barszczewska, nawet babcia Podlipalin, że nie wspomnę już o panu S., powoływała się półgębkiem na jakieś tam koligacje, mimo że żadne z nich nie opanowało, jak ja, zawilosci alfabetu łacińskiego w odwecie za ruszczonych w Kazachstanach Sarmatów.

Wyglądało na to, że jeśli coś jeszcze trzyma w kupie tę piekielną ruską mieszanekę narodowościową, to tylko potężny ładunek ksenofobii; jeśli jeszcze istnieją jako naród, to tylko w opozycji do tych wszystkich składników, które na tę szczególną kompozycję się złożyły.

Lecz wracając do inwalidów, czułem się wśród nich na tyle swojsko, że musieli mnie uznać za świra i to tak nieuleczalnie kopniętego w mózdek, że zaczęli traktować jako swojego. W końcu szurniętych i nawiedzonych od wieków darzyło się na Rusi szczególnymi względami, a Wasia musiał zdradzić kompanom, że pisuję wiersze.

Ano istotnie zacząłem wtedy pisać wiersze. Może po prostu, nie wystarczało mi już bierne obcowanie z machiną czasu, a mając wciąż w pamięci niezrealizowany pomysł wyprawy rowerowej, znów zapragnąłem dosiąść własnego pojazdu. W każdym razie strzępy lektur w na poły utajnionym języku oraz folklor reprezentowany przez rozbitków wielkiej armii, przewalających się przez miasto na swych amatorskich deskorolkach - to były dwa główne źródła inspiracji mojej ówczesnej twórczości.

Trzecim była wspomniana już parokrotnie dziewczyna, oczywiście ta sama, z warkoczem do pięt.

Bo zaczęliśmy właśnie chodzić ze sobą, ta dziewczyna i ja. To chodzenie było o tyle osobliwe, że chadzaliśmy we trójkę.

Nieco starszy od nas Ten Trzeci - nieodłączny rywal, serdeczny przyjaciel, intymny powiernik, w którego oczach, co zrozumiałe, to ja uchodziłem za Trzeciego - miał nade mną tę jeszcze przewagę, że wrócił spod Stalingradu. Był sąsiadem z naprzeciwka, kumplem z podwórka, z którym spędziłem niejedną bezsenną noc na dachu w pierwszym roku wojennych alarmów. Pewnego dnia zniknął, by po dwóch latach objawić się w moich drzwiach w szynelu, o kuli i z workiem na plecach. Właśnie w moich drzwiach, gdyż bał się wracać do domu bez jednej nogi. W parę dni później ukradłem dla niego w szkole wystawione in blanco świadectwo maturalne, wpisałem jego nazwisko i podrobiłem podpisy nauczycielskie.

I odtąd chodziliśmy we trójkę. Opromieniony nimbem frontowego męstwa, aurą obronną inwalidztwa wojennego, już samą swoją obecnością sprawiał, że z dala omijała nasz trójkąt śródmiejska żulia.

Prawdę mówiąc, nie miałem zbyt wiele szans w tym współzawodnictwie. Bo to nie był klasyczny trójkąt, raczej trojka, stary rosyjski zaprzęg trójkonny, w którym robiłem za przyprzęgowego. Żeby było śmieszniej, czułość, jaką obaj otaczaliśmy przedmiot naszych zalotów, w przewrotny jakiś sposób rozciągała się i na nasz, teraz już przymusowy związek. Niewyjaśnioną zagadką pozostawało jedynie to, w jakiej proporcji dzieli między nas swoje uczucia nasza sympatia. Bo też ta

dziewczyna sama w sobie była jedną wielką zagadką.

I tę właśnie zagadkę usiłowałem rozwiązać w swoich wierszykach. I gdybym był na niej poprzestał, już miałbym zapewnione całkiem przyzwoite audytorium poetyckie. Ale gdzie tam, poniosło mnie, sięgnąłem po następne. Mam na myśli: zagadki. I to całkowicie odmienne.

Za wiele ich było dokoła. Tak wiele, że zaroilo się wówczas w Moskwie od domorosłych poetów. I wiersze ich, pełne buntu, goryczy i żalu, powielano, naśladowano i recytowano przy byle okazjach, zawsze jednak w gronie osób nadzwyczaj zaufanych, popisując się przed nimi odwagą myślenia, czyli wypowiedaniem niezbyt odkrywczych, acz dawno już nie słyszanych sądów.

Bo też sądy te dotyczyły całości. To nie późny Gorbaczow, nie wczesny Jelcyn wymyślili głośność czy pierestrojkę. To myśmy je wymyślili - odtrącone szczeniaki wojny, niedoszte ofiary kończącej się rzezi - przekonani, że można tu jeszcze coś zmienić w tej pomyłonej budowlu, rozebrać wieżyczki strażnicze i podźwignąć na popieliskach, na tych masowych grobach wesołą potiomkinowską wieś.

Tak czy inaczej, było oczywiste, że to właśnie paroletnia zaprawa konspiracyjna podsunęła mi kolejny sekretny kod: tajemnicę słowa wiązaneego. Jako sposób porozumiewania się ze światem. Klucz do nowej przygody spiskowej.

Stapałem po coraz bardziej grząskim gruncie: jakby nie dość mi było własnej bomby zegarowej, wszedłem na kolejne pole minowe. Pisanie wierszy w Rosji, niezależnie od ich wartości, było od wieków zajęciem śmiertelnie niebezpiecznym, zalatywało niesubordynacją, przysiężeniem tajnym, grupą terrorystyczną, artykułem pięćdziesiątym ósmym.

Jak z tego wynika, pozostałem wierny idei konspiracji, nie zdradziłem jej szczytnych zasad, po prostu przeszedłem do innej służby. A właściwie - do kilku służb, gdyż nie tylko już własny kod genetyczny czy odzyskaną polskość miałem do ukrywania.

To dwójistnienie! Nie, nie domyślałem się jeszcze instytucji podwójnych

agentów, a już na pewno nie kojarzyłem jej ze sobą. A tym bardziej nie zdawałem sobie sprawy z tego, że taki agent, pracując na różne strony, zawsze pracuje przeciwko sobie.

Na dobrą sprawę już sama zmiana w zachowaniu Koli Podlipalina powinna była stanowić dla mnie przestrożę. Jakaż życzliwością wypełniły się jego błękitne ślipka, jakaż zapalał do mnie nadzwyczajną sympatią, od kiedy rozpocząłem poetycką działalność! Nie doceniłem Koli.

Nie doceniłem Koli. A przecież od kiedy awansował i dostał swój medal, wygrywał wojnę w galopującym tempie. Po kilku strategicznych operacjach zaczepnych wyzwolił Ukrainę i Krym i przy akompaniamencie conocnych niemal salutów z dwustu dwudziestu dział zabierał się do reszty terenów okupowanych - zarówno własnych, jak cudzych. Osaczył zgrupowanie niemieckie w Prusach Wschodnich i szykował się do dobijania faszystowskiego zwierza w jego barłogu.

Co gorsza, w przededniu tego decydującego natarcia dyslokacja sił w mieszkaniu nie wyglądała zachęcająco. Mówiąc prawdę, wyglądała wręcz rozpaczliwie: po lewej od przedpokoju - kuchnia kontrolowana w całości przez babcię i Wasię Podlipalinów, po prawej mój (teraz już tylko mój!) całkowicie odsłonięty dwunastometrowy pokój, zwany dziecinnym. A przez środek mieszkania sięgał klinem aż do łazienki rozrastający się ponad wszelki wyobrażalny metraż wspólny teren Tatiany i Koli, chroniony na przedpolu wózkiem Halinki. Dopiero hen, za tym wózkiem trwała niewzruszenie warownia ciotki ze ściągniętym ostatnio dla wzmocnienia załogi szefem antyfaszystowskiego podziemia.

Bo pan S. zamieszkał u nas, nielegalnie, rzecz jasna, i tymczasowo, ale też za milczącym przyzwoleniem władz administracyjnych. I każdą swą wolną od praktyk tajemnych chwilę zużywał na zmuszanie mnie do zrobienia matury. Stanowczy mój opór usprawiedliwiał jedynie fakt, że po zmianach w użębieniu pana S. Kola coraz serdeczniej witał się z nim w przedpokoju, choć z nieco dwuznacznym, trzeba powiedzieć uśmiechem. Innymi słowy, musiał pomiędzy nimi ustalić się jakiś nowy układ.

Był jeszcze jeden powód, dla którego nie doceniłem Koli. Po dziś dzień

nie wiem, kiedy i jak wpadł Wasia na ślad mrocznej erotycznej tajemnicy szwagierki. Czy zdradziła ją chwila nieuwagi na klatce schodowej, czy też dopadł ją Wasia na podwórku za śmietnikiem, dość że od pewnego czasu usiłując uciec przed jego miotanym spode łba wzrokiem, a przede wszystkim zejść z oczu wszytkowiedzącej teściowej, starsza lejtnant w ogóle zniknęła z pola widzenia. Tak jakby to u mnie przed laty pobierała lekcje niewidzialności.

I to był ten powód. Mówiąc zwyczajnie: zapowiadał się rozłam w szeregach nieprzyjaciela, napięcie między jego lewym a prawym skrzydłem przeradzało się w otwarty konflikt.

Do bezpośredniej konfrontacji doszło w dniu urodzin małej Halinki, podczas uroczystego przyjęcia wydanego z okazji rodzinnego święta.

Było to jedno z tych licznych i hucznych przyjęć, którymi przy akompaniamencie uroczystych salw artyleryjskich raz po raz rozbrzmiewała Moskwa w tym zwycięskim roku. Mundury, orderzy, toasty, 'Tiomnaja nocz', 'Oficerski walc' i zdobyczne płyty. No i jeszcze Suliko — ukochana pieśń Naczelnego Dowódcy, a także współbojownicy z pierwszej linii cichego frontu: szeregowi współtowarzysze walk i wyniośli przychylni przełożeni. Ciotka z panem S. zabarykadowali się w swoim morganatycznym gniazdku, mnie po sąsiedzku podrzucono solenizantkę, natomiast babcię Podlipalin (jako obsługę) i przepołowionego Wasię (jako pokazową ofiarę teutońskiego najazdu) w drodze wyjątku wpuszczono na pokoje. Wesoły gwar wypełnił mieszkanie, muzyka i śmiech rozsadały ściany.

Mała Halinka bezbłędnie rozróżniała głosy. „Mama!” - sylabilizowała na dźwięk altowego chichotu w przedpokoju, „Tata!” - wołała radośnie, słysząc basowy szczek towarzyszący którejś z rzędu kolejce. Na dłuższą metę asystowanie tej beztroskiej imprezie było dosyć nużące. Imię Generalissimusa i Chorążego powtarzało się w każdym toaście, a na dodatek już po raz trzeci słuchano Suliko, co dowodziło, że zabawa osiągnęła apogeum i żeglujecie teraz z wolna w stronę pogodnego delirium.

Właśnie rozważałem możliwość pozostawienia solenizantki na pastwę



losu i urwania się byle gdzie, byle dalej od słodkich melodii Wschodu, gdy zza ściany dobiegł dławiony wściekłością głos: „Towarzysz? Rybi ch... twój towarzysz! Moi towarzysze w lesie smoleńskim leżą!”.

- Wujek! - powiedziała Halinka i uśmiechnęła się do mnie błogo i chytrze.

I zaraz potem padły te straszliwe bluźniercze wyrazy. Stanowiły swoistą reakcję na kolejny toast i wyrażały dość obcesowe życzenie pod adresem Geniusza Wszechczasów, życzenie, którego tu nie przytoczę, chociażby ze względu na trudności przekładowe. Ale muszę powiedzieć, że zdrętwiałem ze zgrozy. Również za ścianą wszystko ucichło jak nożem uciął, słychać było tylko łagodne tony Suliko.

I wtedy rozległ się ryk Koli - ryk w tonacji, jakiej nigdy dotąd nie słyszałem - a rykowi towarzyszył łomot, trzask, tupot, odgłosy przewracanych mebli i tłuczonych naczyń. W nagłej eksplozji dźwięków nie sposób już było odróżnić poszczególnych głosów i nawet Halince nie pozostawało nic innego, jak powtarzać oddzielne słowa, wyłowione z ogólnego wrzasku.

Aż łomot i tumult przeniosły się do przedpokoju i odruchowo ruszyłem do drzwi.

- Mat'! Mat'! Mat'! - żałośnie wołała za mną Halinka. Kola w rozdartym mundurze, spurpurowiały na gębie, z pochylonym łbem, z impetem rozjuszonego buhaja nacierał na brata, usiłując zapędzić go kopniakami w kąt między wyjściem a moim pokojem. W rękę trzymał krzesło przyszykowane do zadania rozstrzygającego ciosu. Odłamki matowego szkła zgrzytały sucho pod deską Wasi. Stawał dzielnie, a jego potężne cepy wymierzone były, jak Pan Bóg przykazał, w podbrzusze i genitalia lejtnanta służby tajnej. Niestety tylko raz udało mu się trafić, a przy okazji wyrócić Kole gwałtownym szarpnięciem za kostkę. Nie zdołał jednak nawiązać walki w parterze, przeszkadzała babcia Podlipalin, miotająca się między synami jak oszalała kwoka. Również Koli utrudniało to swobodę ruchów, zamiast się zerwać z podłogi, cisnął tylko w głowę brata krzesłem, lecz chybił, roztrzaskało się u moich stóp.

W wysadzonych z zawiasów i ogołoconych z szyb drzwiach zastygła bez ruchu Tatiana Podlipalin z dynamicznie rozlatującą się ondulacją, a za nią kłębił się tłum gości świątecznych i wciąż rozlegały się tony Suliko, czyli całe zajście trwało nie dłużej niż trwa obecnie, dajmy na to, migawka telewizyjna, krótki wideoklip.

Kopnąłem resztki krzesła - namacalny dowód ofiarnej lojalności Koli, i otworzyłem wyjściowe drzwi, zaś babcia, uczepiona dotąd szamoczącego się lejtnanta, wypchnęła Wa- się za próg i wypadła wraz z nim na klatkę schodową.

- Niech mama wraca! — wrzasnął wybiegając za nimi Kola. - Na Kołymę mama za nim nie pojedzie!

- I tam Rosja! - odparł ze schodów refrenem ulubionej swojej piosenki nieustraszony Wasia i otarł rękawem niemal już niewidoczne w rozlewającej się opuchliznie oko. - A ty szoruj dać dupy szefowi, bo mu Tańki na długo nie starczy!

Twarz Koli zrobiła się naprawdę straszna, obejrzał się jeszcze za siebie, ni to w obawie, czy goście usłyszeli te słowa, ni to biorąc ich właśnie na świadków niesłychanej zniewagi, po czym runął w dół, odrzucając na bok wiekową rodzicielkę. Akurat urwało się Suliko i nie wiadomo, czym by się wszystko skończyło, gdyby nie to, że na półpiętrze, tuż zza pleców Wasi, wyłoniła się całkiem nowa postać: wspinająca się wolno po schodach z drewnianą walizką starsza niewiasta w chłopskiej chuście na głowie, zdeptanych walonkach i skądinąd znanym mi eleganckim płaszczu skórzanym. Gdyby nie ten płaszcz, nigdy bym nie poznał własnej matki. W moich snach wciąż była szczupłą, kruchą dziewczyną o płynnych, lekkich ruchach.

- Mama! - zawyłem, staczając się po schodach i zawołanie to musiało mieć moc zaklęcia, gdyż stojący tuż obok na stopniach i wciąż otwierający usta do krzyku Kola nagle się zdematerializował. Po prostu zniknął.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - grzecznie powiedział Wasia, zjeżdżając nieco na bok, by ustąpić drogi nowo przybyłej. Jego krwawiące

wargi rozplynęły się w szerokim uśmiechu.

I tak się skończyło przyjęcie, a z nim razem moja z Wa- sią zażyłość. Nigdy go już nie zobaczyłem, gdyż choć babcia Podlipalin wróciła po tygodniu, nie zdradziła nigdy, na którym targowisku czy dworcu zdołała zamelinować młodszego syna. Zresztą było to bez znaczenia, bo już niebawem z najwyższego rozkazu jak nie Kołyma, to Pieczora czy inna Workuta miała pochłonać cały ten buntowniczy kontyngent skaterów na deskorolkach.

Ale też specjalnie za Wasią się nie rozglądałem. Miałem swoje problemy.

Po pierwsze: graniczące z cudem, niespodziewane zjawienie się mojej matki sprawiło, że z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę przestałem funkcjonować jako człowiek podziemia. Ścisłej biorąc, prawie przestałem - jedną nogą (po ojcu) jeszcze w podziemiu tkwiłem - lecz w hierarchii społecznej już notowany byłem przynajmniej o piętro wyżej.

Po drugie: matka wyjeżdżała do Polski!

Dowiedziałem się o tym, zanim jeszcze zaczęła wypytywać mnie o maturę, bo w kilkanaście minut po zniknięciu Koli z klatki schodowej pojawili się na niej najpierw cywilni, a potem mundurowi adepci służb inwigilacyjnych. Nie przejęli się zdemolowanym mieszkaniem, bulwersowało ich pytanie: jakim cudem osoba, zdawałoby się na dobre osadzona za drutami z wyroku sądu wojskowego, znalazła się naraz w Moskwie, w lokalu zajmowanym z urzędu przez funkcjonariuszy organów ścigania. I wtedy wyszło na jaw, że matka ma papiery repatriacyjne. A zatem wyjeżdża do Polski.

Samo przez się rozumiało się, że wraz ze mną. A przecież tkwił w tym wszystkim dość istotny szkopuł. Może nawet kilka szkopułów.

Przede wszystkim, nie miałem zamiaru wychodzić z mojego podziemia. Już sama pamięć o ojcu nie pozwalała na powrót do życia jawnego. No i nagle odnalezienie się matki budziło we mnie nadzieję na powtórzenie się cudu. Tak czy inaczej, wypadało na niego zaczekać.

A zresztą nie byłem-gotów. Byłem jak dotąd Polakiem konspiracyjnym i czułem się z tym całkiem dobrze. Otóż zostać naraz Polakiem z krwi i kości, Polakiem legalnym - nie ukrywam, onieśmielała mnie ta zmiana statusu. Może się już domyślałem, że dla mnie być Polakiem, znaczyło jedynie być innym, że wybierając polskość, wybierałem po prostu obcość wobec niechcianej rzeczywistości. I nadal pozostawałem tym samym podrastającym sowietem, gruntownie wyobcowanym, a wciąż próbującym się dostosować.

No i - co najważniejsze - nie mogłem pogodzić się z myślą, że właśnie ten, jak już powiedziałem, graniczący z cudem powrót mojej matki z niebytu znaczy nie więcej niż jeszcze jeden punkt dla Podlipalinów. Bo przystając na wyjazd, przydzielałem Koli kolejny kawał przestrzeni życiowej, oddawałem bez boju z trudem dotąd utrzymywane pozycje. Mówiąc zwyczajnie, składałem broń.

Nie, nie wyjechałem z matką, nie zrezygnowałem z podziemia, pozostałem przy swym dwójistnieniu, swoim sznycie konspiracyjnym, swojej bombie zegarowej, a co za tym idzie: przy maturze, wierszach, no i tym beznadziejnym zaprzęgu ciągniętym w nieznaną przez dziewczynę z warkoczem. Tak było.

Nawiasem mówiąc, im gorzej mi szło z tą dziewczyną, tym więcej w moich wierszach było kontestacji. Im bardziej trzymała mnie na dystans, tym mocniej kopałem ustrój sprawiedliwości społecznej.

Nie, nie kwestionowałem systemu ani zasadności jego istnienia, chodziło mi tylko o odnalezienie - jak by to powiedziano ćwierć wieku później - jego ludzkiej twarzy. Zdawałoby się, rzecz naturalna po wojnie: powszechne zapotrzebowanie na ludzką twarz. W każdym razie zignorowałem fakt, że twarz ta już była na swój sposób zadana, spozierała na mnie z każdego dworcowego popiersia, wyzierała z każdego kąta, powielona tysiąckroć na tysiącach portretów.

Może i wyglądała na ludzką, ale jej nie lubiłem. Skądinąd nie tylko jej. Bo co do innych twarzy, z nimi też nie było najlepiej. Tłumne, znaczone niedbałą kreską, przeszarżowane, niczym żywcem przeniesione z gabinetu

luster, zlewały się w jedną po- spólną gębę, której prawdziwych rysów wolałem nie dociekać.

Raz tylko zobaczyłem je z bliska, a to za sprawą pewnej świeżo wypuszczonej z wariatkowa szesnastolatki o urodzie szympansa i szybkich małych ruchach, zazwyczaj siadującej w oknie na parterze i strojącej miny do przechodniów. Musiała się wymknąć któregoś dnia spod opieki, bo zadzwoniła do naszych drzwi, i to akurat wtedy, gdy byłem sam w domu. Wśliznęła się do wnętrza, zdecydowana, a zarazem pełna dziwnych pretensji, zarzucając mnie stekiem bzdurnych pytań, pozbawionych sensu do tego stopnia, że mnie zwyczajnie zatkało. A gdy mimo wszystko usiłowałem wybrnąć jakoś z tej konwersacji, oblizała się nagle i chichocząc rozebrała się do rosołu. To było naprawdę groźne: ten chichot i tępe, pokryte bielmem sprytu spojrzenie spod czoła o kształcie wzgórzka łonowego.

Groźne, ale przynajmniej nie tak banalne jak ciągle rozdarcie wewnętrzne i zawód miłosny, nie wspominając już o maturze czy ponaglających listach z Polski w ozdobnych, od lat nie widzianych kopertach.

Aż wreszcie stało się: szczęście uśmiechnęło się do mnie.

Pewnie było to nieuniknione. Popełniłem wiersz, jeden z tych zawieszonych między zniewoleniem a buntem, recytowanych po ciemku, półszepem, gdyż pobrzmiwało w nim echo powtórzonych z premedytacją niewybrednych inwektyw niezapomnianego Wasi. Chyba właśnie te inwektywy stanowiły główną zaletę utworu i spoglądając wstecz, muszę stwierdzić, że była to moja pierwsza kradzież literacka. Pierwsza, choć nie ostatnia. Wchodziłem do zawodu.

I wtedy właśnie - powtarzam - uśmiechnęło się do mnie szczęście. A przy okazji zrozumiałem, dlaczego tak radośnie zacierał ręce Kola, gdy się dowiedział, że pisuję poezje.

Już nie szympansica z parteru - ale płowowłose dziewczę z warkoczem do pięt wtargnęło do mnie do domu. Miało nieprzytomne oczy i wypieki

na twarzy, tyle że się nie rozebrało, lecz zażądało z progu, bym jak najprędzej wyjeżdżał do matki. Przybiegło, by mnie uprzedzić, że Ten Trzeci, mój kumpel, mój druh serdeczny, złożył w odpowiednim resorcie szczegółowy raport o moim wyczynie poetyckim. Myślę teraz, że musiałem trochę przesadzić z inwektywami.

To było jak nagłe tąpnięcie, nie donos oczywiście, donos - rzecz zwyczajna. Zostaliśmy przytłoczeni, co mówię, przygnieceni resztkami rozpadającego się zaprzęgu. W końcu jakoś się pozbieraliśmy. Jakoś tam uporządkowaliśmy uprząż, lecz było to naprawdę niechciane zwycięstwo. Powinienem być czuć się uradowany, ale się nie czułem. I nawet to chodzenie we dwójkę szło nam dość kulawo. Pewnie należeliśmy do gatunku wyznającego zasadę omne trinum perfectum, co się tłumaczy na rosyjski: Bog trojcu lubit.

Szczerze mówiąc, coś we mnie pękło, coś się sypnęło. Zgrzytnęło jakieś kółko zębate, szcęknęła zapadka, ruszył mechanizm zegarowy. Znow zacząłem uciekać we snach.

Uciekałem przed łomotem do drzwi. Wymykałem się drabiną pożarową na strych, a potem na dach, a potem biegłem już opłotkami, przez sobie tylko znane podwórza. Krajobrazy tych snów w niczym nie przypominały znajomego miasta. To był całkiem osobny kraj, po dziś dzień pamiętam budkę z piwem na chodniku wśród kałuż, pod plakatem filmowym, na rogu nieznanej ulicy.

Na jawie nigdy nie zdołałem dotrzeć do tych okolic. I całe szczęście! No i oczywiście, choć stale czułem na sobie czyjeś baczne spojrzenie, nigdy nie udało mi się stanąć z tym kimś oko w oko. Poza jednym przypadkiem, ale o tym za chwilę.

Nie wiem, czy to był strach, raczej po prostu czekanie, rosyjski syndrom czekania na nieuchronne, bezruch królika wobec nadpełzającego węża. Ulotny cień w bramie, raz po raz czyjeś skradające się z tyłu kroki, dwóch fałszywych pijaczków zaczepiających mnie w metrze, dziwnie poprzekładane rzeczy w pokoju. I nie była to sprawka Koli. Kola nie ruszył tu nawet palcem. Nie musiał. Po prostu wiedział, znał na pamięć

wszystkie możliwe ruchy. I na tym polegała jego przewaga.

Wracając jednak do tego chodzenia we dwoje - nie sprostaliśmy sytuacji. Oboje. Wszystko było nie tak. Zwyczajnie brakowało mi Tego Trzeciego. I myślę, że jej tak samo. Ale mówić o tym nie wypadało i dlatego panowało między nami coś w rodzaju zażenowania. Niemal nie rozmawialiśmy ze sobą podczas tych spacerów. I tylko raz się zdarzyło, że znów zrozumieliśmy się w pół słowa. Przy ukwieconym placyku przed Akademią Medyczną numer dwa, na rogu ulicy Pluszczychy.

Bo też była to nasza zwykła trasa i tamtego popołudnia nagle zmiana w jej wyglądzie nie mogła ujść naszej uwadze. Niezwykle tłoczno zrobiło się na rogu ulicy i było w tym coś nienaturalnego, coś ekstra. Tym bardziej że tłok był wyraźnie sztuczny, robiło go kilku wojskowych i kilku osobników w płaszczach demisezonowych w pobliżu zaparkowanej tuż przy krawężniku czarnej limuzyny. Ta limuzyna również była ekstra. Moja towarzyszka pierwsza ją zobaczyła i zwolniła kroku, poszedłem za jej wzrokiem i zdębiałem. Z tylnego siedzenia ZIL-a nad wyraz pysznie i z pewnym, powiedziałybym, obrzydzeniem spoglądał na nas przez pancerną szybę niezgłębionym przeszklonym okiem człowiek w cwikierze.

Ciemny garnitur, binokle, zwiotczałe policzki i odęte żabie usta: jedna z najbardziej złowrogich postaci z sowieckich nocnych dreszczowców.

- To on? - przysuwając się bliżej wykrztusiła szeptem dziewczyna.

Oczywiście, że to był on. Naczelnny policjant Wszechrosji w randze marszałka Imperium, głównodowodzący wszystkich tajniaków, a także ogniów, komórek i kręgów Największej Konspiracji Świata, gapił się na mnie z samochodu z odległości najwyżej metra. A ja się gapiłem na niego. A na nas obu gapił się tłum ochroniarzy, z czego zdałem sobie sprawę dopiero po chwili, gdy szkliste, hipnotyzujące, owadzie spojrzenie prześliznęło się ze mnie na kogoś za moimi plecami.

I wtedy bluznąłem tym krótkim, brzmiącym jak przekleństwo nazwiskiem. I urwałem. Bo czułem, jak rośnie we mnie, jak przenika całe moje - pożał się Boże! - jestestwo wyzywający motyw zapamiętanej od dziecka, starej łagro-wej, jeszcze z Biełomorkanału, Piosenki Osiemnastego Baraku. Cisnęła mi się do ust. Brakowało tylko, żebym ją zanucił w przytomności najprawdziwszego szefa wszystkich służb sekretnych i tajnych. Nic mnie wtedy nie obchodziło, że w swoich słynnych polowaniach na dziewczyny zahaczył akurat o Akademię Medyczną numer dwa!

Ale tak czy inaczej, skręciliśmy z tego rogu w Pluszczy-chę. Dość pospiesznie, może nawet wyglądało to na ucieczkę. Tyle że jak już skręciliśmy, obejrzałem się jeszcze w nagłym odruchu i zdębiałem. Objijający się dotąd bez celu wojskowy w papasze pułkownika leniwie ruszał za nami. Z dystynkcjami pułkownika - to było nie do wiary! Odwróciłem się raz i drugi po kilkunastu krokach: szedł za nami.

Nie powiem, żeby mi to pochlebilo, choć nie zdążyłem się również przestraszyć, gdyż moja towarzyszka zawróciła naraz na pięcie z głośnym okrzykiem: „Zgubiłam guzik!”.

Istotnie, miała bardzo ładne zielone guziki przy płaszczu i bardzo je sobie ceniła. Toteż ciągnąc niepewnie za nią, ostentacyjnie rozglądając się po chodniku, zastanawiałem się jeszcze: bezczelność to czy przebiegłość, kiedy w tej samej chwili, gdy mijaliśmy się z wyraźnie zwalnającym pułkownikiem, jakaś babina podniosła coś z ziemi wołając: „Tego szukasz, dziewczyno?”. I rzeczywiście, trzymała w ręku guzik.

Pułkownik ominął nas łukiem, patrząc wyniośle w inną stronę. A gdy zawróciliśmy ponownie, już go nie było przed nami. Pojawił się znowu z tyłu i to dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, gdy szliśmy wzdłuż rzędu rozsypujących się domków z pełnymi śmieci, zalatującymi moczem szczelinami bram. Zdekonspirowany według wszelkich podręcznikowych reguł, nadal sunął za nami.

Nie będę opowiadał o tym, jak go gubiliśmy. Jego i kolejne ogony, którym nas zdołał przekazać. Były to rutynowe wyczyny pilnych



czytelników powieści detektywistycznych, połączone z moimi doświadczeniami jeszcze z okresu nieważkości i niewidzialności: a więc wskakiwanie i wyskakiwanie w biegu z najprzeróżniejszych środków transportu miejskiego, przesadzanie barier tak naturalnych, jak drewniane parkany i metalowe sztachety, kluczenie krętymi zaułkami Arbatu, etc.

Najzabawniejsze jednak w tej całej historii było, że ani wówczas, ani nigdy potem nie zamieniliśmy słowa na ten temat. I nie sędzę, by powstrzymywał nas strach, gdyż najpierw nie mieliśmy nań czasu, a później mieliśmy go już za sobą. Po prostu cała sprawa była tak żenująca, upokarzająca, a co gorsza niezrozumiała, że czuliśmy się jak dzieci przyłapano na oglądaniu seansu porno.

Po dziś dzień nie wiem, za kim szedł ten sztabowy łaps: za wyrostkiem, który miał czelność rozpoznać we wnętrzu czarnej limuzyny oberpolicmajstra Rosji, czy za dziewczyną, która wpadła tamtemu w oko? Inna sprawa, że już następnego dnia dziewczyna obcięła warkocz. I to był koniec romansu.

Rozumiem, że musiała to zrobić, chociażby dla higieny psychicznej. Ale nic na tanie poradzę, że po tych postrzyżynach ulotnił się cały jej urok. Przynajmniej dla mnie to było jak zdjęcie uroku. Tak to sobie później tłumaczyłem. Niczym się już nie różniła od innych dziewcząt, nieobliczalnych, kłótliwych, zaprzątniętych własnymi dziewczynskimi sprawami. I to mimo łączącej nas wspólnej przygody. A może właśnie z jej powodu, może tkwiły w tym jakieś głębsze przyczyny, nad którymi wolałem się nie zastanawiać.

W każdym razie całe to wydarzenie było szczytem nonsensu. I właśnie ten nonsens przyprawiał o dreszcz. I to taki, że wszystkie obawy, które żywiłem wobec autentycznych zagrożeń: tykającej gdzieś w ukryciu bomby zegarowej, brzemiennego w skutki sąsiedztwa Koli, czy nawet donosu Tego Trzeciego, wydawały się marną błażostką. Groza była równa tej, której doznałem przed miesiącem czy dwoma, kiedy wdarła się do mnie ta nimfomanka z parteru.

Rzeczywistość się zachwiała, traciłem grunt pod nogami, byliśmy w

ręku obłąkańców i psychopatów.

Nie miałem co czekać na ojca. Nie żył. Nie mógł żyć. Zastrzelony został zaraz po wyroku, jeszcze w lefortowskim więzieniu. Tyle zrozumiałem, choć potwierdzone to zostało dopiero po dwudziestu latach.

Teraz już nic nie pozostawało mi w tym moim dwójistnie- niu poza tą jedyną ucieczką - w polskość. Tę, którą zaszczepiłem sobie przez kaprys czy przypadek i która rosła we mnie już bez mojego udziału. Aż stała się moją częścią, naturalną częścią mojego ja - ta polskość z czasów, w których świat nie rozsypywał się jeszcze jak roztrzaskana szyba na pokawałkowane mikrorzeczywistości zasiedlone fantomami obłądu, kiedy nosiło się ją nie jak garb, lecz jak herb, jak klejnot wolności cudem ocalały w zburzonym domostwie.

Wyrosłem w Rosji, w tej Barbarii świata, ustokrotnie- nej azjatyckiej replice Dzikiego Pola, która dla zniszczenia w sobie wszelkiego dobra nie potrzebowała żadnego geniusza zła. Wyrosłem w niej i kochałem ją po swojemu, mimo wszystkich ciężących na niej grzechów śmiertelnych. Tak było. Ale, Bogiem a prawdą - ja, żyjący poza Bogiem i prawdą! - nie z jej wielkich proroków czerpałem wiedzę o istocie dobra i zła, grzechu i odkupienia, ale z głupiej drugiej części Potopu, która niczym młotem wbijała mi do głowy, że jeśli istnieje jakiś sens życia, to jest nim właśnie odkupienie śmiertelnego grzechu. Oczywiście pod warunkiem, że się go popełniło. I oczywiście pod warunkiem, że się jest Polakiem.

A może zmyślam dziś sobie to wszystko? Może po prostu miałem dość tej dławiącej pętli i wiałem spod niej, tak jak ongiś się wiało na Sicz czy nad Don?

W każdym razie nie mogę powiedzieć, by był to swobodny wybór. Ale był wyborem. Choć z żalem muszę dziś dodać, że nie ciebie przecie dotyczył, drogi mój czytelniku (jeśli trafi mi się czytelnik). Bo nie ciebie, nie pospolitość rzeczy, ale Tamtą Rzeczpospolitą wybierałem - przysposobiony Polaczek. Nie ciebie, lecz twoją ideę unoszącą się nad wodami.

Złożyłem papiery na wyjazd. Nic nie pozostawiałem za sobą oprócz metrażu. Podałem się. Przegrałem tę wojnę.

Przegrałem, i dzięki Bogu. Dopiero po wspomnianych już dwudziestu latach stanąłem przed znajomymi drzwiami, ozdobionymi solidną mosiężną tabliczką: „Podlipalinowie”. Wpatrywałem się w nią jak urzeczony, podczas gdy biedny, nieodżałowany po dziś dzień Witek Dąbrowski dobijał się do tych drzwi.

Klatka schodowa zmieniła się nie do poznania, zainstalowano windę między jej przesłami, a w holu na parterze ustawiono rozmównicę telefoniczną. Minęliśmy ją przed chwilą wraz ze słodko śpiącym w środku którymś z lokatorów. A Witek z pijackim uporem ctobijał się do moich byłych drzwi, domagając się w tej swojej niepowtarzalnej ruszczyźnie, żebym mu wreszcie otworzył. Dobijał się do mojej przeszłości, wywoływał mojego ducha sprzed lat, a dobiegający z tamtej strony zdenerwowany głos młodej kobiety (chyba Halinki) zapewniał go nie bez racji, że nikt taki tutaj nie mieszka.

Była godzina czwarta nad ranem, pora, w której Kola Podlipalin zwykł był łomotać do drzwi całkiem innych mieszkań w tym przesyconym trupim odorem mieście. Już nie wehikuł, ale pętla czasu! Tyle że nie chcieliśmy nikogo straszyć, byliśmy po prostu nieprzytomnie zalani, naładowani moskiewskim alkoholem i niemoskiewską złością, i cały świat wydawał się nam zakazanym, obłędnym żartem.

I wtedy drgnęło coś za moimi plecami, rozległy się pierwsze zgrzytliwe, posępne tony. Jakby uderzyły talerze. A potem wkroczyły kotły, bębny, piszczałki, a nawet perkusja. To ruszyła winda, bo zaciekle Witkowe dobijanie się do zaryglowanych drzwi musiało wreszcie wstrząsnąć lokatorem rozmównicy telefonicznej, tam, na parterze. I po dokonaniu kilku mylących manewrów winda istotnie zatrzymała się na naszym piętrze. Lecz choć stanęła na dobre, dźwięki nadal drgały w powietrzu, nie ustawały, raz rozbudzone, nie chciały się uciszyć.

Zamek szczęknął - raz i drugi - i kulejąc niepewnie wyłoniła się z dźwigu jakaś zwalista postać. Musiał wprawić ją w osłupienie nasz dość

niepowszedni, jak na porę i miejsce, widok. Musiał jej nawet z czymś się trzeźwiąco skojarzyć, gdyż odwróciła się gwałtownie na pięcie i ruszyła w popłochu do przeciwległych drzwi, otwierając je z klucza, nie na tyle jednak szybko, byśmy nie spostrzegli, że obrzękłą, nalaną twarz rozświetlił naraz jakiś błysk satysfakcji. Tylko błysk, nic więcej. Jedyнным namacalnym dowodem tej panicznej ucieczki pozostały otwarte drzwi do windy.

Nie poznał mnie, ale ja go poznałem. Kumpla od serca, kolegę z podwórka, Tego Trzeciego. Pocieszające było, że najwyraźniej odnalazł się w życiu.

- Chodźmy już! - pchnąłem Witka w stronę otwartej windy.

Zjeżdżaliśmy w dół i towarzyszyły nam ciężkie westchnienia trąb, zgrzyt kontrabasów, piski fagotów, cały mosiężny repertuar orkiestry dętej. Nie wiedzieć skąd spadła na nas ta kakofonia dźwięków. To już nie był dźwig, grało wszystko dokoła, całkiem możliwe, że grało w nas. I poznawałem ten temat muzyczny, motyw upokarzającego strachu, śmiertelnej udreki. Czerwona Orkiestra w swoim reprezentacyjnym repertuarze!

Jej „Titanic” czy też „Potiomkin” dawno już spoczął na dnie, rdza do reszty wyżarła porosły algami kadłub, a ona wciąż grała na swój benefis ku podbudowaniu topielców. Wiedziałem, że będzie grała jeszcze długo.

Dusiłem się w ciasnej klatce windy.

1991 r.

Wypożyczalnia

Nr

Nr. inw A0MS2

OBJAŚNIENIA WYDAWCY

PRZYMIARKA DO GRY W TRZY KARTY Pożegnanie z Rosją, czyli

walety kier

V

Pawlik Morozow - Paweł Morozow (1918-1932), chłopiec ze wsi Gierasimowka za Uralem, bohater nieukończonego filmu Siergieja Eisensteina Łąki bieżyńskie (Bieżyn ług, 1935-1937), ikona radzieckiego pioniera. Według legendy lansowanej przez propagandę stalinowską w latach trzydziestych XX wieku, był założycielem ruchu pionierskiego w rodzinnej wsi, pomagał komunistom w organizacji kołchozu i skupie zboża, a przede wszystkim zdemaskował i zadenuncjował „kułaków”, którzy ukrywali zboże, w tym własnego ojca. W odpowiedzi na ten czyn rodzina miała zamordować Pawlika. Oprócz kanonicznej wersji legendy istnieją też jej wersje alternatywne.

Żelazny Feliks - Feliks Dzierżyński (1877-1926), polski i radziecki działacz socjalistyczny i komunistyczny, z nadania Lenina twórca radzieckiej tajnej policji politycznej CzeKa, z której wyewoluowały kolejne wcielenia osławionych organów bezpieczeństwa aż do obecnej FSB.

Państwo Słońca - tytuł dzieła włoskiego dominikanina Tom- maso Campanelli z roku 1602, napisanego w więzieniu, w którym ten ścigany przez Inkwizycję myśliciel projektuje teokra- tyczne państwo powszechnej szczęśliwości rządzone przez kastę kapłanów, a w nim m.in. wspólną własność środków produkcji i dóbr konsumpcyjnych, powszechny obowiązek pracy, wychowywanie dzieci przez państwo czy urząd do spraw kojarzenia ludzi w pary dla zapewnienia jak najkorzystniejszych warunków reprodukcji. W propagandzie radzieckiej wzorzec ustroju komunistycznego.

Kraina Utopii - nawiązanie do tytułu książki Thomasa Morea, angielskiego myśliciela i zarazem świętego katolickiego, pt. Utopia (ok. 1516), w której autor projektuje idealny ustrój społeczny będący odmianą socjalizmu, z powszechnym obowiązkiem pracy, jednolitym strojem i jedzeniem, karą

śmierci za cudzołóstwo, bez własności prywatnej, pieniądza i przemysłu.

etos janczarski - janczarami komunizmu autor nazywa szczególnie zaprzysięgłych obrońców Imperium. W Związku Radzieckim i innych krajach komunistycznych z tą myślą wychowywane były sieroty w tzw. dietdomach (domach dziecka).

modna od zeszłej jesieni piosenka Żdiom was wo Lwowie -

piosenka autentyczna, na melodię Tylko we Lwowie. Nawiązanie do wydarzeń 17 września 1939 roku, kiedy Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę II Rzeczypospolitej i wkrótce zajęła tę część Polski, która przypadła jej na mocy paktu Ribbentrop - Mołotow, w tym Lwów.

szkodnicy, sabotażyści, wrogowie ludu - negatywni bohaterowie stalinowskiej propagandy i zarazem kategorii przestępców, przeważnie urojonych, skazywanych na śmierć lub łagier w kolejnych falach stalinowskiego terroru.

Gułag - zbiorcza nazwa gęstej sieci obozów pracy przymusowej, która od roku 1923 zaczęła pokrywać terytorium Związku Radzieckiego. Od skrótu GUŁag - Głównoje Uprawlienje Łagieriej.

ogólna koniunktura na wczesne sieroctwo - nawiązanie do stalinowskich czystek, a zwłaszcza do Wielkiego Terroru z lat 1937-38, kiedy miliony ludzi na podstawie absurdalnych zarzutów trafiały do więzień i łagrów.

Ojciec Narodów - Józef Stalin. -

w dniu podpisania paktu o przyjaźni z Niemcami - 23 sierpnia 1939 roku, tzw. pakt Ribbentrop - Mołotow.

Trzeci Rzym - głęboko zakorzeniona w Rosji co najmniej od XVI wieku idea mesjanistyczna. Zgodnie z nią Moskwa jest jedyną depozytariuszką nieskażonej wiary chrześcijańskiej, którą zdradziły Rzym oraz Konstantynopol (Pierwszy i Drugi Rzym) i wskutek tego upadły. Idea ta istniała w powiązaniu z wyobrażeniem Rusi jako Nowej Jeruzalem, a ich splot stał się podwaliną rosyjskiego imperializmu w każdej, również zseku- laryzowanej postaci.

Żyd Wieczny Tułacz - Ahaswerus, bohater średniowiecznej legendy o Żydzie, który miał rzekomo znieważać Chrystusa niosącego krzyż i za to został ukarany wieczną tułaczką; postać znana z niezliczonych odniesień w literaturze światowej, m.in. w Pamiętniku znalezionym w Saragossie Jana Potockiego czy Stulecie samotności Marquese.

Ter-Armeńczyk - przedrostek „ter” przed ormiańskim nazwiskiem sygnalizuje, że wśród przodków rodziny był co najmniej jeden duchowny. Tutaj tyle, co „z dziada pradziada”.

pewien mój znajomy z Nowej Wilejki - mowa o Tadeuszu Konwickim.

wschodni brzeg Styru czy Prypeci - rzeki wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej.

Flaga ponad trony i feralne blotki

Trocki - Lew Trocki (1879-1940), jeden z twórców i przywódców Rosji Radzieckiej, ludowy komisarz spraw zagranicznych, główny organizator Armii Czerwonej. Po śmierci Lenina w 1924 roku w ostrym konflikcie ze Stalinem o przywództwo w partii. W roku 1929 deportowany ze Związku Radzieckiego, w 1932 pozbawiony obywatelstwa. Przebywał na emigracji w Turcji, Francji, Norwegii i Meksyku, wszędzie tropiony przez tajne służby Stalina. Zamordowany na jego rozkaz przez agenta NKWD w Meksyku w roku 1940. Oskarżenie o „trockizm” należało do najczęstszych i najcięższych zarzutów, z jakimi spotykały się polityczne ofiary stalinowskiego terroru.

wiała ponad trony, niosąc ze sobą zemsty grom, a także ludu gniew - kryptocytat z pieśni Czerwony sztandar, która od roku 1883 była hymnem polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego, śpiewana w czasie strajków, demonstracji i w drodze na szubienicę. Autorem słów był lwowski poeta, publicysta i działacz socjalistyczny Bolesław Czerwiński, muzykę skomponował Jan Kozakiewicz.

paroch - proboszcz, pleban.

diakon - duchowny bez pełnych święceń kapłańskich.

Zakładnicy, czyli dzwonkowy as

uszedł z życiem z Madrytu, Norylska i Workutłagu - odwołania kolejno do: wojny domowej w Hiszpanii (1936-39); kompleksu przemysłowego w Kraju Krasnojarskim (Tajmyr- ski Okręg Autonomiczny), zbudowanego w latach trzydziestych niewolniczą pracą więźniów, rejonu licznych łagrów; zespołu kilkunastu szczególnie ciężkich łagrów, budowanego od roku 1938 niewolniczą pracą więźniów eksploatowanych tam głównie w kopalniach węgla kamiennego, nad rzeką Workutą (dopływ Pieczory), w Republice Komi na

północy Rosji, 160 kilometrów za kołem podbiegunowym. \*\*

proces szesnastu - pokazowy proces szesnastu przywódców Polski Podziemnej i głównych stronnictw politycznych, porwanych i wywiezionych na Łubiankę w Moskwie. Odbył się w dniach 18-21 czerwca 1945 roku, wszyscy zostali skazani na podstawie osławionego artykułu 58.

artykuł 58 - wprowadzony w roku 1926 i potem przez dziesięciolecia udoskonalany artykuł radzieckiego kodeksu karnego, grupujący w swych licznych podpunktach najróżniejsze przestępstwa o charakterze „kontrewolucyjnym”, takie jak: szpiegostwo, propaganda antyradziecka, terror, dywersja, etc. Artykuł ten, użyteczne narzędzie stalinowskiego terroru, stanowił swoisty wytrych, który pozwalał skazać praktycznie każdego aresztowanego.

Komuna Kantońska - w latach 1926-1927 jeden z ośrodków oporu rewolucyjnego w czasie wojny domowej w Chinach.

**CZERWONA ORKIESTRA**

Rozdział pierwszy pelot - przeciwlotniczy.

komisariat ludowy - w bolszewickiej Rosji odpowiednik ministerstwa.

Biełomorkanał - Kanał Białomorsko-Bałtycki, system śluz i kanałów łączących Morze Białe z Bałtyckim przy wykorzystaniu istniejących rzek i jezior, wybudowany w latach 1930-33 niewolniczą pracą więźniów przy



użyciu ich gołych rąk i drewna z tajgi. Szacuje się, że pochłonął około 100 tysięcy ofiar. Pełnił funkcję pokazowej „wielkiej budowy socjalizmu”, najbardziej znany panegiryk na ten temat to Kanał Białomorsko-Bałtycki im. Stalina - wydane w roku 1934 zbiorowe dzieło trzydziestu sześciu pisarzy radzieckich (w tym Brunona Jasieńskiego) pod redakcją Maksima Gorkiego, sławiące heroizm wielkiej budowy, mądrość enkawudzistów oraz dobrodziejstwa reedukacji przez pracę. Kanał działa do dzisiaj.

Czerwona Orkiestra - niem. Die Rote Kapelle - radziecka siatka szpiegowska, działająca na terytorium Belgii, Holandii, Norwegii, Szwecji, Francji i Niemiec w latach II wojny światowej. Nazwę organizacji nadał kontrwywiad niemiecki. Jej szefem był Leopold Trepper, który zadanie utworzenia w Europie Zachodniej organizacji wywiadu wojskowego opartej o sieć przedsiębiorstw handlowych i produkcyjnych otrzymał od szefa GRU (wywiadu wojskowego) gen. Iwana Bierzina już w roku 1937. W roku 1942 Czerwona Orkiestra była największą na świecie organizacją szpiegowską, mającą do dyspozycji setki agentów.

bieżeńcy - uchodźcy.

ciepluszki - wagony bydłące z zakratowanymi okienkami, rozsuwanymi drzwiami, piętrowymi pryczami, otworem klo- acznym i wiadrem.

Uglicz - miasto w środkowej części Rosji, w obwodzie jarosławskim, nad Wołgą. Należy do tzw. Złotego Pierścienia Rosji - szlaków turystycznych przechodzących przez średniowieczne rosyjskie miasta położone na północ i wschód od Moskwy. W 1591 roku, w związku z walką o sukcesję po Iwanie IV Groźnym, zamordowano tu carewicza Dymitra, z którym to zdarzeniem wiąże się legenda o wychłostanym dzwonie.

lesopunkt - miejsce obróbki drewna.

bałanda - łagierna zupa ze zgniłej kapusty i wody.

makuchy - produkt uboczny powstający przy wytłaczaniu oleju z nasion lub owoców roślin oleistych, używany do produkcji pasz.

wochrowcy - członkowie działających w ramach NKWD jednostek

WOChR, łagiernej straży.

Jawas, Potjma - miejscowości w środkowej Rosji, na terenie Republiki Mordwy, mieścił się tam zespół łagrów.

awośka - siatka na zakupy, noszona na wszelki wypadek - „a nuż coś rzuca”.

Krótki kurs WKP(b) - Krótki kurs historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), książka zredagowana

i zaaprobowana w roku 1938 przez Komitet Centralny WKP(b). Klasyczny przykład propagandy stalinowskiej, zakłamujący rzeczywistość i historię ZSRR do granic absurdu. Autorstwo rozdziału 4 (teoretycznego) przypisywano Stalinowi.

Rozdział drugi

komunalna kwartira - mieszkanie komunalne.

zona - na zony (strefy) o różnym przeznaczeniu podzielona była przestrzeń w łagrze; także łagier jako taki nazywany był zoną w odróżnieniu od „wolności”. W slangu łagierników pojęcie „wolności” nie istniało wcale - była tylko „mała zona” (łagier) i „wielka zona” (świat za drutami).

trzydniówka - trzydniowy ciąg alkoholowy.

mordercy w białych fartuchach - odwołanie do tzw. „spisku lekarzy kremlowskich”, ostatniej wielkiej prowokacji politycznej Stalina, która miała uruchomić kolejną, tym razem antysemitką czystkę w partii i w kraju i której zwieńczeniem miał być pokazowy proces antysyjonistyczny. Prowokację tę przerwała śmierć Stalina w marcu 1953 roku.

Rozdział trzeci

zmarły Nauczyciel i Wódz - Lenin.

liczyli kroki już nie do przodu i tyłu - jedna z głównych prac Lenina nosiła tytuł Krok naprzód, dwa kroki wstecz.

krok w lewo, krok w prawo, konwój strzela bez uprzedzenia

- ostrzeżenie kierowane przez straż pod adresem konwojowanych więźniów, oznaczające, że każdy krok w lewo lub w prawo będzie traktowany jako próba ucieczki.

Generalissimus, Naczelnny Dowódca, Choraży, Geniusz Wszechczasów - Stalin.

Pestel, Rylejew - przywódcy dekabrystów; za swą działalność wymierzoną w carat zostali powieszoni.

ruszczeni w Kazachstanach Sarmaci - Polacy na zesłaniu w Kazachstanie, wywożeni tam systematycznie najpierw z terenów przypadłych Rosji mocą traktatu ryskiego (1921), a potem z ziem zajętych w roku 1939 na mocy porozumienia z Niemcami.

trojka - tradycyjny rosyjski zaprzęg trzech koni w jednym rzędzie, ciągnących powóz lub sanie; trojką podróżuje np. Cziczikow w Martwych duszach Gogola.

potiomkinowska wieś - pojęcie ukute w związku z inspekcją ziem przyłączonych do Rosji w roku 1783 (głównie Krymu), na którą Katarzyna II wyruszyła w 1787. Dworzanin carycy, książę taurydzki Grigorij Potiomkin przygotował plan ekspedycji. Z jego inicjatywy naprędce łątano drogi, bielono domy, restaurowano i dobudowywano infrastrukturę, naprawiano płoty, sadzono rośliny. Płynącą Dnieprem Katarzynę pozdrawiały z lądu zaaranżowane przez Potiomkina manifestacje szczęśliwej i zasobnej ludności. Jednak szczytem inwencji księcia były ruchome makiety wsi - wsie potiomkinowskie - które przesuвано wzdłuż trasy inspekcji, aby świadczyły o gęstości zaludnienia i tempie zagospodarowywania nowych ziem.

Kołyma - nieformalna nazwa zespołu łagrów w dorzeczu Kołymy (Jakucja), założonego w 1932 roku, największego w północno-wschodniej Rosji - Gułag rozciągał się tu na obszarze 2,6 mln kilometrów kwadratowych. Na tych bezludnych wcześniej terenach odkryte zostały bogate złoża węgla, platyny, złota, uranu (wydobytanego przez więźniów bez jakichkolwiek zabezpieczeń), rud cyny i ołowiu, molibdenu i ropy

naftowej. Kołymę otaczała szczególnie zła sława ze względu na wyjątkowo ciężkie warunki klimatyczne (zimą pięćdziesięciostopniowe mrozy), skutkujące wysoką śmiertelnością więźniów, która w niektórych okresach wynosiła 80 procent.

Pieczora - nieformalna nazwa zespołu łagrów w dorzeczu Pieczory w Republice Komi na północy Rosji, założonych w wyniku zorganizowanej przez NKWD „ekspedycji uchtyńskiej” z 1929 roku na zupełnie dotąd bezludnych obszarach, gdzie wśród tajgi i błota zostały odkryte bogate złoża surowców, w tym węgla kamiennego i gazu ziemnego.

żabie usta - złowroga postać o „żabich ustach” to Ławrientij Beria (1899-1953), radziecki działacz komunistyczny pochodzący z Abchazji, w latach 1938-1953 szef NKWD, na którym to stanowisku zastąpił zgładzonego na rozkaz Stalina Jeżowa - głównego wykonawcę wielkiej czystki z lat 1937-38; po śmierci Generalissimusa sam zgładzony z rozkazu Chruszczowa. Odpowiedzialny za system represji w ZSRR i w krajach podbitych, w tym m.in. za masowe deportacje ludności z anektowanych ziem polskich i Katyń. Od roku 1941 także wicepremier.

Witek Dąbrowski - Witold Dąbrowski (1933-1978), przyjaciel autora, poeta polski, współtwórca STS-u, tłumacz literatury rosyjskiej; wspólnie z żoną Ireną Lewandowską przełożył m.in. Mistrza i Małgorzatę oraz Białą gwardię Bułhakowa. Ogłosił tomy poetyckie: Rocznik 33, Koncert hebanowy, Arrasowanie, Portret trumienny.

Opracowała Renata Lis

SPIS TREŚCI

PRZYMIARKA DO GRY W TRZY KARTY

Pożegnanie z Rosją, czyli walety kier

Flaga ponad trony i feralne blotki

Zakładnicy, czyli dzwonek as

CZERWONA ORKIESTRA

O tym jak Kola Podlipalin

otrzymał mieszkanie służbowe

O tym jak Kola Podlipalin dostał kolejną gwiazdkę.

O tym jak Kola Podlipalin odniósł

druzgocące zwycięstwo w drugiej wojnie światowej,

a ja zostałem podwójnym agentem

Objaśnienia wydawcy

Te ówczesne zapalki radzieckie zapalały się mniej więcej tak, jak dziś nasze z Sianowa, |i wiadomo było powszechnie, że dzieje się to za sprawą przemysłnych knowań ukrytych wrogów ludu. Spośród wszystkich znanych mi ludzi jedynie moi rodzice wydawali się nie podzielać tej ogólnej opinii. Nic dziwnego, świeżo przybyli z Hiszpanii i całkowicie się zagubili w nowej, prawdziwie wrogiej rzeczywistości. | - Specjalnie wyrabiają takie zapalki ' - tłumaczyłem kiedyś ojcu.-W niektórych • nawet, nim się zapalą, widać wyraźnieprofil j Trockiego! Ojciec spoglądał na mnie nieufnie, czuć było w tym jego zażenowa- ! nym milczeniu jakieś zmieszanie. Co więcej, I czuć było dezaprobatę; sięgałem więc | pospiesznie po podręcznik historii dla j czwartej klasy szkoły podstawowej i demonstrowałem jedno z niewielu ocalałych, bo jeszcze nie zaklejonych białym ' papierem zdjęć: - Patrz! Sam się przekonaj! Tu, w brodzie Lenina wyrysowali swastykę," hakenkreutz! A ten żołnierz z boku 1 zamiast czapki ropuchę na gтови Patrz® Ojciec nie patrzył jednak na zaęcie, pw na mnie, nadal bez słowa, nawet ji % z obawą, a matka wychudła z pokoju fj (fnttjBient)

Pierwszym moim językiem - doszczętnie zresztą zapomnianym - był ormiański, następnym - rosyjski i dopiero trzecim - polski. Urodziłem się w Szanghaju, w grudniu 1926 roku, w rodzinie wędrownych wywrotowców, którzy i w dalszej swojej wędrówce nie ominęli żadnej światowej zawieruchy, bez różnicy, czy się zdarzyła w Chinach, czy w

Hiszpanii. Konsekwencją tego stało się niezbyt stabilne dzieciństwo spędzone w ówczesnym Związku Sowieckim.

Andrzej Mandalian

Andrzej Mandalian - poeta, prozaik, scenarzysta, tłumacz poezji staroarmeńskiej i rosyjskiej. Ogłosił m.in. tomy poezji: Krajobraz z kometą (1976), Egzorcyzmy (1981), Strzép całunu (2002) i Poemat odjazdu (2007), prozę liryczną Na psa urok (1985), powieść Operacja Kartagina (1985; w drugim obiegu) i zbiór opowiadań autobiograficznych Czerwona Orkiestra (1993). Mieszka w Warszawie.